

Biblioteka
Tow. Gimn. Szkół w Brzeżanach.

3286

Wyciąg
z Regulaminu Biblioteki
Polsk. Tow. Gimn. „Sokół“
w Brzeżanach.

§ 4. Wypożyczający jest odpowiedzialnym za całość i czystość wypożyczonej książki, którą obowiązany jest zwrócić co najmniej w stanie istniejącym w chwili wypożyczenia książki. — Nieprzestrzeganie przepisów w tym kierunku powoduje utratę kaucji (§ 3). — Na wszystkie osoby wypożyczające książki nakłada się obowiązek usuwania nieznacznych uszkodzeń, w wypożyczanych książkach jak np. przylepiania luźnych kartek, usuwania rozmaitego rodzaju dopisków i t. d. Niewypełnianie tego obowiązku może pociągnąć za sobą wyreślenie z księgi czytelników.

§ 8. Wypożyczona książka zwróconą być musi w ciągu dni 3 (trzech) w przeciwnym razie Zarząd biblioteki ma prawo natychmiast na wypożyczającego grzywnę do wysokości wartości kaucji, ewentualnie odprawi korzystać z biblioteki wyłączyć. W każdym razie zatrzymywanie wypożyczonej książki uważa się za korzystanie z biblioteki i pociąga za sobą obowiązek z § 6.

Za uszkodzenie książki należy zwrócić wartość nowszej o równiejszej książki według cen obowiązujących w chwili zwrotu.



OBŁOMOW



I. N. GONCZAROW

O B Ł O M O W

ROMANS W DWU TOMACH

PRZEŁOŻYŁ

FR. RAWITA-GAWROŃSKI

TOM II



WARSZAWA 1922

INSTYTUT WYDAWNICZY «BIBLIOTEKA POLSKA»

358 b
1/11

CZEŚĆ TRZECIA



I.

Oblomow promieniał szczęściem, wracając do domu. Krew w nim wrzała, oczy błyszczały. Zdawało mu się, że nawet włosy palą się na nim. W takim nastroju wszedł do pokoju. Ale ledwie wszedł — jasność znikła nagle i oczy z nieprzyjemnem zdziwieniem zatrzymały się na jednym miejscu: w jego fotelu siedział Tarantjew.

— Cóż to ciebie doczekać się nie można? Gdzież ty się włóczysz? — ostro zwrócił się do niego Tarantjew, podając mu swoją owłosioną rękę. — I twój stary czort zupełnie się rozzuchwiał. Proszę o zakąskę — nie dał, o wódkę — także niema.

— Chodziłem na przechadzkę do lasu — nie-
dbale odpowiedział Oblomow, jeszcze nie oprzytomniawszy z przykrości, doznanej skutkiem zjawienia się „ziemlaka“ — i to w takiej właśnie chwili!

Zapomniiał o tej smutnej atmosferze, w której żył tak długo, i odzwyczaił się od jej nieczystego powietrza. Tarantjew w jednej chwili ściągnął go na dół, jak z nieba, w błoto. Oblomow ze smutkiem pytał siebie: poco on tu przyszedł? Czy na długo? Męczył się przypuszczeniem, że może tu zostanie na obiad i wtedy nie można będzie pójść do Iljinkich. W jaki sposób się go pozbyć, — chociażby kosztem jakiegoś wydatku — było jedyną myślą.

która zajmowała Obłomowa. W milczeniu i zły czekał, co powie Tarantjew.

— Cóż ty, ziemiak, nie myślisz oglądnąć nawet mieszkania — spytał Tarantjew.

— Teraz nie potrzeba... — odpowiedział Obłomow, starając się nie patrzeć na Tarantjewa. — Ja... nie będę tam mieszkał.

— Co—o—o? Jakto nie będziesz! — groźnie odezwał się Tarantjew. — Nająłeś i nie będziesz mieszkał? A umowa?

— Jaka umowa?

— Ty, widzę, już zapomniałeś! Przecież na rok podpisałeś umowę. Zapłać ośmset rubli — a wtedy rób, co chcesz. Czterech lokatorów oglądało, ażeby wynająć, wszystkim odmówiono. Jeden chciał nająć na trzy lata.

Obłomow teraz dopiero przypomniał sobie, że tego samego dnia, kiedy miał odjechać do letniska, Tarantjew podsunął mu jakiś papier, a on, nie patrząc i nie czytając wcale, podpisał.

— Ach, mój Boże! Co ja narobiłem! — pomyślał.

— Ależ ja nie potrzebuję mieszkania... jadę za granicę.

— Zagranicę — przerwał Tarantjew. To pewnie z tym Niemcem? Ale, gdzie zaś — ty nie pojedziesz!

— Dlaczego nie? Paszport już mam — pokażę ci nawet. Kupiłem kufer.

— Nie pojedziesz! — obojętnie powtórzył Tarantjew. Lepiej zapłać pieniądze za pół roku na-przód.

— Nie mam pieniędzy.

— Rób, co chcesz, ale zapłać. Brat kumy Iwan Matwieicz nie lubi żartów. Wnieście skargę. Nie

odczepisz się tak łatwo. Ja dałem swoje pieniądze — zwróć mi.

— Skądże wziąłeś tyle pieniędzy? — spytał Oblomow.

— Co tobie do tego? Dawny dług mi spłacono. Po pieniądze też przyjechałem.

— Dobrze. Temi dniami przyjadę i mieszkanie odstąpię innemu, a teraz nie mam potrzeby się śpieszyć.

— Jakież ci mieszkanie potrzebne? Lepszego w całym mieście nie znajdziesz. Przecież nie oglądałeś go jeszcze — rzekł Tarantjew.

— I oglądać nie chcę — odpowiedział Oblomow. — Poco mam się tam przeprowadzać? Daleko dla mnie...

— Dlaczego? — szorstko zapytał Tarantjew. Oblomow nie powiedział.

— Od środka miasta daleko.

— Od jakiego środka? Poco on ci potrzebny? Leżeć będziesz...

— Nie, już teraz nie leżę.

-- Dlaczego?

— Tak... ja... dzisiaj... — począł.

— Co? — przerwał Tarantjew.

— Nie będę jeść obiadu w domu.

— Ty mnie daj pieniądze — i niech cię czort weźmie!

— Jakie pieniądze? — niecierpliwie zapytał Oblomow. — Temi dniami przyjadę do mieszkania, pomówię z gospodynią...

— Jaką gospodynią? Kumą — czy co? Co ona rozumie? Baba! Ty z bratem jej pogadaj — zobaczysz!

— Dobrze. Pojadę i pomówię.

— Tak! Czekać na ciebie! Oddaj najprzód pieniądze!

— Nie mam. Muszę pożyczyć.

— Zapłać mi przynajmniej teraz za dorożkę — nalegał Tarantjew — trzy ruble srebrne.

— Gdzież twoja dorożka? Dlaczego trzy ruble?

— Dorożkę odesłałem z powrotem. Jakto, za co? I tak nie chciał jechać, powiada: same piaski. Stąd także trzy ruble — razem dwadzieścia dwa ruble!

— Stąd jedzie omnibus. Kosztuje tylko pół rubla — rzekł Oblomow. Masz!

Dał mu cztery ruble. Tarantjew schował do kieszeni.

— Siedem rubli asygnacyjnych winien mi jesteś — dodał Tarantjew. — Daj mi przynajmniej na obiad!

— Na jaki obiad?

— Teraz nie zdążę na obiad do domu. Trzeba będzie zjeść po drodze w restauracji. Tam wszystko drogo. Pewnie zedrą jakich pięć rubli.

Oblomow milcząco wy dostał jeszcze rubla i rzucił mu. Nie siadał umyślnie, ażeby Tarantjewa zmusić do odejścia. Ale ten nie odchodził.

— Każ mi dać przynajmniej jaką zakąskę.

— Przecież chciałeś jeść obiad w restauracji? — zauważył Oblomow.

— To obiad. A teraz dopiero druga godzina.

Oblomow kazał Zacharowi podać mu cokolwiek.

— Nic niema. Nie gotowano dzisiaj — sucho odpowiedział Zachar, pochmurnie spoglądając na Tarantjewa. — A kiedyż, Michej Andreicz, zwrócisz koszulę barina i kamizelkę?

— Jakiej ty jeszcze chcesz koszuli i kamizelki?

— odezwał się Tarantjew. — Przecież zwróciłem już dawno.

— A kiedyż to?

— Przecież tobie samemu do rąk oddałem w czasie przeprowadzki. Pewnie gdzieś wetknąłeś a teraz mnie pytasz!

Zachar skamieniał.

— Ach, mój Boże! Ilja Iljicz, co to za wstyd!
— zachrypiał Zachar, zwróciwszy się do Oblomowa.

— Śpiewaj, śpiewaj tę piosnkę! — przemówił Tarantjew. — Pewnie przepiłeś, a teraz upominasz się u mnie.

— Nie, ja od urodzenia nic jeszcze pańskiego nie przepiłem! — chrypiał Zachar. — Ot, pan...

— Przestań, Zachar! — ostro przerwał Oblomow.

— Pan także zabrałeś szczotkę od podłogi i dwie nasze filizanki! — mówił Zachar.

— Jakie szczotki? — zagrmiał Tarantjew. — A ty, stary draniu! Przynieś lepiej zakąskę!

— Słyszycie, Ilja Iljicz, jak on mnie łaje? — rzekł Zachar. — Niema zakąski, nawet chleba w domu niema. Anisja wyszła.

Zachar odwrócił się i wyszedł.

— Gdzież ty jesz obiad? — spytał go Tarantjew. Dziwy się dzieją: Oblomow chodzi na przechadzkę do lasu, nie jada obiadu w domu... Kiedyż wracasz do swego mieszkania? Jesień się zbliża. Przyjedź zobaczyć.

— Dobrze, dobrze! Temi dniami...

— Nie zapomnij o pieniądzach.

— Tak, tak, tak... — niecierpliwie odpowiedział Oblomow.

— Czy nic nie trzeba zrobić w mieszkaniu? Tam brat kazał pomalować dla ciebie podłogi,

sufity, okna, drzwi — wszystko. Wydał przeszło sto rubli.

— Tak, tak... dobrze. Chciałem ci powiedzieć — nagle przypomniał sobie Oblomow — ażebyś poszedł do izby sądowej i zaświadczył moją plenipotencję.

— Cóż to? Czy ja jestem twoim adwokatem? — odezwał się Tarantjew.

— Dodam ci na obiad — rzekł Oblomow.

— Tam więcej butów zedrę, niż twój dodatek wart będzie!

— Więc jedź... ja ci zwrócę.

— Nie mogę się w izbie sądowej pokazywać — zauważył pochmurnie Tarantjew. — Wrogów mam tam złośliwych. Ciągłe myślą o tem, aby mnie zgubić.

— Dobrze... sam pojedę — rzekł Oblomow i wziął kapelusz.

— Jak przyjedziesz na nowe mieszkanie, Iwan Matwieicz wszystko ci robi. To bracie złoty człowiek. Nie taki, jak jaki Niemczyk, który Bóg wie skąd wyskoczył! Rdzenny rosyjski służbista. Trzydzieści lat na jednym siedzi krześle, całą izbą kręci, jak chce. Pieniążki ma, a dorożki nie weźmie. Frak ma lepszy od mego. Sam cichszy od wody, a niższy od trawy. Mówi — ledwie go słyszać. Po cudzych krajach nie włóczy się, jak twój...

— Tarantjew! — krzyknął ostro Oblomow, uderzywszy o stół kulakiem. — Nie gadaj! o tem, czego nie rozumiesz!

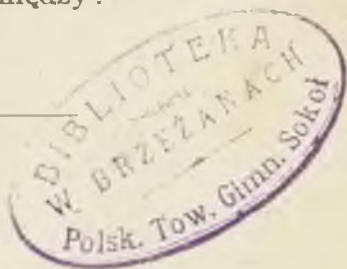
Tarantjew wytrzeszczył oczy, zdziwiony nieznanem mu przedtem zachowaniem się Oblomowa, i zapomniał nawet się tem obrazić, że go mniej od Sztolca poważano.

— O, jaki z ciebie, bracie, dzisiaj... — mruczał wzięwszy kapelusz. — Jaka gorączka! — Wygladził kapelusz rękawem, potem spojrzał na swój i na kapelusz Oblomowa, leżący na etażerce.

— Ty nie używasz kapelusza... widzę, masz czapkę. — Wziął kapelusz Oblomowa i przymierzył do swojej głowy. — Pożycz mi na lato.

Oblomow milcząc, zdjął mu kapelusz z głowy i położył na etażerce, potem skrzyżował na piersi ręce i czekał, aż Tarantjew wyjdzie.

— Nu, czort z tobą! — mówił, niezręcznie przeciskając się przez drzwi. — Ty, bracie, dzisiaj jakoś... tego... Pogadajno z Iwanem Matwieiczem i poproś by nie przywieźć pieniędzy!



II.

Wyszedł nareszcie. Oblomow usiadł w nieprzyjemnym nastroju w fotelu i długo — długo nie mógł się pozbyć przykrego wrażenia. Przypomnił sobie dzisiejszy poranek i przykre uczucie, wywołane zjawieniem się Tarantjewa, uleciało mu z głowy. Na twarzy znowu zjawił się uśmiech.

Stanął przed lustrem, długo poprawiał krawatkę i uśmiechał się, przypatrując się własnej twarzy, i szukając na niej śladu pocałunku Olgi.

— Dwa „nigdy“ — powtarzał cicho, radośnie wzruszony, a jaka różnica między niemi: jedno zbladło, a drugie tak wspaniale zakwitło.

Potem wpadał w zadumę coraz głębszą i głębszą, czuł, że jasne, bezobłoczne święto miłości minęło, że miłość w samej rzeczy stawała się obowiązkiem, że się łączyła z całym życiem, wchodziła w skład jego spraw codziennych, codziennych czynności i poczęła blednąć, tracić swoje tęczne barwy.

Może być że dziś rano błysnął jej ostatni różowy promień, a potem już nie będzie świecić jasno, lecz tylko niewidzialnie ogrzewać życie. Życie pochłonie ją i ona stanie się w niem silną, ale ukrytą sprężyną. Od tej chwili wszelkie jej objawy będą czemś prostem i zwykłym.

Poemat przebrzmi, pozostanie nieubлагana hi-

storja: pałac sądowy, wyjazd do Oblomówki, budowa domu, zaciąganie długu hipotecznego, budowa drogi, nieskończenie długie sprawy z chłopami, zatroskana twarz ekonoma, wybory szlachty i sesje w sądzie.

Rzadko kiedy błysnie spojrzenie Olgi, zadzwieczy *Casta diva*, uczuje przelotny pocałunek; potem zawsze codzienna robota, wyjazd do miasta, ekonom i robienie rachunków.

Przyjechali goście — ale i z tego niewiele radości; rozmowy o tem, ile każdy w gorzelnii produkuje wódki, ile kto arszynów sukna wysyła dla skarbu. Cóż to? Czyż tego pragnie dla siebie? Czy to jest życie? A jednak Andrzejowi podoba się ono.

Ale cały czas przedślubny, ślub — to przecież poezja życia, to kwiat, rozkwitnięty w pełni. Wyobraża sobie, jak prowadzi Olgę do ołtarza. Idzie ona z gałązką pomarańczowego kwiatu na głowie, w długim welonie. W tłumie słyhać szept podziwu. Wstydliwie, z ledwie widocznie podnoszącą się pierśią, z dumnie i pięknie pochyloną głową, podaje mu rękę i nie wie, jak patrzeć na wszystkich. Uśmiech błyszczy na jej twarzy, lzy lśnią w oczach, w linijce nad brwiami myśl jakaś się przemyka.

W domu, gdy się już goście rozjadą, jeszcze w pięknym stroju ślubnym, rzuci mu się na pierś.

— Nie, pójdę do Olgi, nie mogę myśleć i czuć sam — marzył Oblomow. — Opowiem wszystkim, całemu światu... nie, najprzód ciotce, potem baronowi, napiszę też do Sztolca — ach, jakże się zdziwi! Powiem wkońcu Zacharowi. On musi rzucić się do nóg i zapłakać z radości. Dam mu dwadzieścia pięć rubli. Przyjdzie Anisja, chwyci za rękę, aby pocałować... Dam jej dziesięć

rubli. Potem z radości krzyknę, ażeby wszyscy słyszeli, tak krzyknę, że wszyscy powiedzą: „Obłomow szczęśliwy, żeni się!“ Teraz biegnę do Olgi, tam czeka na mnie długa tajemnicza rozmowa szep-tem, jak dwa życia zlać w jedno.

Obłomow poszedł do Olgi. Ona z uśmiechem wysłuchiwała jego marzeń, ale gdy tylko powstał, ażeby ciotce oświadczyć swój zamiar, brwi tak zsunęła, że Obłomow się przeląkł.

— Nikomu ani słowa! — powiedziała, zbliżywszy palec do ust i prosząc, aby mówił ciszej, by ciotka nie słyszała w drugim pokoju. Jeszcze nie czas!

— Jakże nie czas, skoro między nami wszystko już ułożone? — zapytał niecierpliwie Obłomow. — Cóż teraz robić? Od czego zacząć? Nie można przecież siedzieć, założywszy ręce. Rozpoczyna się obowiązek, poważne życie...

— Tak, zaczyna się! — rzekła, patrząc pilnie na niego.

— Chciałem przeto zrobić pierwszy krok — pójść do ciotki.

— To właśnie ostatni krok.

— Jakiż pierwszy?

— Pierwszy, pójść do izby sądowej. Masz tam poświadczyć jakieś dokumenty.

— Tak... jutro...

— Dlaczego nie dziś?

— Dziś... dziś... taki dzień... opuścić cię, Olga i odejść...

— Dobrze. Więc jutro. A potem?

— Potem powiedzieć ciotce, napisać do Sztolca...

— Nie, potem jechać do Obłomówki... Przecież Andrzej Iwanycz pisał, co trzeba robić na wsi, jakie

tam masz sprawy — jakaś budowa, czy coś — mówiła, patrząc mu w oczy.

— Mój Boże! — rzekł Obłomow. — Jeżeli słuchać Sztolca, to na ciotkę nigdy kolej nie przyjdzie! On mówi, że trzeba rozpocząć budowę domu, potem droga, potem szkoła... Tego wszystkiego przez całe życie skończyć nie można! My, Olga, pojedziemy razem a wtedy...

— Gdzież my pojedziemy? Jest tam dom?

— Nie. Dom stary i zupełnie do mieszkania niezdalny. Ganek rozwalił się zapewne.

— Gdzież my się pomieścimy? — pytała.

— Trzeba tu poszukać mieszkania.

— Dlatego także trzeba jechać do miasta — zauważyła, — to krok drugi.

— Potem... — zaczął.

— Zróbże pierwszej te dwa kroki, a potem...

— Cóż to takiego? — w zamyśleniu rozumował Obłomow, — ani długiej, szeptanej rozmowy, ani tajemniczej umowy zlania dwóch żyć w jedno! Wszystko to jakoś idzie inaczej. Jaka dziwna ta Olga! Myśl jej nie zatrzymuje się na jednym miejscu, nad chwilą pełną poezji, jak gdyby niezdolną była marzyć; nie zna potrzeby utonąć w myślach! Zaraz pędź do izby sądowej, po mieszkaniu — jak Andrzej! Wszyscy oni, jak gdyby się umówili — śpieszyć żyć!

Na drugi dzień z arkuszem papieru, zaopatrzonym w znaczki rządowe, wyjechał do miasta, do izby sądowej. Jechał niechętnie, ziewał i patrzył na wszystkie strony. Nie wiedział dobrze, gdzie się mieści Izba i zajechał do Iwana Gerasimowicza, aby zapytać, w jakim mianowicie wydziale należy zaświadczyć plenipotencję.

Iwan Gerasimowicz tak się uradował przybyciem Oblomowa, że bez śniadania nie chciał go wypuścić. Potem posłał jeszcze do jakiegoś przyjaciela z zapytaniem, jak to się robi, bo sam już dawno wycofał się ze służby.

Śniadanie i narady zakończyły się dopiero o trzeciej. Do izby jechać było już za późno. Jutro przypadała sobota i departament nie urzędował. Trzeba było wszystko odłożyć do poniedziałku.

Oblomow pojechał na Wyborgską stronę, do swego nowego mieszkania. Długo jeździł pomiędzy parkany i zaułki. Spotkał nareszcie policjanta. Od tego dopiero dowiedział się, że to — w innym rejonie, obok, za tą ulicą. Pokazał mu jeszcze jakąś ulicę, gdzie domów wcale nie było, ale były tylko parkany, trawa i wyżłobienia od kół w zaschłym błocie.

Jechał tedy Oblomow, wpatrując się w pokrzywę, rosnącą przy parkanach i przeglądając przez płoty krzaki. Wreszcie policjant wskazał mu stary domek w środku dziedzińca i dodał:

— Oto ten właśnie.

— Dom wdowy Kolegjalnego Sekretarza Pszenicy, — przeczytał Oblomow na wrotach i kazał wjechać na dziedziniec.

Dziedziniec nie większy był od pokoju, tak, że powóz, wjeżdżając, trącił w jakiś kąt i przestraszył kury, które z gdakaniem się rozbiegły, a wielki czarny pies począł szarpać się na łańcuchu na prawo i lewo z rozpaczliwym szczekaniem, siłąc się uchwycić konia za pysk.

Oblomow siedział w powozie na jednej linji z oknami domu i z trudem mógł wysiąść. Na parapetach ustawione były wazoniki z rezedą,

bratkami i nagietkami, z poza których wyglądały głowy ludzkie. Oblomow zdołał jakoś wysiąść z powozu, pies jeszcze głośniej ujadać począł.

Wszedł na ganek i zetknął się ze staruszką o pomarszczonej twarzy, w sarafanie, z podwinie- tym do pasa podolkiem.

— Kogo pan szuka?

— Gospodyni domu, pani Pszenicyn.

Staruszka głowę schyliła z powątpiewaniem.

— Może pan do Iwana Matwieicza? Jego niema w domu. On jeszcze nie wrócił z urzędu.

— Chciałbym się widzieć z właścicielką domu — rzekł Oblomow.

Tymczasem w domu nie ustawało zamieszanie. To przez jedno, to przez drugie okno wyglądała jakaś głowa. Poza staruszką drzwi otworzyły się trochę i przymknęły się znowu. Widać było tam kilka osób.

Oblomow się odwrócił. Na dziedzińcu dwoje dzieci, chłopczyk i dziewczynka, przyglądali mu się z ciekawością.

Zjawił się skądś zaspany chłop w kozuchu i, ręką zakrywając oczy od słońca, leniwem spojrzeniem patrzył na Oblomowa i powóz.

Pies szczekał przerywanym głosem, a gdy tylko Oblomow poruszył się lub koń uderzył kopytem, skakał i rwał się z łańcucha.

Przez plot na prawo widział Oblomow ogromny ogród, zasadzony kapustą, na lewo, także przez parkan — kupkę drzew i zielono malowaną altankę.

— Pan do Agafji Matwiejewny? — spytała staruszka. Czego pan chce?

— Powiedz gospodyni domu — rzekł Oblomow—

że pragnę z nią się widzieć. Nająłem u niej mieszkanie.

— Więc to pan nowy lokator, znajomy Micheja Andreicza. Proszę poczekać, powiem jej.

Staruszka otworzyła drzwi, od których odskoczyło kilka głów dziecięcych i poczęły prędko uciekać do drugiego pokoju. Zdołał tylko zauważyć jakąś kobietę z gołą szyją i łokciami, bez czepka, białą, dość pełną, która uśmiechnęła się, trochę zdziwioną, że ją ujrzał nieznajomy, i cofnęła się do drugiego pokoju.

— Proszę do pokoju — powiedziała staruszka, wróciwszy; wprowadziła Oblomowa przez maleńki przedpokój do dość dużego pokoju i poprosiła poczekać. — Gospodyni zaraz przyjdzie.

— A pies ciągle jeszcze ujada — myślał Oblomow, oglądając pokój.

Nagle wzrok jego zatrzymał się na znanych mu przedmiotach: cały pokój był przeładowany jego meblami. Stoły zapyłone, krzesła kupą leżały na łóżku, materace, naczynia w nieładzie... Szafy...

— Cóż to znaczy? Nie ustawiono? Nie sprzątnięto? Obrzydliwie! — pomyślał.

Ztyłu za nim skrzypnęły drzwi i do pokoju weszła ta sama kobieta, którą już widział — z gołą szyją i łokciami.

Miała około lat trzydziestu; płeć bardzo białą, twarz pełną, tak, że rumieniec nie mógł się wybić na policzki. Brwi prawie zupełnie nie miała, a ich miejsce zajęły dwie błyszczące wypukłości, na których rosły jasne rzadkie włosy. Oczy szare, dobroduszne, jak i cały wygląd twarzy, ręce białe, ale szorstkie, z występującymi nazewnątrż mocnymi pręgami żył.

Suknię miała prawie przylegającą do ciała. Widać było, że nie posługiwała się żadnymi sztucznymi środkami, ażeby powiększyć szerokość swoich bioder i zwęzić talję. Dlatego też, nawet zakryty jej biust mógł dla rzeźbiarza lub malarza służyć jako model mocnych, zdrowych piersi, nie naruszając jej skromności. Suknia ta, w stosunku do nowego czepka i szalu, wydawała się zużytą i znoszoną.

Gospodyni nie oczekiwała gości, kiedy więc Oblomow zapragnął się z nią widzieć, na codzienną swoją suknię narzuciła świąteczny szal, a na głowę czepiec. Szła trochę bojaźliwie i wpatrywała się w Oblomowa.

Oblomow wstał i uklonił się.

— Czy mam przyjemność widzieć panią Pszenicynową?

— Tak. Pan może ma zamiar widzieć się z bratem moim? — spytała niezdecydowanym głosem. — On jeszcze w biurze, przed piątą nie wraca.

— Nie, ja z panią chciałem się widzieć — zaczął Oblomow, kiedy Pszenicynowa usiadła na kanapie, jak można najdalej od niego, i wpatrywała się w koniec swego szalu, który ją zakrywał, aż do podłogi się zwieszając.

— Wynająłem u pani mieszkanie. Teraz, skutkiem różnych okoliczności, zmuszony jestem szukać mieszkania w innej części miasta. Otóż, przyszedłem, ażeby rozmówić się z panią w tej sprawie.

Ona obojętnie wysłuchiwała i zamyśliła się.

— Teraz brata niema — rzekła.

— Przecież ten dom należy do pani? — spytał Oblomow.

— Do mnie — odpowiedziała łagodnie.

— Myślałem, że pani sama może zdecydować.

— Tak, ale brata niema... On wszyskiem rządzi — rzekła monotonnym głosem, spojrzawszy po raz pierwszy na Oblomowa i znowu utkwila oczy w szalu.

— Ona ma twarz pospolitą, ale przyjemną — pomyślał Oblomow — musi być dobrą kobietą.

W tej chwili główka dziewczynki ciekawie wysunęła się przez otwarte drzwi. Agafja Matwiejewna ukradkiem groźnie skinęła na nią głową. Dziewczynka się schowała.

— A w jakim urzędzie pracuje brat pani?

— W kancelarji.

— Jakiej?

— Gdzie zapisują chłopów... nie wiem, jak się ona nazywa.

Uśmiechnęła się prosto, ale w tej chwili twarz jej przybrała zwykły wyraz.

— Pani nietylko z bratem tu mieszka? — spytał Oblomow.

— Nie, jeszcze jest dwoje dzieci po ś. p. moim mężu; chłopczyk ośmioletni i dziewczynka sześciu lat — dość chętnie odrzekła Przenicynowa i twarz jej się ożywiła. — Jest tu jeszcze nasza babka, chora, ledwie chodzi — i to tylko wychodzi do cerkwi. Dawniej chodziła na targ z Akuliną, a teraz od św. Mikołaja przestała chodzić — nogi poczęły puchnąć. I w cerkwi siedzi prawie cały czas na wschodkach. Czasem szwagierka przychodzi w gościnę, także Michej Andreicz.

— Michej Andreicz często tu bywa? — spytał Oblomow.

— Czasem miesiąc siedzi... przyjaźni się z bratem... zawsze razem.

Agafja Matwiejewna zamilkła, zużywszy cały zapas swoich myśli i słów.

— Jaka tu cisza u was! — rzekł Oblomow — gdyby nie szczekanie psa, to można by pomyśleć że żywej duszy niema w domu.

Uśmiechnęła się, zamiast odpowiedzi.

— Pani często wychodzi z domu?

— Latem zdarza się... Ot niedawno w piątek przed świętem Eljaszeną chodziliśmy do fabryki prochu.

— Dużo tam ludzi bywa? — pytał Oblomow, patrząc przez rozchylony szal i na mocne, wysokie, jak poduszka od kanapy, nigdy nie podnoszące się jej piersi.

— Nie, tego roku było niewiele. Rano padał deszczyk, potem się rozchlapało. Zwykle dużo bywa.

— A jeszcze gdzie?

— My zwykle mało wychodzimy. Brat z Michajem Andreiczem chodzą na ryby. A my zawsze w domu.

— Czyż zawsze?

— Jak Boga kocham, zawsze! Przeszłego roku byliśmy w Kołpinie, a tu do lasku czasem chodzimy. 24 czerwca są imieniny brata... obiad zwykle bywa. Wszyscy urzędnicy z kancelarji brata są na obiedzie.

— A w odwiedziny jeździ pani?

— Brat bywa, a ja z dziećmi na obiedzie bywamy tylko u krewnych męża na Wielkanoc i na Boże Narodzenie.

Znowu cały zapas rozmowy się wyczerpał.

— Widzę u pani kwiaty... pani lubi kwiaty?

Pszenicynowa uśmiechnęła się.

— Nie. Niema czasu zajmować się kwiatami. To dzieci z Akuliną chodziły do ogrodu grafa...

ogrodnik dał georginje, a aloes jeszcze był przy mężu.

W tej chwili weszła nagle do pokoju Akulina. W rękę jej bił skrzydłami i gdał rozpaczliwym głosem wielki kogut.

— Co ty? Co ty! Idź stąd! — wołała wstydliwie Pszenicznowa, — widzisz, gość.

— Tylko chciałam zapytać — mówiła Akulina, wzięwszy koguta za nogi i trzymając głowę. Daje siedemdziesiąt kopiejek...

— Idź, idź do kuchni — mówiła Agafja Matwiejewna. — Szarego nakrapianego, a nie tego — dodała prędko, a sama zawstydzwszy się, schowała ręce pod szal i poczęła patrzeć w podłogę.

— Gospodarstwo! — zauważył Oblomow.

— Tak, my mamy dużo kur... sprzedajemy jajka i kurczęta. Tu na tej ulicy do domu grafa i na lotnisko od nas kupują — odrzekła, śmielej spojrzawszy na Oblomowa.

Twarz jej przybierała wyraz zakłopotanej troskliwości. Nawet tępość znikła powoli, gdy zaczęła mówić o rzeczy dobrze jej znanej. Na każde inne pytanie, nie odnoszące się do znajomej dobrze i celowej sprawy, odpowiadała uśmiechem i milczeniem.

— Trzeba było rozłożyć to wszystko... — zauważył Oblomow, wskazując na kupę swoich mebli i sprzętów.

— My chcieliśmy — rzekła żywo, ale brat nie pozwala — i śmielej spojrzała na Oblomowa. — Bóg wie, co on ma tam w stołach i szafach — powiada. — Coś przepadnie, do nas będą mieli pretensję.

— Ostrożny brat pani.

Ona znowu uśmiechnęła się lekko i twarz jej przybrała zwykły wyraz.

Uśmiech Agafji Matwiejewny był tylko formą, która przykrywała nieświadomość, co w tym lub innym wypadku należałoby powiedzieć lub zrobić.

— Nie mogę długo czekać na niego — rzekł Oblomow — może pani oświadczy mu, że z powodu różnych okoliczności ja teraz nie potrzebuję mieszkania, proszę przeto ażeby je odstąpił innemu lokatorowi, a ja ze swej strony także będę szukać kogoś.

Agafja Matwiejewna tępo słuchała, mrugając powiekami.

— Co zaś do kontraktu, proszę powiedzieć...

— Ależ brata w domu niema — powtarzała to samo. Proszę się jutro pofatygować... jutro sobota... w urzędzie nie bywa.

— Ja bardzo jestem zajęty... ani chwilki swobodnej nie mam — wymawiał się Oblomow... — Proszę mu tylko powiedzieć, że ponieważ zadatek pozostanie na waszą korzyść, a lokatora znajdę... to...

— Brata niema... — mówiła głosem monotonnym. Nie przychodzi jeszcze...

Wyrzła na ulicę.

— Tędy zawsze chodzi... przez okno widać, jak idzie... ale teraz niema...

— Ja odchodzę — zauważył Oblomow.

— A gdy brat przyjdzie, co mu powiedzieć... kiedy pan na mieszkanie już...

Wstała z kanapy.

— Proszę mu oświadczyć, że prosiłem — zaczął Oblomow — ponieważ okoliczności...

— Możeby pan jutro się pofatygował i pomówił z bratem,

— Jutro nie mogę.

— Więc pojutrze. W niedzielę po mszy... u nas wtedy i zakąska bywa... Michej Andreicz przychodzi...

— Czy rzeczywiście i Michej Andreicz przychodzi? — spytał Oblomow.

— Jak Boga kocham, prawda.

— I pojutrze nie mogę — niecierpliwie wymawiał się Oblomow.

— To w przyszłym tygodniu... — zauważyła. — A kiedyż spodziewać się pana już na stałe mieszkanie. Kazałabym podłogi wyszorować, kurze zetrzeć — dodała.

— Ja nie będę tu mieszkał!

— Jakże? A z rzeczami co zrobimy?

— Proszę powiedzieć bratu — począł mówić Oblomow powoli, utkwivszy oczy w piersi Agafji Matwiejewny — że z powodu okoliczności...

— Tak długo nie przychodzi... nie widać... — mówiła, patrząc na parkan, oddzielający ulicę od dziedzińca. — Ja znam jego kroki... słychać na drewnianym chodniku. Tu mało kto chodzi...

— Więc pani oświadczy mu, o co prosiłem? — kłaniając się i odchodząc, mówił Oblomow.

— Za pół godziny z pewnością przyjdzie — zauważyła gospodyni z właściwem sobie zaniepokojeniem, starając się zatrzymać Oblomowa.

— Dłużej czekać nie mogę! — rzekł stanowczo, otwierając drzwi.

Pies, ujrzawszy go na ganku, począł ujadać i szarpać się z łańcucha.

Furman, śpiący dotychczas, oparty o łokieć, począł cofać konie, śród kur powstał znowu przestrach i hałas, poczęły rozbiegać się na różne strony. W oknie ukazało się kilka głów.

— Powiem bratu, że pan był — z wyrazem niepokoju rzekła Agafja Matwiejewna, gdy już Obłomow siedział w powozie.

— Proszę powiedzieć, że ja z powodu różnych okoliczności nie mogę tu mieszkać, że mieszkanie odstąpię komu innemu, albo żeby... on poszukał.

— W tym czasie brat zwykle przychodzi — mówiła z roztargnieniem Agafja Matwiejewna. Powiem, że pan przyjedzie.

— Tak, temi dniami przyjadę — rzekł Obłomow.

W akompanjamencie szalonego ujadania psa, powóz wyjechał z dziedzińca i począł kołysać się po grudzie niebrukowanej ulicy.

W końcu uliczki ukazał się jakiś człowiek w wytartym płaszczu, około czterdziestki, z wielką pliką papierów pod pachą, z grubą laską w ręku i w kaloszach, pomimo że było sucho i dzień upalny.

Szedł prędko, rozglądał się na wszystkie strony i stapał tak twardo, jak gdyby chciał załamać drewniany chodnik. Obłomow oglądał się za nim i widział, że wszedł do bramy Pszenicynowej.

— Otóż pewnie i brat przyszedł — pomyślał. — Czort z nim! Jeszcze wypadłoby przegadać z nim jaką godzinę, a jeść się chce i gorąco. Olga czeka na mnie... Innym razem!

Zwrócił się do furmana.

— Jedź prędzej!

— Mieszkanie mam upatrzeć... — przypomniał sobie nagle, wodząc okiem po parkanach. — Trzeba znowu nazad na Morską lub Koniuszenną... Innym razem! — zadecydował.

— Ruszaj prędzej!

III.

W końcu sierpnia poczęły padać deszcze. Z willij, gdzie były piece, unosił się już dym z kominów, a gdzie ich nie było, tam ludzie chodzili z podwiązanymi policzkami. Wkońcu powoli wille się wydłubiły.

Obłomow nie pokazywał się w mieście. Jednego ranka obok jego okien przeniesiono meble Iljinskiich. Chociaż nie uważał już teraz za bohaterstwo przeprowadzać się na inne mieszkanie, gdzieś po drodze zjeść obiad i nie leżeć przez cały dzień, nie wiedział, gdzie noc spędzi.

Pozostawać na letnisku samemu, gdy park i lasy opustoszały, a okiennice w oknach Olgi zamknięte, wydało mu się niepodobieństwem.

Przeszedł się po pustych pokojach Iljinskiich, okrążył park, poszedł w góry i serce ścisnęło mu się żalostí.

Kazał Zacharowi i Anisji jechać na Wyborgską stronę, gdzie zdecydował się pozostać do czasu wyszukania nowego mieszkania, a sam odjechał do miasta w zamiarze zjedzenia obiadu w restauracji, a potem spędzenia wieczoru u Olgi.

Jesienne wieczory w mieście nie podobne były do długich jasnych dni i wieczorów w parku i lasku. Tu już nie mógł widywać się z nią po kilka razy

dziennie, nie przybiegnie do niego Katja, nie pośle Zachara z bilecikiem o pięć wiorst. Cały ten letni, pełen kwiatów poemat miłości jakby się prze-rwał, potoczył się trochę leniwiej, jakby mu już brakło treści.

Niekiedy pół godziny przesiedzieli w milczeniu. Olga, zajęta ręczną robótką, liczy po cichu kwadraciki wzoru, a on gubi się w chaosie myśli i wyprzedza życie, o wiele poza moment bieżący.

Tylko niekiedy, wpatrując się pilnie w Olgę, drgnie namiętnie, lub ona poruszy się mimowolnie i uśmiechnie się, ujrawszy w jego oczach promień łagodnej pokory i milczącego szczęścia.

Przez trzy dni z rzędu jeździł do miasta do Olgi i jadał obiad u ciotki pod pozorem, że jeszcze się nie urządził na nowem mieszkaniu, że w ciągu tygodnia przyjedzie do miasta i urządzi mieszkanie.

Piątego dnia ciotka z Olgą nie były na obiedzie w domu, szóstego Olga dała mu znać, że będzie w jakimś magazynie, że się tam spotkają, że ją odprowadzi piechotą do domu, a powóz ztyłu będzie podążać za nimi.

Wszystko to szło jakoś nieskładnie. Po drodze spotykano znajomych i jej i jego. Niektórzy zatrzymywali się na gawędkę.

— Ach, mój Boże! Co za męczarnia! — myślał, cały potem obłany od upału i odczuwania fałszywej pozycji.

Ciotka spoglądała na niego swoim bezbarwnym wzrokiem i w zamyśleniu wahała jakiś spirytus, jak gdyby to wszystko sprawiało jej ból głowy. A jeździć — tak daleko! Jedź na Wyborgską stronę, a potem wracaj wieczorem — trzy godziny stracone.

— Powiemy ciotce — nalegał Obłomow — a wtedy od rana już będę mógł być przy tobie, i nikt nie będzie się dziwić temu.

— Byleś w izbie sądowej? — pytała Olga.

Obłomow miał wielką chęć powiedzieć: byłem i wszystko załatwiłem, ale wiedział, że Olga spojrzy na niego pilnie i wyczyta kłamstwo na jego twarzy.

Zamiast odpowiedzi westchnął tylko.

— Ach, gdybyś ty wiedziała, jak to trudno! — rzekł.

— Z bratem gospodyni mówiłeś? Wyszukałeś mieszkanie? — pytała, nie podnosząc oczu.

— Rano on nigdy w domu nie bywa, a wieczorami ja jestem tutaj — rzekł Obłomow, ucieszony, że znalazł wymówkę.

Teraz Olga westchnęła, ale nic nie powiedziała.

— Jutro koniecznie pomówię z bratem gospodyni — uspokajał ją Obłomow. — Jutro niedziela on do urzędu nie chodzi.

— Zanim się to wszystko nie urządzi, nie można mówić ciotce i widywać się musimy rzadziej.

— Rzeczywiście, prawda — trochę przełęczniony rzekł Obłomow.

— Przychodź do nas na obiady w niedziele, to nasz dzień przyjęć. Potem może w środę. Możemy widywać się w teatrze. Dowiesz się, kiedy będziemy — i ty bądź także.

— Tak, to dobrze — rzekł Obłomow, uradowany, że uregulowaniem widywania się Olga zajęła się sama.

— Gdy się zdarzy piękny dzień, ja pojedę do Letniego ogrodu — i ty możesz tam przyjść. To przypomni nam park — zakończyła z rozrzewnieniem.

Ilja Iljicz milcząco pocałował jej rękę i pożegnał ją do niedzieli. Olga smutnym wzrokiem powiodła za nim, potem usiadła przy fortepianie i pograżyła się całkowicie w muzyce. Chciała śpiewać, ale — nie mogła. Czuła w sercu niby płacz jakiś i muzyka jej płakała także.

Nazajutrz rano Oblomow wstał i wdział na siebie ten szary surducik, jaki nosił na letnisku. Z chałatem pożegnał się dawno i kazał go schować do szafy.

Zachar, swoim zwyczajem, niezgrabnie zbliżał się z tacą do stołu, z kawą i obwarzankami. Za nim, także według zwyczaju, z półotwartych drzwi wysuwała się Anisja, patrząc, czy też Zachar doniesie filiżankę do stołu i natychmiast cicho chowała się za drzwi, gdy Zachar szczęśliwie postawił już tacę na stole — lub też szybko podbiegała do niego, gdy spostrzegła, że coś spadło z tacy, ażeby resztę zatrzymać. Zachar przytem nieodmiennie piorunował najprzód na spadające przedmioty, potem na żonę, zamachnąwszy ręką, aby ją uderzyć w piersi.

— Doskonała kawa! Kto to gotuje? — pytał Oblomow.

— Sama gospodyni — już szósty dzień — mówił Zachar. — Wy nie umiecie — powiada — za dużo dajecie cykorji. Pozwólcie, ja zgotuję.

— Doskonała! — powtórzył Oblomow, nalewając drugą filiżankę. Podziękuj jej.

— Oto ona sama — rzekł Zachar, — wskazując półotwarte drzwi drugiego pokoju. Tu bufet... Ona tu pracuje... Tu ma cukier, herbatę, naczynie.

Oblomow mógł tylko widzieć plecy gospodyni, kark, część białej szyi i gole łokcie,

— Co ona tam temi łokciami tak żywo obraca?
— spytał Oblomow.

— Kto ją wie. Koronki prasuje, czy co.

Oblomow przypatrzył się poruszeniom łokci, jak plecy zginały się i rozginały.

U dołu, gdy się schylała, widać było czystą spodnicę, czyste pończochy i okrągłe, pełne łydki.

— Żona urzędnika — pomyślał Oblomow — a łokcie, jak u jakiej hrabiny, nawet z dołeczkami.

W południe Zachar wszedł zapytać, czy barin nie zechce spróbować ich „piroga“. Kazała zaproponować gospodyni.

— Dziś niedziela, więc pieką „pirog“.

— Dobry to może być „pirog“! — niedbale zauważył Oblomow. Z cebulą pewnie i z marchwią!

— „Pirog“ nie gorszy od Oblomowskich — zauważył Zachar — z kurczętami i świeżymi grzybami.

— Ach, to musi być bardzo smaczne! Przy-
nieś! Kto to u nich gotuje? Czy ta zamorusana
baba!

— Gdzie jej do tego! — z pogardą zauważył Zachar. — Gdyby nie gospodyni, to baba i garnka nie potrafi przystawić. Gospodyni sama w kuchni gotuje. „Pirog“ wypiekły razem z Anisją.

Po pięciu minutach z bocznego pokoju wysu-
nęła się goła ręka, ledwie przykryta szalem, który
już był na niej widział, trzymająca talerz w rękę,
z kawałkiem dymiącego się „piroga“.

— Bardzo pięknie dziękuję — odezwał się ła-
godnie Oblomow, biorąc talerz z „pirogiem“ i spoj-
rzawszy ku drzwiom wzrokiem wpił się w wysokie
piersi i nagie plecy.

Drzwi zamknęły się pośpiesznie,

— Wódeczki pan nie chce? odezwał się głos z za drzwi.

— Nie piję, bardzo dziękuję, — jeszcze łagodniej rzekł Obłomow. — Pani jaką ma?

— Swoją, domową. Sama nalewam na liście czarnych jagód — znowu słyszał ten sam głos.

— Nigdy takiej nalewki nie piłem. Popróbuje, jeżeli pani pozwoli.

Naga ręka znowu przesunęła się przez drzwi z kieliszkiem wódki na talerzu. Obłomow wypił. Bardzo mu smakowała.

— Bardzo dziękuję — rzekł Obłomow, starając się przez drzwi zaglądnąć. Ale drzwi nagle się zamknęły.

— Cóż to pani nie pozwoli na siebie spojrzeć i dzień dobry oddać — rzekł z wymówką Obłomow.

Agafja Matwiejewna uśmiechnęła się za drzwiami.

— Jestem jeszcze w mojej codziennej sukni. Ciągłe byłam w kuchni. Zaraz się ubiorę. Brat też zaraz wróci z nabożeństwa — odpowiedziała.

— Dobrze, żeś mi pani przypomniała o bracie. Muszę z nim koniecznie pomówić. Proszę go poprosić, aby wstąpił do mnie.

— Dobrze, powiem, gdy wróci.

— A kto to u was kaszle! Czyj to taki suchy kaszel! — pytał Obłomow.

— To nasza babka... już ósmy rok kaszle.

Drzwi znowu zamknęły się.

— Jaka ona... naturalna — pomyślał Obłomow, — jest w niej coś takiego... Czyściutko koło niej.

Dotychczas Obłomow nie zdołał się poznać z braciszkiem gospodyni.

Widział tylko — i to rzadko, leżąc rano w łóżku,

jak przez furteczkę przesuwiał się jakiś człowiek, z pliką papierów pod pachą i znikał w zaułku, a potem o piątej godzinie znowu przechodził z tym samym pakietem koło jego okien, wracając do domu i znikał na ganku. W domu nikt nie słyszał jego głosu.

Mimo to, widać było, że tam mieszkali ludzie. Dolatywało stukanie noży, dochodził przez okno plusk wody — to baba plókała coś w kącie; stróż rąbał drzewo lub woził wodę na dwukołowej beczce, za ścianą płakały dzieci lub słyszać było uporczywy, suchy kaszel staruszki.

Oblomow zajmował cztery pokoje, to jest całą amfiladę od frontu. Gospodyni z rodziną zajmowała dwa boczne pokoiki, a braciszek zamieszkiwał górkę, tak zwaną świetlicę.

Gabinet i sypialny pokój Oblomowa zwrócone były na dziedziniec, salonik do ogródka, a wielka sala do dużego ogrodu zasadzonego kapustą i kartoflami. W saloniku okna były ubrane w dobrze już spłowiałe perkalikowe firanki.

Przy ścianach ustawione były proste krzeselka z imitacją orzechowej barwy, przed lustrem stał stolik do kart, na oknie wazoniki z geranjami i bratkami i wisiały cztery klatki z czyżykami i kanarkami.

Brat wszedł na palcach, a na powitanie Oblomowa odpowiedział trzykrotnie w pas się kłaniając. Mundur miał zapięty na wszystkie guziki, tak że nie można się było domyśleć, czy miał na sobie bieliznę, krawat związany w węzeł, a końce spuszczone wdół.

Miał on około lat czterdziestu, na czole niewielki pukiel włosów, a po obu bokach zwieszały się na skronie dwa kosmyki włosów podobne do psiego

ogona, sięgające aż do uszu. Szare oczy nie od razu patrzyły na jakiś przedmiot, lecz z początku niby ukradkiem. Zatrzymywały się dopiero przy powtórnem spojrzeniu

Iwan Matwieicz jakby się rąk swoich wstydził; kiedy rozmawiał — chował je albo za plecy, albo jedną wkładał pod mundur na piersiach, a drugą za plecy. Podając zwierchnikowi swemu jakiś papier, zwykle jedną rękę trzymał za plecami, a paznokciem środkowego palca drugiej ręki, ostrożnie wskazywał jakiś wiersz lub wyraz, wskazawszy, natychmiast chował i tę rękę za plecy, może dlatego, że palce były grube, czerwone i trochę się trzęsły. Nie bez powodu przeto było owo chowanie rąk.

— Pan raczył — zaczął, rzuciwszy swoje podwójne spojrzenie na Oblomowa — kazać przyjąć mnie do siebie.

— Tak. Chciałem z panem pomówić, co do mieszkania. Proszę usiąść — poprosił grzecznie Oblomow.

Iwan Matwieicz po dwukrotnie powtórzonej propozycji, zdecydował się usiąść, pochyliwszy się całym ciałem naprzód i schowawszy ręce do rękawów.

— Z powodu różnych okoliczności, zmuszony jestem poszukać innego mieszkania — rzekł Oblomow. — Chciałbym to mieszkanie odstąpić.

— Teraz trudno odstąpić — kaszlnąwszy w palce i schowawszy je z ręcznie do rękawa, odezwał się Iwan Matwieicz. — Gdyby pan raczył był zdecydować się w końcu lata, wtedy wielu poszukiwało.

— Przyjeżdżałem tu, ale pana nie było.

— Siostra mi mówiła — dodał czynownik. — Niech się pan nie martwi mieszkaniem... będzie tu panu wygodnie. Może ptaki niepokoją!

— Jakie ptaki!

— Kury.

Obłomow, chociaż co rana słyszał pod oknami gdakanie kwoki i pisk kurcząt, wcale o tem nie myślał. Przed oczyma jego unosił się obraz Olgi i ledwie widział, co go otacza.

— Nie, to nic. Myślałem, że pan mówi o kanarkach — rzekł — które od świtu poczynają świergotać.

— Wyniesiemy klatki — odpowiedział Iwan Matwieicz.

— Ale i to nic... Ja jednak z innych powodów nie mogę tu zostać.

— Jak pan chce — rzekł Iwan Matwieicz. — Ale jeśli pan nie znajdzie lokatora, co będzie z umową? Czy pan ją wypełni? Będzie koszt duży...

— Ileż się panu należy? — spytał Obłomow.

— Przyniosę rachunek.

Wyszedł, a po chwili wrócił z kontraktem i rachunkiem.

— Za mieszkanie osiemset rubli. Sto dano zdatku, pozostaje siedemset.

— Czyż pan chce za cały rok ściągnąć ode mnie, kiedy ja dwóch tygodni jeszcze nie mieszkam? — przerwał Obłomow.

— Jakże może być inaczej — zaczął łagodnie Iwan Matwieicz. — Siostra będzie miała stratę, to niesprawiedliwie. Ona biedna wdowa, z tego tylko żyje, co dom przyniesie. Chyba na jajkach i kurczętach coś zarobi — na koszuliny dla dzieciaków.

— Zmiłuj się pan, ja nie mogę — przemówił Obłomow, — przecież dwóch tygodni nie mieszkam. Cóż to jest? Za co?

— W kontrakcie powiedziano — mówił Iwan

Matwieicz, pokazując średnim palcem dwa wiersze i zaraz chowając do rękawa — proszę przeczytać: „jeśli ja, Oblomow, zechcę przed czasem opuścić mieszkanie, to obowiązuję się je ustąpić innemu lokatorowi na tych samych warunkach, w przeciwnym razie zapłacić jej, Pszenicynowej, czynsz za cały rok, do 1-go czerwca następnego roku”.

Oblomow przeczytał.

— Przecież to niesprawiedliwie — zauważył.

— Takie prawo — rzekł Iwan Matwieicz. — Sam pan raczył podpisać kontrakt — oto podpis pana.

Znowu się zjawił palec, wskazujący podpis, i znowu ręka się schowała.

— Siedemset rubli... — wskazał na rachunku Iwan Matwieicz, zgiąwszy swój palec.

— Za stajnię i wozownię sto pięćdziesiąt rubli.

Znowu wskazał na rachunku.

— Przecież ja koni nie mam i nie trzymam, pocóż mi wozownia i stajnia? — z żywością zaprotestował Oblomow.

— W kontrakcie zapisano — zauważył Iwan Matwieicz, pokazując palcem odpowiedni wiersz. — Michej Andreicz mówił, że pan będzie trzymał konie.

— Iwan — Andreicz łże! — ze złością krzyknął Oblomow. Proszę dać kontrakt.

— Pan otrzyma kopię. Kontrakt oryginalny pozostanie u siostry — rzekł Iwan Matwieicz słodkim głosem, biorąc kontrakt do ręki. Oprócz tego za ogród i pobieranie z niego kapusty i rzepy, jakoteż różnych owoców, licząc na całe lato — czytał Iwan Matwieicz około — dwieście pięćdziesiąt rubli.

Podniósł palec, ażeby wskazać na rachunku.

— Jaki ogród? Jaka kapusta? Ja o tem nic nie wiem! Co pan mówi! — prawie groźnie przemówił Obłomow.

— Tak zapisano w kontrakcie. Michej Andreicz powiedział, że pan najmuje z ogrodem.

— Cóż to takiego! Wy beze mnie moją kuchnią rozporządzacie się! Ja nie życzę sobie ani waszej kapusty, ani rzepy — rzekł Obłomow wstając.

Iwan Matwieicz wstał także.

— Na miłość Boga! Jakże można — bez pana! Przecież tu jest podpis pański — zawołał.

I znowu gruby palec Iwana Matwieicza trząsał się nad podpisem tak, że cały kontrakt się ruszał.

— Ileż pan wszystkiego naliczył? — spytał niecierpliwie Obłomow.

— Jeszcze za malowanie sufitu i drzwi, za przerobienie okien w kuchni, za nowe okucia do drzwi sto pięćdziesiąt cztery ruble i dwadzieścia osiem kopejek.

— I to na mój rachunek? — ze zdziwieniem spytał Obłomow. Przecież zawsze to się robi na rachunek gospodarza. Któż wprowadza się do nieuporządkowanego mieszkania.

— W kontrakcie napisano, że na rachunek pana — rzekł Iwan Matwieicz, ukazując miejsce, gdzie był ten warunek zapisany. — Tysiąc trzysta pięćdziesiąt cztery rubli dwadzieścia osiem kopejek — zakończył słodziutkim głosem, chowając ręce wraz z kontraktem za plecy.

— Skąd ja tyle wezmę? Nie mam pieniędzy — rzekł Obłomow, chodząc po pokoju. — Bardzo mi potrzebna wasza kapusta i rzepa!

— Jak się panu podoba — cichutko dodał Iwan Matwieicz. — Niech się pan nie troszczy,

panu tu będzie wygodnie, a pieniądze... siostra poczeka.

— Nie, nie mogę tu zostać z różnych powodów. Słyszysz pan?

— Słyszę. Jak się panu podoba — rzekł posłusznie, o krok się cofnąwszy.

— Dobrze. Ja pomyślę i postaram się odstąpić mieszkanie — rzekł Obłomow, skinął głową na pożegnanie.

— Trudno... a zresztą, jak pan chce! — rzekł i, złożywszy trzykrotny ukłon, opuścił pokój.

Obłomow wyjął portfel i obliczył pieniądze. Było wszystkiego trzysta pięć rubli. Obłomowowi mdło się zrobiło.

— Cóż ja zrobiłem z pieniędzmi! — krzyknął ze zdziwieniem, z przestraciem prawie, pytając sam siebie. — Na początku lata przysłano ze wsi tysiąc dwieście rubli, a teraz mam tylko trzysta!

Począł liczyć, przypominać sobie różne wydatki i mógł przypomnieć sobie, że wydał tylko dwieście pięćdziesiąt rubli.

— Gdzie się te podziały pieniądze?

— Zachar! Zachar!

— Czego pan sobie życzy?

— Nacośmy wydali pieniądze? Przecież pieniędzy niema! — spytał.

Zachar począł przeszukiwać swoje kieszenie, wyjął pół rubla, potem dziesięć kopiejek i położył na stół.

— Z przeprowadzki zostało, zapomniałem oddać.

— Poco ty mnie te drobiazgi podsuwasz! Ty powiedz, gdzie się podziało ośmset rubli.

— Skąd ja wiem? Czy ja wiem, na co pan tracił? Ile pan płacił za wynajmowanie powozów?

— Prawda, na wynajęcie powozów poszło dużo,

— przypominał sobie Obłomow, patrząc na Zachara. — Nie pamiętasz, ile zapłaciliśmy dorożkarzowi na letnisku?

— Jak pamiętać! Raz kazał mi pan dać trzydzieści rubli — to pamiętam.

— Mogłeś przecie zapisywać! — zrobił wymówkę Obłomow. — Złe być niepiśmiennym!

— Przeżyłem życie, nie umiając pisać — pomyślał Zachar, patrząc na stronę — nie gorzej od innych.

— Ot, u Iljińskich był taki, co umiał pisać, jak powiadali ludzie — tłumaczył się Zachar — to też wyciągnął srebro z bufetu.

— Rzeczywiście! — pomyślał lekliwie Obłomow — ci piśmienni — wszyscy tacy niemoralni! Włóczą się po szynkach z harmoniką i herbatę piją! Nie, nie czas jeszcze zakładać szkoły!

— Na co jeszcze wydało się? — pytał dalej.

— Skąd mogę wiedzieć? — odrzekł Zachar.

— Michejowi Andreiczowi też coś pan dawał na letnisku.

— Prawda, w samej rzeczy — rzekł uradowany Obłomow, przypomniawszy sobie ten wydatek. — Tak zatem: dorożka trzydzieści, Tarantjew, zdaje się, dwadzieścia pięć... a reszta?

Pytając w zamyśleniu patrzył na Zachara. Zachar zpośród spoglądał na Obłomowa.

— Może Anisja pamięta? — pytał Obłomow.

— Jak taka głupia może pamiętać! Co baba wie! — rzekł Zachar pogardliwie.

— Nie przypomnę sobie! — z rozpaczą rzekł Obłomow. — Czy czasem nie było u nas złodzieji?

— Gdyby byli złodzieje, byliby wszystko zabrali — zauważył Zachar.

Ilja Iljicz usiadł w fotelu i zamyślił się.

— Skąd ja wezmę pieniędzy?

Poty zimne biły na niego.

— Bóg wie kiedy ze wsi przyślą i ile?

Spojrzał na zegarek, była druga godzina. Czas jechać do Olgi. Dziś właśnie u niej obiad. Oblomow powoli uspokoił się, kazał zawołać dorożkę i pojechał na Morską.

IV.

Powiedział Oldze, że mówił z bratem gospodyni, prędko dodając, że ma nadzieję w tym tygodniu odstąpić komuś mieszkanie.

Olga przed obiadem wyjechała wraz z ciotką z wizytami, a Oblomow poszedł oglądać mieszkanie w pobliżu. Zwiedził dwa lokale. Za jeden, składający się z czterech pokoi, żądano cztery tysiące, za drugi — z pięciu, sześć tysięcy rubli.

— Strach! Strach! — wołał, zatykając sobie uszy i uciekając od zdziwionych stróżów. Dodawszy do tej sumy przeszło tysiąc rubli, które trzeba było zapłacić Pszenicynowej, Ilja Iljicz ze strachu nie zdołał nawet zliczyć wszystkiego i, przyśpieszywszy kroku, pobiegł do Olgi.

Tu zastał już liczne towarzystwo. Olga była ożywiona, grała i śpiewała. Wszyscy byli zachwyceni, tylko Oblomow słuchał roztargniony, chociaż ona grała i śpiewała tylko dla niego. Chciała ażeby nie siedział, schyliwszy głowę i opuściwszy powieki, lecz aby cała jego istota zajęta była bezustannie.

— Przyjedź jutro do teatru. Mamy lożę — rzekła.

— Wieczorem, po błocie, tak daleko! — pomyślał.

Spojrzał jej w oczy i na uśmiech odpowiedział uśmiechem zgody.

— Zaabonuj się na fotel w teatrze — dodała. — W przyszłym tygodniu przyjadą Majewscy. Ciotka zaprosiła ich do łóży.

Olga patrzyła mu w oczy, ażeby sprawdzić, czy on się ucieszy.

— Mój Boże! — pomyślał Obłomow z przestraszchem — ja mam tylko trzysta rubli w kieszeni...

— Poproś barona. On tam zna wszystkich. Jutro posyła po fotele — dodała.

Uśmiechnęła się — i on się uśmiechnął, patrząc na nią. Poprosił barona, a baron z uśmiechem obiecał posłać po bilet.

— Narazie w fotelu, a potem, gdy już zakończysz swoje sprawy — mówiła Olga — będziesz miał prawo do miejsca w naszej łóży.

I uśmiechnęła się znowu tak, jak wtedy, gdy się czuła szczęśliwą.

Ach, jakie szczęście roztoczyło się przed nim gdy Olga podniosła nieco zasłony czarującej przyszłości, przykrytej uśmiechami, jak kwiatami.

Obłomow zapomniał o braku pieniędzy. Na jutro rano, ujrawszy przesuwający się koło jego okien plik papierów „braciszka“, przypomniał sobie, że trzeba poświadczyć pełnomocnictwo w Izbie sądowej. Poprosił więc o to Iwana Matwieicza, który, odczytawszy pełnomocnictwo, oświadczył, że jest tu może jeden punkt niejasny, ale przyrzekł go wyjaśnić.

Pełnomocnictwo było przepisane, zaświadczone i wysłane na pocztę. Obłomow z triumfem oświadczył to Oldze i uspokoił się na długo.

Cieszył się, że przed nadejściem odpowiedzi nie

potrzeba będzie szukać nowego mieszkania i pieniądze powoli można będzie oszczędzać.

— I to mieszkanie byłoby wcale nie złe — myślał — ale daleko. Porządek zresztą jest tu dobry i wszystko idzie gładko.

W rzeczy samej gospodarstwo szło świetnie. Chociaż Oblomow prowadził własną kuchnię, jednak oko gospodyni i nad nią czuwało.

Ilja Iljicz, wszedłszy raz do kuchni, zastał Agafję Matwiejewnę ledwie nie w objęciach z Anisją.

Jeśli istnieje sympatja dusz, jeśli pokrewne serca odgadują się zdaleka, to nigdy nie dało się to lepiej sprawdzić, jak na sympatji Agafji Matwiejewny dla Anisji. Z pierwszego rzutu oka, z pierwszego słowa i ruchu kobiety te się poznały.

Z zachowania się Anisji, która, uzbrojona w szczotkę i ścierkę, z zawiniętymi rękawami, w pięć minut przyprowadziła do porządku kuchnię, od pół roku nie używaną szczotką zmiotła kurz z sufitu, ścian i ze stołu; robiła szerokie rozmachy miotłą po podłodze i po ławkach, w jednej chwili wymiotła z pieca popiół, od pół roku już tam leżący — Agafja Matwiejewna oceniła, jaką jest Anisja i że mogła by być w jej gospodarstwie doskonałą podręczną pomocnicą. Od tej chwili Anisja zajęła miejsce w jej sercu.

Anisja raz tylko ujrzawszy, jak Agafja Matwiejewna króluje w kuchni, jak sokolim okiem, choć bez brwi, widzi każdy niezręczny ruch niezgrabnej Akuliny; usłyszawszy jak grzmia jej rozkazy — wyjąć, postawić, ogrzać, posolić; jak na rynku jedynym rzutem oka, a najwyżej dotknięciem palca oceni bez omyłki, ile kura ma miesięcy, czy ryba dawno zabita, kiedy zerwana z grządki pietruszka

lub salata — patrzyła na nią z podziwem i szacunkiem, pełnym lęku. Anisja zdecydowała, że minęła się z swoim przeznaczeniem. Właściwem polem jej działania nie powinna być kuchnia Oblomowa, gdzie jej pośpiech, wiecznie nerwowa gorączkowa ruchliwość, skierowana musiała być tylko na to, ażeby podchwycić w lot, upuszczony przez Zachara talerz lub szklanę. Jej doświadczenie i bystrość kombinacji spotykały się zawsze z ponurą zawiścią i gburowatą wyniosłością męża. Dwie kobiety rozumiały się i zostały nierozłącznymi przyjaciółkami.

Gdy Oblomow nie jadł obiadu w domu, Anisja nie opuszczała kuchni gospodyni i z zamyślenia do swego zawodu rzucała się z kąta w kąt. Wstawiała, wyjmowała garnki i prawie równocześnie otwierała szafę, brała co jej było potrzeba i zamykała, zanim Akulina zrozumiała, o co chodzi.

Jako nagrodę otrzymywała Anisja obiad, sześć filiżanek kawy rano, i tyleż wieczorem i szczerą, długą pogawędkę, a niekiedy szeptaną rozmowę z samą gospodynią.

Gdy Oblomow obiadował w domu, gospodyni pomagała Anisji, udzielając jej wskazówek, kiedy należy wyjąć pieczeń z pieca, czy do sosu trzeba dodać trochę czerwonego wina lub śmietany lub w jaki sposób powinna przyrządzić rybę.

Ogromem nabytych wiadomości dzieliły się wzajemnie te kobiety nie tylko w sprawach gospodarskich lub kulinarnych, lecz także odnoszących się do płótna, nici, szycia, prania bielizny, sukien, czyszczenia rękawiczek, koronek, wywabiania plam z różnych materyj, użyteczności różnych lekarstw domowych, ziół — wszystkiego, co wniosły w pew-

na sferę życia, spostrzegawczy umysł i wiekowe doświadczenie.

Ilja Iljicz wstawał o godzinie dziewiątej, czasem ujrzał przez ogrodzenie plikę papieru pod pachą zdążającego do urzędu „braciszka“, potem pił kawę. Kawa zawsze była smaczna, śmietanka gęsta, bułeczki na maśle, kruche. Potem zapalał cygaro i nasłuchiwał pilnie, jak gdaczą kwoki, piszczą kurczęta, jak ćwierkają kanarki i czyżyki, których Oblomow nie pozwolił zabrać z pokoju.

— Przypominają mi wieś — mówił.

Potem zabierał się do czytania. Kończy książkę rozpoczętą na letnisku. Czasem niedbale kładł się na kanapie — i czytał.

Cisza idealna. Niekiedy tylko jakiś żołnierz przeszedł ulicą, albo gromadka muzyków z toporami za pasem.

Rzadko kiedy zawitał w te strony jakiś handlarz i stanąwszy przed ogrodzeniem, pół godziny wrzeszczał: jabłka, arbuzy astrachańskie! — tak, że dla miłego spokoju trzeba coś było kupić.

Czasem przychodziła do niego córeczka gospodyni Masza powiedzieć od mamusi, że sprzedają opieńki i zapytać, czy nie kupić ich dla niego; albo wołał do siebie jej syna Wańkę, i pytał, czego się uczy, kazał mu cokolwiek przeczytać lub napisać, by się przekonać, czy dobrze czyta lub pisze.

Gdy dzieci nie zamknęły za sobą drzwi, widział gołą szyję i migające, wiecznie w ruchu łokcie i plecy gospodyni.

Ona bez ustanku przy robocie: coś prasuje, tłucze, trze i już się nie ceremonjuje, nie narzuca szalu, gdy spostrzeże, że Oblomow patrzy przez na pół

otwarte drzwi, tylko uśmiechnie się i pilnie pracuje dalej.

Czasem z książką w ręku zbliżał się do drzwi, zajrzał i pogawędził z gospodynią.

— Pani zawsze przy robocie! — mówił.

Agafja Matwiejewna uśmiechała się i dalej pilnie męła kawę, a łokieć jej tak zręcznie opisywał koła, że tylko migał przed oczyma Oblomowa.

— Zmęczysz się pani — zauważał.

— Nie, przyzwyczaiłam się — i znowu młynek poczynął trzeszczeć.

— Czem się pani zajmuje, gdy niema roboty? — pytał.

— Jakto niema roboty! Robota jest zawsze: rano przyrządzić śniadanie, potem obiad, po obiedzie zżyć, a wieczorem przygotować kolację.

— Jadacie wieczerzę?

— Jakże bez wieczerzy — jadamy. Przed świętem chodzimy na całonocne nabożeństwo.

— To bardzo pięknie — chwalił Oblomow. A do której cerkwi chodzicie?

— Narodzenia Chrystusa Pana — to nasza parafja.

— A czy czytuje pani?

Tępym milczącym wzrokiem spojrzała na niego.

— Książki macie? — pytał?

— Braciszek ma, ale on nie czyta. Z restauracji otrzymujemy gazety, brat czasem coś głośno przeczyta, ale... Waniczka ma dużo książek.

— Czyż pani nigdy nie wypoczywa?

— Jak Boga kocham, nigdy! Prawdę mówię.

— A w teatrze bywa pani?

— Brat w święta bywa.

— A pani?

— Kiedy mam bywać! A z wieczerzą coby było? — spytała, bokiem spojrzawszy na Obłomowa.

— Kucharka mogłaby bez pani...

— Akulina? — ze zdziwieniem spytała. — Jakto może być! Co ona potrafi zrobić beze mnie! Wieczera i do rana nie byłaby gotowa. Klucze od wszystkiego są zawsze u mnie.

Zapanowało milczenie. Obłomow z przyjemnością wpatrywał się w okrągłe ruchy jej łokci.

— Jakie pani ma ładne ręce! — zauważył nagle. Moznaby je nawet malować!

Agafja Matwiejewna uśmiechnęła się i zawstydzila się trochę.

— Niewygodnie z rękawami — usprawiedliwiała się. — Teraz takie suknie, że rękawy trzebaby zasmarować.

Zamilkła. Obłomow milczał także.

— Skończę mleć kawę — mówiła gospodyni, niby do siebie — zacznę rąbać cukier na małe kawałki. Ach, żebym niezapomniała posłać jeszcze po cynamon.

— Pani powinnaby wyjść zamaż, z pani dzielna gospodyni — zauważył Obłomow.

Agafja Matwiejewna uśmiechnęła się i poczęła przesypywać zmieloną kawę do szklanego słoika.

— Rzeczywiście — dodał.

— Kto mnie z dziećmi weźmie? — odpowiedziała i poczęła coś liczyć. — Dwadzieścia — rzekła zamyślona. — Czyż w rzeczy samej ona wszystkie położy?

Postawiwszy słój w szafie, pobiegła do kuchni. Ilja Iljicz wrócił do siebie i począł czytać.

— Taka jeszcze świeża i zdrowa kobieta, a jaka

gospodyni! Dobrze, gdyby wyszła zamaż — myślał i utonął w zamyśleniu — o Oldze.

Oblomow w piękną pogodę wdziawał czapkę i obchodził okolicę. Trafiał na błoto, lub napadały na niego psy — więc wracał do domu.

W domu już nakryto do stołu. Czysto podano smaczne potrawy. Czasem przez drzwi przesunęła się naga ręka z talerzem — proszę spróbować naszego „piroga“.

— Cicho, dobrze w tej okolicy, tylko nudnie! — mówił Oblomow, jadąc na operę.

Razu pewnego, wróciwszy późno z teatru, prawie przez całą godzinę stukali we wrota razem z furmanem. Pies zachrypl, skacząc i ujadając na łańcuchu. Przemarzył, rozgniewał się i oświadczył, że nazajutrz opuści mieszkanie. Minał dzień jeden, drugi, przeszedł tydzień, Oblomow nie ruszał się.

Bardzo mu było przykro, że nie widywał Olgi codziennie, nie słyszał jej głosu, nie czytał w jej oczach niezmiennej miłości i szczęścia.

W miarę zbliżającej się zimy, widywali się sam na sam coraz rzadziej. Do Iljińskich przyjeżdżali goście, a Oblomow przez całe dni nie mógł z nią zamienić paru słów. Porozumiewali się tylko spojrzeniem. W spojrzeniu jej było widać niekiedy zmęczenie i niecierpliwość. Z zachmurzonymi brwiami spoglądała na wszystkich gości. Oblomow parę razy się znudził i po obiedzie raz już nawet wziął kapelusz, i chciał odejść.

— Dokąd? — nagle ze zdziwieniem spytała Olga, stając obok niego i odbierając kapelusz.

— Do domu.

— Poco? — pytała dalej i wnet jedna brew

podniosła się wyżej nieco. — Co pan ma do roboty w domu?

— Ja tak tylko... — mówił, rozszerzając senne powieki.

— Kto panu pozwolił? Czy się panu spać czasem nie zachciewa? — pytała, wpatrując się w niego.

— Co pani! — zaprzeczył. — Spać w dzień! Mnie tylko przykro.

Ilja Iljicz puścił kapelusz.

— Dzisiaj idziemy do teatru — rzekła.

— Nie do łoży — dodał westchnąwszy.

— Cóż z tego? A to nic nie znaczy, że widzimy się przecie, że rozmawiamy w antrakcie, a przy odjeździe pomagasz mi wsiąść do powozu. Proszę być w teatrze! — rzekła tonem rozkazującym. — Cóż to nowego!

Musiał jechać do teatru. Ziewał, jak gdyby chciał połknąć całą scenę, skrobał się w kark i przekładał nogę na nogę.

— Ach, żeby już był koniec i można było siedzieć obok niej, nie włóczyć się tak daleko—myślał. — Po spędzeniu takiego lata jeszcze widywać się przelotnie, grać rolę zakochanego smarkacza... Prawdę powiedziawszy, dzisiaj byłbym już nie pojechał do teatru, gdybym był żonaty... Szósty raz z rzędu ta sama opera...

W czasie antraktu wszedł do łoży Olgi i ledwie się docisnął do niej, otoczonej przez dwóch eleganckich panów. Po pięciu minutach wyszedł i zatrzymał się przed wejściem na widownię, w tłumie. Rozpoczął się akt. Każdy śpieszył na swoje miejsce. Panowie z łoży Olgi byli tu także lecz nie spostrzegli Oblomowa.

— Co to za pan, który przed chwilą był w łoży Iljinskih? — pytał jeden drugiego.

— Jakiś Oblomow — była lekceważąca odpowiedź.

— Cóż to za jeden?

— To... pomieszczyk, przyjaciel Sztolca.

— A! — z akcentem niby zdziwienia, brzmiała odpowiedź — przyjaciel Sztolca.

Cóż on tu robi?

— *Dieu sait.*

I rozeszli się. Oblomowa bardzo dotknęła ta rozmowa.

Co za „jakiś Oblomow“, „co tu robi“, „*Dieu sait*“. Wszystko to huczało mu w głowie. Jakiś — co tu robi? Jakto — co robię? Kocham Olgę i... A jednak — już w towarzystwie powstało pytanie: co ja tu robię? Jakże to może tak pozostać? Trzeba coś zrobić.

Oblomow nie patrzył już na scenę, nie widział, jacy tam zjawiali się rycerze i kobiety, orkiestra grzmiała a on nic nie widział i nie słyszał. Ogląda się na strony i liczy, ilu znajomych jest w teatrze. Tu, tam — wszędzie siedzą, pytają jedni drugich: co to za pan wchodził do łoży Olgi? Jakiś Oblomow — brzmi mu w uszach ze wszech stron. Tak, ja tylko — jakiś. Znają mnie tylko dlatego, że jestem przyjacielem Sztolca. Poco ja w łoży Olgi? *Dieu sait.* Tam, tam, obaj ci panicze patrzą na mnie, potem na łożę Olgi.

Spojrzał na łożę — binokle Olgi zwrócone były na niego.

— Ach, mój Boże! — myślał, — ona oczu ze mnie nie spuszcza! Co ona znalazła we mnie? Skarbem jestem, czy co? O, teraz, zdaje się,

na scenę wskazuje... ci panowie śmieją się podobno, patrząc na mnie... Boże! Boże!

Wzruszony, gwałtownie potarł ręką tył głowy i nogę na nogę założył. — Prosiła obu tych panów na herbatę, obiecała śpiewać *Cavatine* i mnie kazała przyjechać — pomyślał.

— Nie, dzisiaj nie pojadę — pomyślał — trzeba się zdecydować zakończyć wszystko, a potem... Dlaczego odpowiedź nie nadchodzi, przecież pełnomocnictwo już wysłałem. Dawnobym wyjechał, lecz przed wyjazdem trzeba zaręczyć się z Olgą... Ach, ona ciągle patrzy na mnie... Prawdziwe nieszczęście!

Nie doczekawszy się końca opery, wrócił do Iljińskich. Powoli złe wrażenie zatarło się i znowu, wzruszony szczęściem, patrzył na Olgę. Sam na sam, słuchał, tłumiąc łzy, jej śpiewu przy wszystkich, a wróciwszy do domu, rozciągnął się na kanapie, nie dlatego, ażeby spać lub leżeć, jak kłoda drzewa, lecz marzyć o Oldze, bawić się w szczęście, wyobrażając sobie przyszłe swoje domowe życie, pełne spokoju, gdzie będzie promienieć Olga — i wszystko kolo niej zabłyśnie.

Spoglądając we własną przyszłość, niekiedy niechcący, niekiedy umyślnie zaglądał także przez półotwarte drzwi na migające w powietrzu łokcie gospodyni.

Raz cisza w przyrodzie i w domu była idealna, ani hałasu kół powozów, ani stukania drzwi. W przedpokoju wahadło zegara regularnym ruchem obliczało czas i ćwierkały kanarki, ale to nie tylko nie przerywało ciszy, lecz przeciwnie, nadawało jej pewien charakter życia.

Ilja Iljicz leżał niedbale na kanapie, bawiąc

się pantoflem: spuszczał go na podłogę, podnosił nogą do góry, kręcił nim, pantofel padał, on go podchwytywał w powietrzu nogą... Wszedł Zachar i zatrzymał się we drzwiach.

— Ty poco? — niedbale spytał Oblomow.

Zachar milczał i patrzył wprost na niego, nie jak zwykle, bokiem.

— Co? — spytał Oblomow, spojrzawszy na niego ze zdziwieniem. — Czy „pirog“ już może gotów?

— Czy pan już znalazł inne mieszkanie?

— Nie jeszcze. Dlaczego pytasz?

— Bo ja nie wszystko rozpakowałem: naczynie, ubranie, kufry — wszystko to jeszcze leży na kupie na strychu. Czy mam wypakować?

— Poczekaj — odpowiedział roztargniony.

— To znaczy, że wesele będzie po Bożem Narodzeniu!

— Jakie wesele? — wstawszy nagle, zawołał Oblomow.

— Wiadomo czyje... pańskie przecie — rzekł Zachar z pewnością siebie, jak o rzeczy już zdecydowanej. — Przecież się pan żeni?

— Ja, żenię się? — Z kim? — z przestraczem zawołał Oblomow, spoglądając na Zachara ze zdziwieniem.

— Z panienką od Iljin...

Zachar jeszcze nie skończył mówić, gdy Oblomow porwał się nagle i przyskoczył prawie do jego twarzy.

— Co tobie, nieszczęsny! Kto ci taką myśl podsunął! — grzmiąc patetycznie, nacierał Ilja Iljicz na Zachara.

— Dlaczego ja — nieszczęsny! — bronił się Za-

char, cofając się ku drzwiom. — A kto mówił? Ludzie od Iljińskich jeszcze w lecie gadali.

— Tsss... — zapsykał Obłomow, podniósłszy rękę do góry i grożąc Zacharowi. — Ani słowa więcej o tem!

— Czyż to ja wymyśliłem? — bronił się Zachar.

— Ani słowa więcej! — powtórzył Obłomow, groźnie patrząc na niego i drzwi wskazując.

Zachar wyszedł i westchnął tak głośno, że słyhać było we wszystkich pokojach.

Obłomow nie mógł się opamiętać. Stał jeszcze na tem samem miejscu i z lękiem wpatrywał się w ten punkt, gdzie stał Zachar, potem z rozpaczą założył obie ręce na głowę i pograżył się w fotelu.

— Ludzie już wiedzą! — szumiało mu w głowie. — Po przedpokojach, po kuchniach już gadają! Oto do czego doszło! On śmiał mnie pytać: kiedy wesele? A ciotka Olgi nic może jeszcze nie podejrzuje, a jeżeli podejrzuje, to może co złego... Ach, mój Boże! Co ona może pomyśleć? A ja? A Olga?

— Nieszczęsny! Co ja narobiłem! — myślał, przytulając twarz do poduszki kanapy. — Wesele! Ta chwila, pełna poezji w życiu zakochanych, wieniec szczęścia — o niem poczęli mówić lokaje, furmani, gdy jeszcze dotychczas nic stanowczego się nie postanowiło, gdy jeszcze odpowiedź ze wsi nie nadeszła, niema mieszkania, a portfel mój pusty...

Chwila poetyczna, nad którą myślał Obłomow, nagle poczęła tracić barwy, gdy tylko Zachar o niej wspomniał. Obłomow ujrzał drugą stronę medalu i dręcząc się, przewracał się z boku na

bok, kładł się na grzbiecie, zrywał się, chodził po pokoju i znowu się kładł.

— Nie na dobre się zanosi! — myślał przerażony Zachar, siedząc w przedpokoju. — Djabli mnie nadali wyrwać się z tem!

— Skąd oni wiedzą? — martwił się Oblomow. Olga milczała. Ja nawet lękałem się o tem myśleć, a w przedpokojach już zdecydowano! Oto czem się kończą widywania sam na sam, poezja poranków i wieczorów, namiętne spojrzenia i czarujące śpiewy! Ach, te poematy miłości nigdy nie kończą się dobrze! Trzeba stanąć najprzód na ślubnym kobiercu, a potem pływać w różanej atmosferze! Mój Boże! Mój Boże! Trzeba iść do ciotki, wziąć Olgę za rękę i powiedzieć: oto moja narzeczona! Ależ nic jeszcze nie przygotowałem: niema odpowiedzi ze wsi, pieniędzy... mieszkania!... Nie, trzeba najprzód wybić tę myśl ze łba Zacharowi, zdusić pogłoski, jak płomień, ażeby się nie rozszerzał, ażeby nie było ognia i dymu... Wesele! Co to jest wesele?

Uśmiechnął się na tę myśl, przypomniawszy sobie swoje dawne marzenia o poetycznym ideale wesela: długi welon, kwiat pomarańczowy, szept tłumu...

Ale barwa tych marzeń była już inną. W tłumie był brudny, niechlujny Zachar, cała służba Iljińskich, rząd powozów, obce, zimne, ciekawe tylko twarze. Potem coś mu się marzyło nudnego, straszego...

— Trzeba tę myśl wybić Zacharowi z głowy, ażeby ją uważał za niedorzeczność — zdecydował się, wstrząsany naprzemian bądź nerwowem drżeniem, bądź rozważaniem tej sprawy.

Po godzinie zawołał znowu Zachara.

Zachar udał, że nie słyszy i począł cichutko wy-

mykać się do kuchni. Już zdołał otworzyć drzwi bez skrzypnięcia, ale nie mógł przejść bokiem i drugą połowę drzwi tak mocno potracił ramieniem, że obie z hałasem się otworzyły.

— Zachar! — rozkazująco zawołał Oblomow.

— Czego pan sobie życzy? — odezwał się.

— Chodź tutaj! — rzekł Ilja Iljicz.

— Czy trzeba co podać? Proszę mówić — podam.

— Chodź tutaj! — powoli i z naciskiem powtórzył Oblomow.

— Ach, że też śmierć nie przyjdzie! — zachrypiał Zachar, wchodząc do pokoju. — No, czego panu trzeba? — pytał, stanąwszy we drzwiach.

— Podejdź tutaj! — uroczyście — tajemniczym głosem rzekł Oblomow, wskazując mu miejsce tak blisko siebie, że gdyby istotnie Zachar posłuchał, musiałby chyba usiąść mu na kolanach.

— Gdzie ja tam pójde? Tam ciasno. Ja i stąd słyszę — wymawiał się Zachar, stojąc uparcie przy drzwiach.

— Zbliź się! — mówię ci! — groźnie zawołał Oblomow.

Zachar zrobił krok i zatrzymał się, patrząc przez okno na chodzące po dziedzińcu kury i nastawiając, jak szczotkę swoje bokobrody do Oblomowa. Przebyta jedna chwila wzburzenia zmieniła Ilję Iljicza — twarz jego osunęła się, oczy biegały niespokojnie.

— Będę miał teraz! — myślał Zachar, pochmurniejac coraz bardziej.

— Jak ty mogłeś z takim niewłaściwym pytaniem zwrócić się do twego barina? — spytał Oblomow.

— Znowu rozpoczął! — myślał Zachar, mrugając oczyma i niespokojnie oczekując „ciężkich słów“.

— Pytam cię, skąd ci przysła do mózgownicy taka głupia myśl? — powtórzył Obłomow.

Zachar milczał.

— Słyszysz, Zachar? Dlaczego pozwalasz sobie nie tylko myśleć, ale mówić nawet?

— Proszę pozwolić, Ilja Iljicz, lepiej zawołam Anisję...

Cofnął się już ku drzwiom.

— Ja chcę mówić z tobą, a nie z Anisją — rzekł Obłomow. — Dlaczego wymyśliłeś taką niedorzeczność.

— Ja nie wymyśliłem... Służba od Iljińskich gadała.

— A im kto powiedział?

— Skąd ja mogę wiedzieć? Katja powiedziała Siemionowi, Siemion Nikicie, Nikita Wasilisie, Wasilisa Anisji, Anisja mnie — bronił się Zachar.

— Boże! Boże! Wszyscy! — z przestraczem zawołał Obłomow. — Słyszysz ty?

Ilja Iljicz pięścią o stół uderzył.

— To być nie może!

— Dlaczego nie może być? — przerwał obojętnie Zachar. — Wesele — rzecz zupełnie zwyczajna. Nie tylko pan jeden, wszyscy ludzie się żenia.

— Wszyscy! Ty majster jesteś do porównywania mnie ze wszystkimi. To być nie może! Nic niema i nie było! Ślub, to rzecz zwykła — powiada — słyszycie go? Co to jest ślub?

Zachar spojrział na Obłomowa, ale ujrzawszy wzrok jego utkwiony w sobie, natychmiast oczy swoje skierował do kąta.

— Słuchaj, ja ci wytłumaczę, co to jest ślub.

Ślub, ślub, poczną gadać próżniacy, różne kobiety, dzieci, w przedpokojach, na rynku, w magazynach. Człowieka przestają nazywać Ilja Iljicz, albo Piotr Pietrowicz, a mówią — narzeczony. Wczoraj nikt jeszcze do niego nie chciał patrzeć, a dziś wszyscy wytrzeszczają oczy, jak na jakiego zbrodniarza. Ani w teatrze, ani na ulicy nie pozwolą przejść spokojnie. To narzeczony — szepcą dokola. I ilu ludzi spotkać musi codziennie, każdy z nich stara się ułożyć przed nim twarz najgłupiej — jak ty teraz — zwrócił się do Zachara, który w kącie począł patrzeć — i coś najgłupszego powiedzieć. Oto taki jest początek! Trzeba jeździć, jak warjat, codziennie do narzeczonej, od rana być w paljowych rękawiczkach, ubranie musi być jak z igły, nie można wyglądać smutnie, jeść i pić, jak się należy, a żywić się tylko wiatrem i bukietami. Tak spędzić trzeba trzy — cztery miesiące! Widzisz. Jakże ja to zniosę.

Obłomow zatrzymał się i spojrzał na Zachara, ażeby się przekonać, jak na niego działają te niedogodności żenienia się.

— Czy mam odejść? — spytał Zachar, zwracając się ku drzwiom.

— Nie, poczekaj! Ty jesteś majster do rozpuszczania fałszywych pogłosek, dowiedz się przeto, dlaczego są one fałszywe.

— Poco ja się mam dowiadywać — mówił Zachar, błędząc wzrokiem po ścianach pokojów.

— Ty zapomniałeś, ile biegania i kłopotów mają i narzeczony i narzeczone. A u mnie kto — ty może będziesz biegał do krawców, szewców, tapicerów? Ja sam jeden nie rozerwę się na wszystkie strony. Wszyscy w mieście się dowiedzą i będą mówić: Obło-

mow żeni się — słyszałeś pan? Nie może być. Z kim? Kto ona? Kiedy ślub?

Obłomow imitował różne głosy.

— Tyle będzie rozmów! Ja się zamęcę, zachoruję z tego — a ty wymyśliłeś wesele!

Znowu spojrział na Zachara.

— Czy zawołać może Anisję? — pytał Zachar.

— Poco Anisja tu potrzebna? Ty, a nie Anisja zrobiłeś to głupie i nie obmyślane przypuszczenie.

— Zaco to mnie Pan Bóg tak dzisiaj pokarał? — wyszeptał Zachar, westchnąwszy tak głęboko, że aż ramię mu się podniosło.

— A jakie wydatki? — ciągnął Obłomow. — A pieniądze gdzie? Widziałeś przecież, ile mam pieniędzy — rzekł prawie groźnie. Tu trzeba najmniej tysiąc rubli zapłacić, wynająć inne mieszkanie — trzy tysiące, na uporządkowanie drugie tyle. Potem powóz, kucharz, na przeżycie także trzeba — skąd ja wezmę?

— A wszakże z trzema tysiącami dusz żenią się inni — zauważył Zachar lecz pożałował tego, gdyż Obłomow prawie podskoczył na fotelu i wprost do niego.

— Ty znowu mówisz „inni“ — pamiętaj! — powiedział, pogroziwszy mu palcem. — Inni mieszkają w dwóch lub trzech pokojach — i jadalnia i bawialny pokój, wszystko razem. Niektórzy tam i śpią. Dzieci — jedno przy drugim. Jedna dziewczka służy wszystkim. Sama pani chodzi na rynek. A Olga Siergiejewna pójdzie na targ?

— Na targ i ja pójść mogę — zauważył Zachar.

— Wiesz ty, ile mi Obłomówka przynosi? — pytał Obłomow. — Słyszałeś, co pisał starosta: „około dwóch tysięcy mniej!“ A tu drogę trzeba robić,

szkołę zbudować, jechać do Oblomówki, a tam niema gdzie mieszkać... niema jeszcze domu. Jakież to może być żenienie się? Coś ty wymyślił!

Oblomow przestał mówić. Sam przestraszył się tej groźnej, beznadziejnej perspektywy. Róże, kwiat pomarańczowy, świetność obrzędu, szept podziwienia w tłumie — wszystko nagle znikło i zbladło.

Twarz Oblomowa nabrała kłopotliwego wyrazu — zamyślił się. Potem oprzytomniawszy trochę, spojrział i zobaczył Zachara.

— Ty co chcesz tutaj? — spytał ponuro.

— Pan kazał mi stać!

— Idź! — skinął na niego ręką Oblomow.

Zachar szybko wysunął się za drzwi.

— Nie, poczekaj! — nagle zatrzymał go Oblomow.

— To idź, to poczekaj — mruczał Zachar, trzymając się ręką odrzwi.

— Jak ty śmiałeś rozgadywać o mnie takie niewłaściwe i niemożliwe rzeczy? — wzburzony, szep-tem prawie pytał Oblomow.

— Kiedyżto ja, Ilja Iljicz, rozgadywałem? 'To nie ja, to gadali ludzie Iljińskich. Mówili, że barin jakoby starał się...

— Psss... psss... — zapsykał Oblomow, robiąc groźny ruch ręką. — Ani słowa... nigdy! Słyszysz?

— Słyszę — odpowiedział bojaźliwie Zachar.

— Nie będziesz rozgadywał takich głupstw?

— Nie będę — cicho odrzekł Zachar, nie bardzo rozumiejąc treści tego. Wiedział tylko, że to są „przykre słowa“.

— Pamiętajże, gdy tylko usłyszysz, że mówić o tem będą, a pytają ciebie — powiedz: to głupstwo, nic podobnego nie było i być nie może — dodał szep-tem.

— Słucham! — ledwie dosłyszalnym głosem rzekł Zachar.

Oblomow obejrzał się i pogroził mu palcem. Zachar migał przestraszonymi oczyma i na palcach ku drzwiom się cofał.

— Kto pierwszy to powiedział? — pytał jeszcze Oblomow.

— Katja powiedziała Siemionowi, Siemion Nikicie, Nikita Wasilisie...

— A ty rozgadałeś wszystkim! Ja tobie! — groźnie szepnęła Oblomow — plotki roznosić o swoim panu! A!

— Po co pan mnie męczy przykreimi słowami — rzekł Zachar. — Zawołam Anisję, ona wszystko wie...

— Co ona wie, mów, mów zaraz!

Zachar w jednej sekundzie wyskoczył za drzwi i z niezwykłą szybkością wszedł do kuchni.

— Rzuć patelnię! Ruszaj do barina! — zawołał do Anisji, wskazując drzwi wielkim palcem. Anisja oddała patelnię Akulinie, wyciągnęła z za pasa fartuszek, dłońmi uderzyła się po biodrach i, utarłszy nos palcem, poszła do pokoju. W pięć minut uspokoiła Ilję Iljicza, powiedziawszy mu, że nikt o weselu nic nie mówił i przysiąc nawet gotowa na obraz, że pierwszy raz o tem słyszy. Mówiono zupełnie co innego — że baron zaleca się do panienki.

— Jako — baron! — wstawszy nagle, rzekł Ilja Iljicz. Uczuł, że nie tylko serce, ale ręce i nogi mu zlodowaciały.

— Ale i to nieprawda! — pośpiesznie dodała Anisja, spostrzegłszy że z pod deszczu wpadła pod rynnę. — To tylko Katja powiedziała Siemionowi,

Siemion Marfie, Marfa naplotła czegoś Nikicie, a Nikita powiedział: dobrze byłoby, gdyby wasz barin Ilja Iljicz oświadczył się baryszni...

— Co za głupiec ten Nikita! — zauważył Obłomow.

— Prawda, że głupiec — potwierdziła Anisja. — On nawet kiedy w karecie stoi za państwem, to śpi. Ale i Wasilisa nie uwierzyła — mówiła dalej prędko. — Gadała o tem jeszcze na Wniebowzięcie M. P., a Wasilisie opowiadała niania, że panienka ani myśli wychodzić zamaż, a wasz barin już dawno byłby sobie upatrzył narzeczoną, gdyby się chciał być żenić. Niedawno jeszcze widziała Samojłę, śmiał się i mówił: jakie to ma być wesele, to raczej podobne wszystko do pogrzebu; ciotkę ciągle głowa boli, a panienka płacze i milczy. W domu o posagu nawet nie myślą, u panienki Olgi mnóstwo pończoch niecerowanych i nikt nie myśli o tem, a w tamtym tygodniu nawet srebro zastawili...

— Zastawili srebro? — To znaczy, że i oni nie mają pieniędzy! — myślał Obłomow, wodząc przestraszonym wzrokiem po ścianach i zatrzymując go na nosie Anisji, gdyż więcej nie było go na czem zatrzymać. Głos jej wydobywał się jak gdyby nie przez usta lecz nosem.

— Pamiętajże nie rozgadywać głupstw — rzekł Obłomow, grożąc palcem.

— Co mam rozgadywać! Nawet o tem nie myślę miałabym gadać — skrzeczała Anisja, jak gdyby łupała szczepy. Pierwszy raz dzisiaj słyszę o wszystkim. Przed Panem Bogiem, choć pod ziemię gotowa jestem się zapaść! Zdziwiłam się, kiedy mi barin o tem powiedział, przestraszyłam się, zatrzęślam się cała. Jak to może być?

Jakie wesele? Nikomu i we śnie nic podobnego się nie marzyło. Ja z nikim nie rozmawiam, kuchni pilnuję. Z ludźmi Iljinskiich już od miesiąca się nie widziałam, zapomniałam nawet, jak się nazywają. A tu, z kim gadać? Z gospodynią tyle tylko rozmowy, co o gospodarstwie, z babką nie można mówić, bo ciągle kaszle, a i słuch ma tępy. Akulina — bałwan do niczego, a stróż pijaczysko. Są dzieci tylko — czy to z niemi o tem gadać? A panienka — zapomniałam nawet, jak wygląda.

— Dosyć, dosyć, dosyć! — rzekł Obłomow, niecierpliwie dając ruch ręką, aby odeszła.

— Jak można mówić o tem, czego niema? — mówiła już na odchodem. — A co Nikita mówił — to nic. Na durniów niema rady. Mnie i do głowy to nie przychodzi, cały dzień tylko kręć się, kręć — na co innego niema czasu. Bóg wie, co takiego! Oto obraz na ścianie...

W tej chwili mówiący nos znikł za drzwiami, ale głos słyhać było jeszcze przez dobrą minutę.

— Taka to sprawa! Nawet Anisja powiada, że to rzecz niewłaściwa — szepnął Obłomow, dłonie złożwszy.

— Szczęście, szczęście! — z ironją pomyślał Obłomow — jakież to wątle, jakież niepewne! Welon, miłość, miłość... a pieniądze gdzie? z czego żyć? Miłość — i ciebie trzeba kupić, czyste, prawe szczęście!

Od tej chwili marzenia i spokój opuściły Obłomowa. Sypiał źle, jadł mało i ponuro patrzył na wszystko.

Chciał nastraszyć Zachara, ale sam jeszcze więcej się nastraszył, gdy zagłębił się w praktyczną stronę kwestji o weselu i przekonał się, że to nie tylko obraz poetycki, ale także praktyczny, urzędowy

niejako krok ku prawdziwej rzeczywistości, ku prawdziwym obowiązkom.

Nie tak on sobie wyobrażał rozmowę z Zacharem. Przypomniawszy sobie, jak uroczyście pragnął oświadczyć mu o tem, jak Zachar miał krzyknąć z radości i do nóg mu upaść, a Obłomow miał dać mu dwadzieścia pięć rubli, zaś Anisji dziesięć.

Wszystko sobie przypomniał — dreszcz szczęścia, rękę Olgi, jej namiętny pocałunek... i skamieniał prawie. „Zbladło, minęło“ — szepnął jakiś głos w jego duszy.

— Cóż teraz?

V.

Oblomow nie wiedział, jak stanąć przed Olgą, co ona powie, co on odpowie na to, i zdecydował się nie pojechać do niej w środę, a widzenie się odłożyć do niedzieli, gdy tam będzie tłum gości i rozmowa sam na sam będzie utrudniona.

Nie chciał jej opowiadać o głupich plotkowaniach ludzi, ażeby jej nie niepokoić tem, co się poprawić nie da; zamilczać także nie wypadało. Ukrywanie na nicby się nie przydało: ona spojrzeniem swoim wszystko wydobędzie z najgłębszych tajników jego duszy.

Zatrzymawszy się na tej decyzji, Oblomow uspokoił się trochę i napisał na wieś do sąsiada, swego pełnomocnika, prosząc go bardzo o rychłą odpowiedź, o ile można, najpomysłniejszą.

Potem począł rozmyślać nad tem, jak zużytkować długie pojutrze, które byłoby tak przepelnione obecnością Olgi, niewidzialną rozmową ich dusz, jej śpiewem. A tu tymczasem jakieś лихо trąciło Zachara, ażeby zamącił wszystko tak nie w porę.

Zdecydował się pojechać do Iwana Gerasimowicza i zjeść u niego obiad, ażeby jakoś wypełnić ten dzień nieznośny, a do niedzieli będzie miał dość

czasu, ażeby zastanowić się nad usprawiedliwieniem się — a może i odpowiedź ze wsi nadejdzie...

Nadeszło pojutrze. Zbudziło go szalone ujadanie psa i szarpanie się jego na łańcuchu. Ktoś wszedł na dziedziniec i o kogoś pytał. Stróż wywołał Zachara. Za chwilę Zachar przyniósł list do Obłomowa, który przyszedł miejską pocztą.

— Od panny Iljinskiej — rzekł Zachar.

— Ty skąd wiesz? — z oburzeniem spytał Obłomow. — Kłamiesz!

— Na letnisku takie listy były tylko od niej — gadał Zachar swoje.

— Czy zdrowa? Co to znaczy? — myślał Obłomow, rozpieczętowując list.

„Nie chcę czekać środy — pisała Olga — mnie tak przykro, gdy długo cię nie widzę. Jutro więc o trzeciej godzinie będę w Letnim Ogrodzie.

I tyle.

Znowu zmaciła się jego dusza aż do dna, znowu począł szamotać się z niepokoju, jak mówić z Olgą, jaką maskę przybrać.

— Nie umiem... nie mogę! — myślał. Od Sztolca trzeba się uczyć.

Uspokajał się tem, że Olga przyjedzie zapewne z ciotką, albo z jaką panią — naprzykład, z Marią Siemionówną, która ją tak kocha, że nie może napatrzeć się na nią. W jej obecności miał nadzieję ukryć w jakiś sposób pomieszanie, wiele mówić i być bardzo słodkim.

— W sam czas obiadowy — pomyślał, — także wybrała.

Podążył leniwie ku Letniemu ogrodowi.

Gdy tylko wszedł w długą aleję, spostrzegł,

że z jednej ławki podniosła się jakaś zawołowana kobieta i szła naprzeciwko niego.

Obłomow zgoła nie myślał, ażeby to mogła być Olga. — Sama! Nie może być! Nie zdecyduje się na to i nie znajdzie powodu wyjścia z domu.

Jednak... Ruchy jak gdyby jej — idzie lekko, jakby się ślizgała, pochylona trochę naprzód. Szyja i głowa Olgi. Wzrok schylony do ziemi, jakby tam czego szukała.

Inny poznałby po kapeluszu, po ubraniu, ale Obłomow, spędziwszy z Olgą cały ranek, nigdy potem nie mógł powiedzieć, w jakim była kapeluszu i sukni.

W ogrodzie prawie nikogo niema. Jakiś słuszny mężczyzna chodzi szybko — dla ruchu, dla zdrowia i dwie... nie damy, lecz kobiety z dwójgiem posiniałych od zimna dzieci.

Liście już opadły. Przez gałęzie drzew widać siedzące na drzewie wrony kraczące nieprzyjemnie. Zresztą, jasno, dzień piękny, a w dobrym ubraniu, nawet ciepło.

Zawołowana kobieta podchodzi coraz bliżej.

— Olga! — rzekł Obłomow i, nie wierząc oczom swoim, zatrzymał się przerażony. — To ty jesteś? Ty? — pytał, biorąc ją za rękę.

— Jakże się cieszę, żeś przyszedł — mówiła, nie odpowiadając na jego pytania. — Myślałam, że nie przyjdiesz... lękałam się...

— Jakżeś tu zaszła? Jakim sposobem? — pytał roztargniony.

— Zostaw! Poco o tem mówić! Co za pytania! To nudne. Chciałam ciebie widzieć i przyszłam — oto wszystko!

Olga mocno ścisnęła mu rękę i wesoło, bez trosk

żadnych w twarz mu patrzyła śmiało i otwarcie, ciesząc się chwilką, skradzioną losowi, tak, że Obłomow nawet zazdrościł, iż nie dzielił jej wesołego nastroju. Chociaż był bardzo stroskany, nie mógł nie zapomnieć się na chwilę, widząc twarz jej, pozbawioną tej skupionej myśli, która zwykle wyrażała się w ruchach brwi i w linijce na czole. Teraz stała przed nim bez tej poważnej dojrzałości w rysach twarzy, która tak go zawsze niepokoiła.

W tej chwili twarz jej wyrażała takie dziecinne zaufanie swego do losu, do szczęścia, do niego... Była pełna wdzięku.

— Ach, jak się cieszę, jak cieszę! — mówiła, uśmiechając się i patrząc na niego. — Myślałam, że cię dzisiaj nie zobaczę. Wczoraj taka mnie ogarnęła tęsknota, nie wiem dlaczego, że napisałam. Zadowolony jesteś?

Spojrzała mu w twarz.

— Cóż ty dzisiaj taki nachmurzony? Milczysz? Niezadowolony jesteś? Myślałam, że oszalejesz z radości, a ty jakbyś był senny. Zbudź się, mój panie, przy panu Olga.

Lekko, z wymówką odtrąciła go od siebie.

— Niezdrów jesteś? Co z tobą? — nalegała.

— Nie, zdrow jestem i szczęśliwy — dodał pośpiesznie, byle ona tylko nie wydobywała tajemnic z jego duszy. Niepokoję się tylko tem, jak ty sama...

— To już moja sprawa. Czy lepiej byłoby, gdybym przyjechała z ciotką?

— Lepiej, Olga.

— Gdybym wiedziała, poprosiłabym ją — przerwała mu obrażonym głosem, wypuszczając jego rękę. Myślałam, że dla ciebie niema większego szczęścia, jak gdy jesteśmy razem sami.

— I niema i być nie może! — rzekł Oblomow.
— Ale jakże, sama jedna...

— Niema o czem długo gadać. Lepiej pogadajmy o czem innem — odpowiedziała spokojnie.

— Słuchaj... coś ci miałam powiedzieć i zapomniałam...

— Czy nie o tem, jakeś tu przyszła sama jedna?

— zaczął, oglądając się trwożliwie.

— Ach, nie! Ty ciągle swoje! Że ci się nie znudzi... Co ci chciałam powiedzieć? Wszystko jedno, potem sobie przypomnę... Jak tutaj pięknie, liście już opadły. *Feuilles d'automne* — pamiętasz V. Hugo? Tam, widzisz? Słońce, Newa... Chodźmy przejechać się łódką...

— Co tobie? Co ci Pan Bóg dał? Takie zimno... Ja tylko w płaszczu na wacie...

— Ja także bez futra. Cóż to znaczy? Chodźmy! Chodźmy!

Olga biegła prawie, wlokąc za sobą Oblomowa. On opierał się i mruczał. Wkońcu wsiedli do łodzi i popłynęli.

— Jak ty sama jedna przyszłaś tutaj? — powtarzał zakłopotany Oblomow.

— Powiedzieć, jak? — złośliwie zapytała, patrząc na niego, gdy już odpłynęli na środek rzeki. Teraz można... już stąd nie uciekniesz, a tam — uciekłbyś.

— Jak? — zapytał z lękiem.

— Przyjdiesz jutro? — spytała zamiast odpowiedzi.

— Ach, Boże mój! — pomyślał Oblomow — ona, zdaje się, w duszy mojej wyczytała, że nie miałem zamiaru przyjść.

— Przyjdę.

— Od rana, na cały dzień?

Oblomow zawahał się.

— A więc nie powiem.

— Przyjdę na cały dzień.

— Otóż widzisz — poczęła mówić poważnie — dlatego prosiłam cię, abyś przyszedł dziś, aby ci powiedzieć...

— Co? — zapytał Oblomow przestraszony.

— Abyś... jutro przyszedł do nas.

— Ach, Boże! — przerwał niecierpliwie, ale jak tu przysłaś?

— Tu? — powtórzyła niedbale. — Jak ja tu przysłałam? Oto tak... prawda... Poczekaj... ale czy warto o tem mówić?

Olga zaczerpnęła dłonią wody i bryzgnęła mu w twarz. Oblomow drgnął. Nachmurzył się. Ona śmiała się.

— Jaka zimna woda. Ręka mi zupełnie zlodowaciała! Mój Boże! Jak wesoło, jak dobrze — mówiła, rozglądając się na wszystkie strony. — Jutro pojedziemy znowu, tylko już wprost z domu.

— A teraz nie prosto z domu? Skądże ty? — pytał pośpiesznie.

— Z magazynu.

— Z jakiego?

— Jakto — z jakiego? Przecież powiedziałam ci jeszcze w ogrodzie.

— Ależ nie powiedziałaś wcale — niecierpliwie zaprzeczył Oblomow.

— Nie powiedziałam? Dziwna rzecz! Zapomniałam. Wyszłam z domu ze służącym do złotnika.

— I cóż?

— Więc... Jaka to cerkiew? — spytała nagle wiosłującego i wskazała palcem.

— Która? Ta?

— Smolnyj! — niecierpliwie rzucił Oblomow —
Cóż dalej? Poszłaś do złotnika, a tam?

— Tam... Jakie piękne rzeczy... Jaką bransoletkę widziałam!

— Ależ nie o bransoletkę pytam! — przerwał Oblomow — co potem?

— I tyle tylko... odpowiedziała roztargniona, ciekawem okiem wodząc po okolicy.

— A gdzie służący? — dopytywał się Oblomow.

— Wrócił do domu... — odpowiedziała, przypatrując się gmachom z przeciwnej strony Newy.

— A ty jak?

— Jak tam pięknie! Czyby nie można tam podpłynąć — rzekła, wskazując parasolką przeciwną stronę. Ty przecież tam mieszkasz!

— Tak.

— Na jakiej ulicy? Pokaż.

— No, a ze służącym co się stało? — dopytywał się Oblomow.

— Służącego wysłałam po bransoletkę — rzekła niedbale. — On wrócił do domu, a ja poszłam do ogrodu.

— Jakże ty tak? — spytał Oblomow, wpatrzywszy się w Olę.

Nadał swojej twarzy wyraz przestrachu — ona także.

— Mów poważnie, Olga, przestań żartować.

— Nie żartuję. Rzeczywiście tak! — odpowiedziała spokojnie. — Umysłnie zapomniałam w domu bransoletki, a ciotka prosiła, abym poszła do magazynu. Tybyś nigdy coś podobnego nie wymyślił — dodała dumnie, jak gdyby rzeczywiście zrobiła coś wielkiego.

— A jeżeli służący wróci?

— Kazałam powiedzieć, aby czekał na mnie, bo pójdę do innego magazynu — tymczasem przyszłam tutaj.

— A jeśli Marja Michajłowna spyta, w jakim jeszcze magazynie byłaś?

— Powiem — u krawcowej.

— A jeśli zapyta krawcowę?

— A jeśli Newa nagle do morza spłynie zupełnie..., jeśli łódka się przewróci, jeśli... cała morską ulicą i nasz dom się zawala... jeśli mnie kochać przestaniesz... — mówiła i znowu bryznęła mu w twarz wodą.

— Ależ służący już wrócił, czeka... — mówił, ocierając twarz. — Hej, wioślarz, do brzegu!

— Nie trzeba, nie trzeba! — protestowała Olga.

— Do brzegu! Służący już z pewnością wrócił.

— Niech go... Nie trzeba!

Ale Oblomow zwyciężył i pośpiesznie poszedł z nią przez ogród. Olga przeciwnie, szła powoli, opierając się o jego rękę.

— Czego się tak śpieszysz? — mówiła. — Poczekaj. Ja chciałabym dłużej być z tobą.

Zwolniła jeszcze bardziej kroku. Szła, przytuliwszy się do jego ramienia i zbliska przyglądała mu się. Oblomow mówił długo i nudnie o obowiązkach, o długu. Olga słuchała niedbale, w zamyśleniu, schylała głowę wdół lub znowu podnosiła i wzrok na nim zatrzymywała. Myślała zupełnie o czym innym.

— Słuchaj, Olga — przemówił wreszcie Oblomow uroczyście — pod grozą twego gniewu i ściągnięcia na siebie twoich wymówek muszę ci jednak oświadczyć stanowczo, że zaszliśmy za daleko. Moja

powinność, mój obowiązek nakazują mi, to ci powiedzieć.

— Co? — spytała niecierpliwie.

— Że robimy bardzo źle, widując się potajemnie.

— Mówiłeś już o tem jeszcze na letnisku.

— Tak, ale wtedy byłem w okresie marzeń. Jedną ręką odsuwałem, a drugą przytrzymywałem. Ty ufałaś mi, a ja... jak gdybym oszukiwał ciebie. Wtedy było to uczucie nowe...

— A teraz już nie nowe, i poczynasz się nudzić.

— Ach, nie, Olgo! Jesteś niesprawiedliwa. Było nowe — i dlatego nie można było panować nad sobą. Mnie wprost sumienie dręczy. Ty za młoda jesteś, mało znasz świat i ludzi... Masz duszę tak czystą, tak bardzo mnie kochasz, że ci nawet do głowy nie przychodzi, jak surowej naganie podlegamy oboje za to, co robimy, przedewszystkiem — ja...

— Cóż my robimy? — spytała Olga, zatrzymując się.

— Jakto — co? Ty oszukujesz ciotkę, potajemnie wychodzisz z domu, widując się sam na sam z mężczyzną... Spróbuj powiedzieć to wszystko w niedzielę przy gościach...

— Dlaczego mam milczeć? — rzekła spokojnie.

— I owszem, mogę powiedzieć.

— I zobaczysz — mówił dalej Oblomow — że ciotka zemdleje, panie zaczną się żegnać, a mężczyźni śmiało i złośliwie popatrzą na ciebie.

Olga zamyśliła się.

— Ależ my już jesteśmy narzeczeni...

— Tak, tak, kochana Olgo — mówił, ściskając jej obie ręce — dlatego też ostrożniejsi powinniśmy być, tem surowsi dla siebie. Ja chcę z dumą

prowadzić ciebie pod rękę tą samą aleją, śmiało wobec wszystkich, a nie potajemnie; chcę, ażeby głowy schylały się przed tobą ze czcią, ale nie żeby oczy przechodniów wpatrywały się w ciebie złośliwie i śmiało; ażeby w niczyjej głowie nie mogło zrodzić się podejrzenie, że ty, dumna dziewczyna, mogłaś, zawróciwszy sobie głowę, zapomnieć o wstydzie i wychowaniu, unieść się i złamać obowiązek...

— Nie wyzbyłam się ani wstydu, ani wychowania, ani obowiązku — dumnie odpowiedziała Olga, wysuwając rękę z pod ramienia Oblomowa.

— Wiesz, wiesz, mój aniele niewinny, nie ja to mówię, ale powiedzą ludzie, świat i nigdy ci tego nie przebaczą. Zrozum na miłość Boga czego ja pragnąłbym. Pragnąłbym, ażebyś także wobec całego świata była czystą i bez zarzutu, jaką jesteś w rzeczywistości.)

Olga szła w zamyśleniu.

— Zrozum, dlaczego mówię ci o tem: ty będziesz nieszczęśliwą, a wtedy cała odpowiedzialność spadnie na mnie. Powiedzą, że cię zwodził, że zakrywałem przed tobą przepaść umyślnie. (Ty jesteś czystą i spokojną wobec mnie, ale kogo przekonasz o tem? Kto uwierzy?)

— To prawda — drgnąwszy powiedziała Olga. — Słuchajże — rzekła stanowczo — powiemy wszystko ciotce i jutro niech nas błogosławi...

Oblomow zbladł.

— Co tobie? — spytała Olga.

— Poczekaj trochę... dlaczego tak się śpieszyć?

— spytał pośpiesznie.

Usta mu drżały.

— Przecież przed dwoma tygodniami sam mnie nagliłeś? — pytała, patrząc uważnie na niego.

— Tak, wtenczas nie pomyślałem o niezbędnych przygotowaniach — a tego dużo! — rzekł Obłomow, westchnąwszy. — Poczekamy tylko na list ze wsi.

— Dlaczego czekać na list? Chyba taka lub inna odpowiedź może odmienić twój zamiar? — spytała, jeszcze baczniej wpatrując się w niego.

— Co za myśl! Nie. Potrzebny tylko dla różnych kombinacyj. Trzeba przecież powiedzieć ciotce, kiedy wesele. Z nią nie o miłości będziemy mówić, lecz o takich sprawach, do których teraz zgola nie jestem przygotowany.

— To też będziesz o nich mówić, gdy list otrzymasz, a teraz wszyscy niech wiedzą, że jesteśmy narzeczeni i będziemy widywać się codziennie. Mnie przykro — dodała — ja męczę się temi długimi dniami, wszyscy to widzą... nudzą mnie... złośliwie podejrzewają ciebie... Wszystkiego tego już mam dosyć!

— Mówią o mnie? — ledwie wymówił Obłomow.

— Tak, dzięki Soniczce.

— Otóż widzisz, widzisz! Nie słuchałaś mnie, rozgniewałaś się nawet wtedy!

— Co mam widzieć? Nic nie widzę. Widzę tylko, że ty jesteś tchórzem podszyty. Ja nie lękam się tego gadania.

— Nie jestem tchórzem, lecz tylko ostrożnym... Chodźmy stąd, na miłość Boga! Widzisz, powóz jakiś się zbliża. Może znajomi? Ach! Ładna będzie bransoletka... Chodźmy... chodźmy... — mówił przestraszony i zaraził Olę swoim przestachem.

— Rzeczywiście, chodźmy prędzej — prędko — prawie wyszeptała Olga.

Biegli prawie oboje aleją aż do końca ogrodu, nie przemówiwszy do siebie ani słowa. Oblomow niespokojnie patrzył na wszystkie strony, a ona zupełnie pochyliła głowę i zasłoniła twarz woalką.

— Więc jutro? — spytała, kiedy już zatrzymali się przed tym magazynem, gdzie służący miał oczekiwać na Olgę.

— Nie, lepiej pojutrze... nie, raczej w piątek lub sobotę.

— Dlaczego?

— Widzisz, Olgo... ja ciągle myślę... może list nadejdzie.

— Przypuśćmy. Ale jutro przyjdź na obiad, słyszysz?

— Tak, tak, dobrze, dobrze! — rzekł pośpiesznie.

Olga weszła do magazynu.

— Ach, Boże mój! Do czegośmy doszli... Jaki ciężar spadł na mnie. Co ja teraz pocznę? Soniczka, Zachar, ci panowie...

VI.

Oblomow nie zauważył nawet, że Zachar podał mu zupełnie zimny obiad, nie spostrzegł prawie, jak wnet potem znalazł się w łóżku i zasnął mocnym, kamiennym snem.

Nazajutrz drgnął na myśl, że ma jechać do Olgi, lecz chciał tego uniknąć. Wyobraził sobie, jak wszyscy będą znacząco spoglądać na niego.

Szwajcar i bez tego wita go zwykle bardzo uprzejmie. Siemion rzuca się, jak na złamanie karku, kiedy Ilja Iljicz o szklanekę wody poprosi. Katja, niania żegnają go przyjacielskim uśmiechem.

Narzeczony, narzeczony! u wszystkich jakby na czole napisane, a on jeszcze nie prosił ciotki o rękę Olgi, nie ma jeszcze pieniędzy, nie wie, kiedy je otrzyma i ile w tym roku przyślą mu ze wsi, domu mieszkalnego na wsi nie ma — ładny narzeczony!

Zadecydował, że do czasu otrzymania stanowczych wiadomości ze wsi będzie widywać się z Olgą tylko w niedzielę, przy świadkach. Na drugi dzień rano Oblomow ani pomyślał o wyjeździe do Olgi.

Nie golił się, nie ubierał, leniwie przeglądał francuskie dzienniki, wzięte od Iljinskiich przed

tygodniem, nie patrzył bezustannie na zegarek, nie chmurzył się, gdy wskazówka powoli poruszała się na zegarze.

Zachar i Anisja przypuszczali, że Obłomow, jak zwykle, tego dnia nie będzie w domu na obiedzie i nie zapytywali, co gotować.

Ilja Iljicz zwymyślał ich, oświadczywszy, że wcale nie bywał każdej środy na obiedzie u Iljinskih, że jest to „oszczerstwo“; że obiad jadał u Iwana Gerasimowicza, a na przyszłość tylko w niedzielę, i to niezawsze, będzie jadał obiad poza domem.

Anisja zaraz pobiegła na rynek, by kupić podróbek na ulubioną przez Obłomowa zupe.

Przyszły do niego dzieci gospodyni. Sprawdził dodawanie i odejmowanie Wani i znalazł dwie omyłki. Maszy polinjował zeszyt i wypisał wielkie litery, potem słuchał śpiewu kanarków i patrzył przez nawpół otwarte drzwi, jak migwały łokcie gospodyni.

Około godziny drugiej gospodyni przez drzwi spytała, czy nie zechciałby coś przekąsić, gdyż właśnie zrobiła placuszki. Przyniesiono placuszki i kieliszek wódki.

Wzruszenie Ilji Iljicza powoli minęło. Opanowało go tylko tępe zamyślenie, które go aż do obiadu nie opuszczało.

Po obiedzie, ledwie usiadł na kanapie, opanowany drzemką i kiwać się począł, otworzyły się drzwi od strony, gdzie mieszkała gospodyni, i na progu stanęła Agafja Matwiejewna, trzymając w obu rękach dwie piramidy skarpetek.

Położyła je na dwóch krzesłach. Obłomow zerwał się i zaproponował jej usiąść. Agafja Matwiejewna nie usiadła, byłoby to wbrew jej zwyczajowi:

była zawsze na nogach, zawsze w ruchu różnych trosk pełna.

— Przebrałam dzisiaj skarpetki pana... — rzekła — pięćdziesiąt pięć par, ale wszystkie prawie w złym stanie.

— Jaka pani dobra! — przemówił Obłomow, zbliżywszy się do niej i dotknął żartem jej lokcia.

Agafja Matwiejewna uśmiechnęła się.

— Pani się niepotrzebnie troszczy... Mnie wstyd.

— Drobnostka... to nasze gospodarskie sprawy. Panu niema komu przebrać, a ja chętnie to robię — mówiła dalej. Te dwadzieścia par zupełnie już niezdatne... cerować nawet nie warto...

— Nie trzeba! Niech to pani wszystko wyrzuci. Poco pani ma się tem zajmować. Można kupić nowe...

— Jakto — wyrzucić! Dlaczego? Ot te można jeszcze nadrobić...

Poczęła odliczać szkarpetki.

— Niechże pani usiądzie — dlaczego pani stoi? — zachęcał ją.

— Nie, dziękuję pokornie. Niema czasu na siedzenie — wymawiała się Agafja Matwiejewna. — Dzisiaj u nas pranie... trzeba bieliznę przygotować.

— Z pani cud — nie gospodyni! — wykrzyknął Obłomow, zatrzymując wzrok na jej piersiach i podgardlu.

Uśmiechnęła się.

— Jakże pan każe — nadrobić skarpetki? Chciałam właśnie zamówić nici. Staruszka ze wsi przynosi nam zwykle. Tu nie warto kupować — zleżałe!

— Jeśli pani tak dobra — proszę bardzo. Tylko mnie wstyd doprawdy, że pani tem się kłopotuje.

— Nic to nie znaczy, cóż mam robić? Te oto sama nadrobię, te oddam babci. Jutro szwagierka przyjdzie w gościnę; nic wieczorami nie robimy, pomалу nadrobimy. Moja Masza także już się trochę poduczyła — tylko druty źle wysuwa. Za wielkie dla jej rąk.

— Czyż w samej rzeczy i Masza już się przyzwyczaja do tego? —

— Jak Boga kocham, prawda!

— Nie wiem jak pani dziękować — zaczął Obłomow, patrząc na nią z taką samą przyjemnością, jak rano patrzył na gorące placuszki. Bardzo, bardzo wdzięczny jestem i dług postaram się spłacić, szczególnie wobec Maszy. Kupię jej jedwabną sukienkę, ubiorę jak laleczkę.

— Co panu Pan Bóg dał! Jaka wdzięczność? POCO jej jedwabne sukienki? Jej i perkalikowych nie można nastarczyć, wszystko się na niej pali, szczególnie trzewiki — nie można nastarczyć z kupowaniem.

Agafja Matwiejewna wstała i wzięła skarpetki.

— Gdzież się pani śpieszy? Proszę posiedzieć. Ja nie jestem zajęty.

— Innym razem, kiedyś w święto prosimy pokornie wstąpić do nas na kawę. A teraz u nas pranie. Pójdę zobaczyć, czy Akulina już zaczęła.

— Z Panem Bogiem, nie śmiem zatrzymywać — rzekł Obłomow — patrząc w ślad za nią na plecy i łokcie.

— Zdjęłam jeszcze szlafrok pański ze strychu — mówiła. — Da się zreperować i wyprać. † Materiał bardzo dobry! Długo jeszcze może służyć.

— Zupełnie zbyteczne! Nie używam go już. Odzwyczailem się. Nie potrzebny mi.

— Nic nie znaczy, niech wypiorą. Może jeszcze go pan włoży — do wesela — dokończyła, uśmiechnęła się — i drzwi za sobą zamknęła.

Nagle sen go odleciał, słuch się zaostrzył, wzrok osłupiał.

— I ona już wie — wszyscy! — rzekł, siadając na krzesło, podsunięte gospodyni. O Zachar! Zachar!

Znowu popłynęły przykre słowa na Zachara, znowu Anisja przez nos oświadczyła, „że ona od gospodyni pierwszy raz usłyszała o weselu, że w rozmowach z nią nigdy o tem mowy nie było. I wesela niema i czyż to wypada? To pewnie wymyślił wróg rodzaju ludzkiego... Choćby zaraz w ziemię zapaść się, że gospodyni gotowa także zdjąć obraz ze ściany, a o paniencie Iljinskih ona nie słyszała, myślała, że to o innej jakiejś narzeczonej...”

Dużo gadała Anisja, tak że Ilja Iljicz wreszcie machnął ręką. Zachar nazajutrz prosił, aby mu pozwolono pójść w gościnę na Grochową ulicę, ale Oblomow dał mu takich gości, że ledwie zdołał umknąć.

— Tam jeszcze nie wiedzą, trzeba zatem oszczerstwa rozpowszechnić. Siedź w domu! — zakończył Ilja Iljicz groźnie.

Przyszła środa. We czwartek Oblomow znowu dostał miejską pocztą list od Olgi z zapytaniem, co to znaczy, co się stało, że nie przyjechał? Pisała mu, że przez cały wieczór płakała i w nocy spać nie mogła.

— Płacze, nie sypia mój anioł! — mówił Oblomow.

mow. Boże! Dlaczego ona mnie kocha? Dlaczego ja ją pokochałem? Dlaczego spotkaliśmy się? To wszystko Andrzej. On zaszczerpił miłość, jak ospe, nam obojgu. I cóż to za życie — ciągle wzruszenia i trwogi? Kiedyż przyjdzie szczęście i spokój?

Ilja Iljicz z głębokiem westchnieniem kładł się, wstawał, wychodził nawet na ulicę i szukał wszędzie „normy“ życia takiego, któreby miało i treść w sobie i upływałoby cicho, dzień po dniu, kropla po kropli, w niemej kontemplacji przyrody i cichych, ledwie widocznie poruszających się zjawiskach upływającego w codziennych kłopotach rodzinnego życia. Nie chciał wyobrażać sobie nawet tego życia, jako szerokiej rzeki, płynącej szumnie wezbranemi falami, jak wyobrażał je sobie Sztolc.

— To choroba — mówił Oblomow — gorączka, jazda z przeszkodami, zrywanie mostów, zalew wody po burzy.

Napisał do Olgi, że w Lętnim Ogrodzie przeziębził się trochę, musiał pić różne herbaty, że teraz już wszystko minęło, ale musi przesiedzieć parę dni w domu. W niedzielę ma nadzieję ją ujrzeć.

Olga odpowiedziała na list i pochwaliła go za szanowanie zdrowia, radziła pozostać w domu nawet w niedzielę, gdyby zdrowie tego wymagało, dodając, że woli raczej nudzić się w niedzielę, byle on tylko oszczędził zdrowie.

Odpowiedź przyniósł Nikita, ten sam, który, według opowiadań Anisji był głównym winowajcą w szerzeniu różnych wieści. Przyniósł od panienki nowe książki z prośbą o przeczytanie i o radę czy ona ma je czytać lub nie.

Prosiła o odpowiedź, co do zdrowia. Oblomow napisał list, osobiście wręczył go Nikicie, wypro-

wadził go na dziedziniec i oczyma wiódł za nim, aż do bramki, w obawie, ażeby nie zaszedł do kuchni i żeby Zachar nie wyszedł za nim na ulicę.

Ilja Iljicz bardzo się ucieszył propozycją Olgi szanowania zdrowia i odłożenia wizyty niedzielnej. Napisał, że rzeczywiście dla zupełnego wyzdrowienia lepiej kilka dni przesiedzieć w domu.

W niedzielę Oblomow był z wizytą u gospodyni, pił kawę, jadł gorący „pirog“, a po obiedzie posłał Zachara po lody i cukierki dla dzieci.

Zachara ledwie zdołano przez rzekę przeprowadzić na drugą stronę: tymczasowe mosty już usunięto, Newa poczęła zamarzać. Oblomow i w środę nie mógł pojechać do Olgi.

Przyczyna była zupełnie słuszna: lód już począł zbijać się w bryły. Nie można było się przeprowadzić.

Można byłoby wprowadzić natychmiast przeprowadzić się na tamtą stronę i przemieszkać kilka dni u Jana Gerasimowicza, a bywać, nawet jeść obiad codziennie u Olgi.

Myśl ta samorzutnie powstała w głowie Ilji Iljicza. Już spuścił nogi na podłogę, lecz pomyślałszy trochę, z zakłopotanym wyrazem twarzy i z westchnieniem znowu się położył.

— Nie, niech ustaną te gadania — myślał — niech obcy ludzie, odwiedzający dom Olgi, zapomną trochę o mnie, a będą mnie widzieć każdego dnia wtedy dopiero, gdy wystąpimy przed światem, jako narzeczeni. Przykro czekać tej chwili, ale cóż robić — dodał westchnąwszy — biorąc do ręki książki, przysłane przez Olę.

Przeczytał kilkanaście stron. Masza przyszła z propozycją od matki, czy nie zechciałby pójść

popatrzeć, jak zamarza rzeka. Poszedł i wrócił dopiero na herbatę.

Mijały dnie. Ilja Iljicz nudził się, czytał, przechadzał się po ulicy, a w domu zaglądał z nudów przez drzwi do gospodyni, ażeby się trochę rozrwać. Raz nawet zmielił trzy funty kawy tak pilnie, że pot z niego ściekał.

Chciał Agafji Matwiejewnie dać jakąś książkę do przeczytania. Milcząco, poruszając ustami, przeczytała cicho tytuł i książkę zwróciła, mówiąc, że kiedy nadejdą święta, ona poprosi o książkę i każe Wani czytać głośno, wtedy i babcia posłucha, a teraz nie ma czasu.

Tymczasem na Newie ustawiono znowu mosty, a skakanie psa na łańcuchu i rozpaczliwe ujadanie świadczyły o powtórnym zjawieniu się Nikity z listem, z zapytaniem o zdrowie i z książką.

Obłomow lękał się, ażeby mu nie wypadło przechodzić przez most na drugą stronę, schował się przed Nikitą, napisawszy w odpowiedzi, że gardło ma trochę spuchnięte, że jeszcze nie zdecydował się opuszczać pokoju i że „nielitościwy los pozbawia go szczęścia oglądania drogiej mu Olgi jeszcze przez kilka dni“.

Ostro zabronił Zacharowi rozmawiać z Nikitą, oczyma doprowadził go do bramki, a Anisji pogroził palcem, gdy wytknęła nos z kuchni i o coś chciała Nikitę zapytać.

VII.

Minął tydzień. Oblomow, wstawszy rano, z niepokojem zapytał, czy już ostatecznie ułożono mosty na Newie?

— Nie jeszcze — usłyszał w odpowiedzi. Spokojnie więc przepędzał czas, słuchając poruszania się wahadła zegarowego, trzeszczenia młynka od kawy i śpiewu kanarków.

Kurczęta już nie piszczały. Oddawna, jako poważne kury, chowały się po kurnikach. Książek, przysłanych przez Olgę, Ilja Iljicz nie zdołał jeszcze przeczytać i jak na sto piątej stronie położył książkę, odwróciwszy ją do góry okładką, tak też od kilku dni leżała nietknięta.

Codzień natomiast zajmował się dziećmi gospodyni. Wania okazał się bardzo pojętnym chłopcem: po trzykrotnem powtórzeniu, już doskonale pamiętał wszystkie główne miasta w Europie, a Ilja Iljicz obiecał, jak tylko pojedzie na drugą stronę, kupić mu mały globus. Masza obrebiła dla Oblomowa trzy chustki do nosa — źle, to prawda, ale ona tak śmiesznie pracuje swemi małemi rączynami i ciągle biega do Ilji Iljicza chwalić się swoją robotą.

Z Agafją Matwiejewną Oblomow rozmawiał bezustannie — ile razy dostrzegł tylko jej łokcie przez wpółotwarte drzwi. Z ruchu łokci przyzwyczał się

zgadywać, co robi gospodyni — czy przesiewa, czy miele lub prasuje.

Nieraz próbował nawet rozmawiać z babcią, ale stara nigdy prawie nie zdołała dokończyć rozmowy i zatrzymywała się wpół słowa; oparłszy się kulakiem o ścianę, zgięta poczyniała kaszleć z takim wysiłkiem, jakby jaką ciężką pracę robiła, potem westchnęła głęboko — i cała rozmowa skończona.

„Braciszka“ nie widywał zupełnie. Nieraz widział tylko, jak migał przed jego oknem z pliką papierów, w domu go jakby wcale nie było.

Gdy nawet Oblomow wchodził niechcący do pokoju, gdzie obiadowali, ściśnięci w kupę przy stole, „braciszek“ prędko palcami ocierał usta i chował się do swego pokoju.

Pewnego dnia, gdy Ilja Iljicz obudził się, wolny od wszelkich trosk i poczał pić kawę, Zachar doniósł mu — że most już ustalono. Oblomowowi drgnęło serce.

— Jutro niedziela! — pomyślał, — trzeba jechać do Olgi, cały dzień odważnie dźwigać na sobie wymowne i ciekawe spojrzenia obcych osób, wkońcu zapowiedzieć Oldze, kiedy będę mógł oświadczyć się ciotce.

Mimo to, zawsze jeszcze stał na tym samym punkcie niemożności poruszenia się z miejsca.

W wyobraźni jego żywo malowała się chwila, gdy już będzie uznany jako narzeczony; jak na drugi, trzeci dzień przyjadą różni panie i panowie, a on nagle stanie się przedmiotem ciekawości wszystkich; jak dadzą obowiązkowy niejako obiad, będą pić jego zdrowie. Potem... według prawa i obowiązku narzeczonego, złoży Oldze podarunek...

— Podarunek! — zawołał prawie ze strachem i zaśmiał się gorzko.

— Podarunek! — a ja mam tylko dwieście rubli w kieszeni! Gdy pieniądze nawet nadejdą, to chyba aż koło Bożego Narodzenia, a może i później, gdyż muszą sprzedać zboże, ale kiedy sprzedadzą, ile za nie uzyskają, ile tego zboża będzie — wszystko to list powinien wyjaśnić, a listu niema! Jakże to będzie! Żegnaj mi, dwutygodniowy spokoju!

Śród tych trosk stawała przed nim piękna postać Olgi, jej puszyste, wymowne brwi, jej rozumne szaro-błękitne oczy, jej bujne warkocze, spływające aż na szyję — wszystko to całej jej postaci nadało wyraz szlachetny od głowy aż do popiersia.

Ale ile razy zadrgało w nim uczucie miłości, natychmiast prawie przywalała go niby kamieniem ciężka myśl: co robić, jak przystąpić do rozwiązania kwestji wesela, gdzie dostać pieniędzy, z czego żyć potem?

— Poczekam jeszcze. Może list przyjdzie jutro, pojutrze.

Zaczynał obliczać, kiedy list powinien dojść na wieś, jak długo mógł sąsiad zwlekać z odpowiedzią, ile potrzeba czasu na nadejście odpowiedzi.

— Za trzy — cztery dni najdalej list powinien już być tutaj. Poczekam z wyjazdem do Olgi — zdecydował Obłomow — tem bardziej, że ona nie wie jeszcze zapewne, że mosty na Newie już ustalono.

— Katja, czy mosty już są? — tego samego rana spytała Olga, ocknąwszy się ze snu.

Pytanie to powtarzało się codziennie, ale Obłomow bynajmniej nie domyślał się tego.

— Nie wiem, panienko. Dziś nie widziałam jeszcze ani kuczera, ani stróża, a Nikita także nie wie.

— Ty nigdy nie wiesz, czego mi potrzeba! — niezadowolona odpowiedziała Olga, leżąc w łóżku i przypatrując się łańcuskowi na szyję.

— Zaraz się dowiem... Nie śmiałam odejść, gdyż myślałam, że panienska lada chwila może się obudzić... Zaraz pójde się dowiedzieć.

I wybiegła z pokoju.

Olga wysunęła szufladkę stolika i wyjęła ostatni liścik Oblomowa.

— Chory biedaczek! — myślała troskliwie — jak on tam tęskni, sam jeden... Ach, mój Boże! Czy to już prędko...

Nie zdołała dokończyć myśli, gdy zaczerwieniona Katja wbiegła do pokoju.

— Już są mosty! Są! Ustalono je dziś w nocy! — z radością zawołała Katja.

Olga wyskoczyła prawie z pościeli. Katja narzuciła na nią szlafroczek i podsunęła małe pan-tofelki. Olga szybko wysunęła szufladkę, coś wyjęła i wcisnęła do rąk Katji, która pocałowała jej rękę.

Wszystko to — skok z pościeli, zrobienie prezentu Katji, pocałowanie ręki, zajęło chwilę tylko.

— Jutro niedziela! Jak to dobrze! On przyjdzie!

Olga ubrała się szybko, napędce wypila herbatę i wyjechała z ciotką do magazynów.

— Jutro ciociu pojedziemy na mszę do Smolnego — prosiła ciotkę.

Ciotka przymrużyła oczy, pomyślała chwilę i rzekła:

— Można... ale tak daleko, *ma chère!* Cóż to tak się tobie nagle zachciało — w zimie.

^ Oldze zachciało się tylko dlatego, że Oblomow

wskazał jej tę cerkiew w czasie przejażdżki łodzią. Chciała pomodlić się tam — o niego, ażeby był zdrow, ażeby ją kochał zawsze, ażeby był z nią szczęśliwy, ażeby... ten brak zdecydowania, ta niepewność prędko minęły... Biedna Olga!

Przyszła niedziela. Olga potrafiła jakoś cały obiad urządzić według gustu Oblomowa.

Ubrała się w białą suknię, ukryła pod koronkami podarowaną jej przez niego bransoletkę, uczesała włosy według jego gustu, dzień przedtem kazała nastroić fortepian, a rano spróbowała śpiewać *Casta diva*. Głos jej tak dźwięczał, jak nigdy od powrotu z letniska. Potem czekała...

Baron nadjechał właśnie w chwili tego oczekiwania. Powiedział, że znowu wyladniała — jak w lecie, ale troszeczkę schudła.

— Brak świeżego wiejskiego powietrza i maleńki nieporządek w trybie życia podziały na panią — powiedział. — Dla pani, miła Olgo Siergiejewna, potrzebne powietrze pól i wsi.

Pocałował kilkakrotnie jej rękę tak szczerze, że farbowane wąsy pozostawiły nawet maleńką plamkę na palcach.

— Tak, wieś — odpowiedziała zamyślona, nie do niego wszakże zwrócona, a tak do kogoś — w powietrze.

— A propos wsi — dodał — w przyszłym tygodniu ukończy się proces pani, a w kwietniu będzie już pani mogła pojechać do własnego majątku. Nie jest wielki, ale położenie cudowne! — Pani będzie zadowolona. Jaki dom! Jaki ogród! Tam jest na górze jedna altanka — pani pokocha ją. Widok na rzekę... Pani nie pamięta. Miała pani dopiero pięć lat, kiedyście z ojcem stamtąd wyjechali,

— Jak ja się będę cieszyć! — rzekła i zamyśliła się.

— Teraz już rzecz zdecydowana — pomyślała — ale on dowie się o tem nie wcześniej, niż...

— Na przyszły miesiąc panie baronie? — spytała go prędko. — Czy to pewne?

— Tak pewne, jak to, że pani piękna wogóle, ale dzisiaj w szczególności — powiedział baron i poszedł do ciotki.

Olga została na swoim miejscu i marzyła o przyszłym szczęściu, ale zdecydowała się nic nie mówić Oblomowowi, ani o tem, co słyszała od barona, ani o swoich zamiarach.

Pragnęła zbadać do końca, jaki przewrót dokona się w jego leniwej duszy pod wpływem miłości, jak ostatecznie spadnie z niej ciężar; jak on się ugnie przed zbliżającym się szczęściem, otrzyma przychylną odpowiedź ze wsi, i cały rozradowany przybiegnie, ażeby upaść jej do nóg; jak oboje na wyścigi bieć będą do ciotki, a potem...

Potem powie mu, że i ona ma wieś, ogród, letnie mieszkanie z widokiem na rzekę, a dom zupełnie dobry do mieszkania, że należy najprzód tam pojechać, a potem do Oblomówki.

— Nie, nie chcę przychylniej odpowiedzi — pomyślała — on zechce być dumnym i nie odczuje nawet radości, że ja mam wieś, dom, ogród... Niech lepiej przyjdzie strwożony złą treścią listu, niech dowie się, że w jego majątku nieład, że trzeba tam jechać. Popędzi wtedy do Oblomówki, prędko wyda wszystkie stosowne rozkazy, coś zapomni, czegoś nie potrafi, coś powie byle jak — i znowu przybiegnie z powrotem. Wtedy niech się dowie,

że nie trzeba było jeździć, że jest dom, ogród, letni domek z widokiem na rzekę, że jest gdzie mieszkać i bez jego Obłomówki... Tak, tak, za nic mu nie powiem, wytrzymam do końca, niech on tam jedzie, niech się rusza, ożywi — wszystko dla nas, dla przyszłego szczęścia! Nie! Poco posyłać go na wieś i rozłączać się? Gdy w podróznem ubraniu przyjdzie blady, zasmucony, aby się pożegnać na miesiąc, wtedy mu powiem, że nie trzeba jechać do lata, a potem pojedziemy razem.

Tak marzyła Olga, i pobiegłszy do barona, zrećźnie go uprzedziła, ażeby do pewnego czasu nie rozgłaszał tej wiadomości, nie mówił o nowinie nikomu, stanowczo — nikomu. Mówiąc: nikomu, miała na myśl tylko Obłomowa.

— Tak, tak, poco? — potwierdził baron — chyba powiedzieć może tylko Obłomowowi, gdyby była mowa o tem.

Olga zapanowała nad sobą i rzekła obojętnie:

— Nie, i jemu proszę nie mówić.

— Wola pani dla mnie prawem — odpowiedział grzecznie baron.

Oldze nie brakło przebiegłości. Gdy bardzo pragnęła spojrzeć na Obłomowa przy świadkach, patrzyła najprzód na trzech innych, a dopiero potem na Obłomowa.

Ile rozmaitych kombinacyj — wszystko dla niego. Ile razy rumieńce występowały jej na twarzy! Gdy trąci ten lub inny klawisz, przewróci nuty z jednej strony na drugą — zawsze pomyśli o nim. Niema go. Co to znaczy?

Trzecia, czwarta godzina — niema go! Wpół

do piątej: rozkwitła jej piękność poczęła przekwitać, poczęła więdnąć i do stołu usiadła blada.

Inni, — nic nie spostrzegli. Nikt nawet nie zauważył, co się z nią działo. Wszyscy jedli te potrawy, które przygotowane były dla niego, rozmawiając wesoło, obojętnie.

Po obiedzie, wieczorem, także nie przyszedł. Do godziny dziesiątej łudziła się nadzieją lub lęk ją ogarniał naprzemian. O dziesiątej poszła do swego pokoju.

Z początku wszystek gniew swój, wszystką gorycz jaką tylko miała w sercu wylała na niego. — Nie było zjadliwego sarkazmu, przykrego słowa, jakie tylko znaleźć mogła w swoim słowniku, któremi nie obciążałaby go w myśli.

Potem miała wrażenie, jak gdyby cały jej organizm napędlano się ogniem lub lodem naprzemiany.

— On chory... sam jeden... nie może nawet zawiadomić — zabłysło jej w umyśle.

Przeświadczenie to ośwładnęło ją zupełnie i przez całą noc zasnąć nie mogła. Gorączkowo spała zaledwie dwie godziny. Rano obudziła się, chociaż blada, ale spokojna i zdecydowana.

W poniedziałek rano gospodyni weszła do gabinetu Oblomowa i oświadczyła:

— Jakaś dziewczyna pyta o pana.

— O mnie? Nie może być! — odrzekł Oblomow. — Gdzież ona?

— Tu właśnie. Pomyliła się. Weszła przez nasz ganek. Wpuścić?

Oblomow nie wiedział, co robić, na co się zdecydować, gdy nagle przed nim stanęła Katja,

— Katja! — ze zdziwieniem zawołał Obłomow. — Skąd ty tu? Jak?

— Panienska też — szeptem odpowiedziała Katja — kazała zapytać...

Obłomow zbładł nagle.

— Olga Siergiejewna! — szeptał z przestraszeniem. Kłamiesz Katja. Zazartowałaś. Nie męcz mnie!

— Jak Boga kocham, prawda! W najętym powozie... Zatrzymała się w magazynie z herbatą... czeka... chce tu przyjechać. Kazała mi powiedzieć, ażeby pan wysłał gdzie Zachara. Za pół godziny panienska tu przyjedzie...

— Lepiej sam pójde... Jak można, ażeby się tutaj fatygowała!

— Nie zdoła pan... Łada chwila panienska przyjedzie... Panienska myśli, że pan chory. Dowidzenia... ja polecę... panienska sama, czeka na mnie.

I poszła.

Obłomow z niezwykłym pośpiechem zawiązał krawat, wdział kamizelkę, buty i zawołał Zachara.

— Zachar! Niedawno prosiłeś mnie, abym ci pozwolił pójść w gościnę na tamtą stronę, na Grochową ulicę, możesz pójść teraz — rzekł Obłomow.

— Nie pójde! — rzekł stanowczo Zachar.

— Idź, kiedy mówię! — naciskał Obłomow.

— Poco chodzić w gościnę w dzień zwykły! — upierał się Zachar.

— Idź, rozerwiesz się, nie bądź uparty, kiedy barin robi ci łaskę i pozwala wyjść... Zobaczysz się z przyjaciółmi...

— Niech ich tam, tych przyjaciół!

— Czyż nie chcesz się widzieć z nimi?

— Wszystko to takie draby, że patrzeć się na nich nie chce!

— Ależ idź, idź! — nalegał Oblomow i krew mu uderzyła do głowy.

— Nie, dzisiaj cały dzień będę siedzieć w domu. W niedzielę może pójdę — odpowiedział obojętnie Zachar.

— Idź teraz, zaraz! — naglił go wzburzony Oblomow. — Tyś powinien...

— Poco ja pójdę! Siedem wiorst iść poto, by zjeść kisielu.

— Idź, przejdź się ze dwie godziny. Widzisz, gębę masz taką zaspaną! Przewietrzysz się.

— Gęba jak gęba — zwykle jak u naszego brata — odpowiedział Zachar, leniwie spoglądając w okno.

— Ach, mój Boże! Zaraz przyjdzie — myślał Oblomow, ocierając pot z czoła.

— Proszę cię, idź, przejdź się... Masz tu dwadzieścia kopiejek, wypij piwa z przyjaciелеm.

— Lepiej na ganku posiedzę. Gdzież ja w taki mróz pójdę. Przed wrotami także posiedzieć mogę.

— O, nie! Jak najdalej od bramy! — żywo zaprotestował Oblomow. — Na inną ulicę pójsć możesz... na lewo, do ogrodu... na tamtą stronę...

— Co za dziwna rzecz — myślał Zachar — pędzą na przechadzkę. Tęgo nie bywało.

— Ja już lepiej w niedzielę, Ilja Iljicz.

— Pójdiesz ty czy nie? — ścisnąwszy zęby rzekł Oblomow, naciskając Zachara.

Zachar uciekł. Oblomow poszedł do Anisji.

— Ruszaj na targ i kupisz tam do obiadu...

— Do obiadu już wszystko kupiłam... Wkrótce będzie gotów — przemawiał jej nos,

— Milczeć i słuchać! — krzyknął Obłomow tak, że Anisja się złękła.

— Kup szparagów... — dokończył, myśląc nadtem, co by jej kazać jeszcze kupić.

— Jakież to teraz szparagi, batiuszka, i gdzie ja ich kupię.

— Marsz! — krzyknął Obłomow. — Anisja uciekła. Pędź, ile sił ci starczy — krzyczał za nią, a stamtąd wracaj o ile można najwolniej. Przed drugą godziną nosa tu nie pokazuj.

— Cóż to się dziwnego dzieje! — mówił Zachar do Anisji, spotkawszy się z nią za bramą. — Na przechadzkę pędzi, dał dwadzieścia kopiejek. Gdzie ja pójde?

— To pańskie rzeczy, nie nasze — zauważyła, coś zmiarkowawszy Anisja. — Ty idź do Artemija, kuczera hrabiowskiego... poproś go na herbatę... on często ciebie herbatą traktuje... A ja pobiegnę na targ.

— Wiesz Artemi, coś dziwnego — mówił Zachar. — Barin wypędził mnie na przechadzkę i dał na piwo.

— Sam pewnie chce nachlać się dobrze — dowcipnie zauważył Artemi — więc i ciebie wysyła, abyś mu nie zazdrościł. Chodźmy.

Artemi skinął na Zachara, zrobił przed sobą ruch ręką i wskazał jakąś uliczkę.

— Chodźmy! — rzekł Zachar i także w tym kierunku głową skinął.

— Coś dziwnego! — skrzypiał Zachar — wypędził na przechadzkę! —

Znikli. Anisja, doszedłszy do pierwszej przecznicy, przysiadła za płotem w rowie i czekała, co będzie?

Oblomow nasłuchiwał i czekał. Ktoś ujął za kółko przy bramie i w tej chwili rozpaczliwe szczekanie i szarpanie się psa na łańcuchu nappełniło cały dziedziniec.

— Przeklęty pies! — rzucił Oblomow przez zaciśnięte zęby, uchwycił czapkę i pobiegł otworzyć bramkę. Otworzył i prawie w objęciach przyprowadził Olę do ganku.

Była sama. Katja czekała na nią w powozie, niedaleko od bramy.

— Zdrów jesteś? Nie leżysz? Co tobie? — pytała prędko, wchodząc do gabinetu, nie zdejmując płaszcza i kapelusza i mierząc go od stóp do głowy.

— Lepiej mi teraz... Ból gardła minął prawie zupełnie... — rzekł, dotknąwszy ręką gardła i kaszląc lekko.

— Dlaczegożes wczoraj nie był? — pytała go tem spojrzeniem, które z jego duszy wydobywało wszystkie tajemnice.

— Jakże ty Olga mogłaś zdecydować się na taki krok? — zapytał z przestrachem. — Czy wiesz, na co się narażasz?

— O tem później — przerwała mu niecierpliwie. — Pytam cię co to znaczy, że się nie pokazujesz u nas? Oblomow milczał.

— Czy jęczmień siadł ci na oku?

Wciąż milczał.

— Nie byłeś chory, gardło cię nie bolało! — mówiła marszcząc brwi.

— Nie byłem — odpowiedział Oblomow głosem żaka szkolnego.

— Oszukałeś mnie! Dlaczego?

Olga ze zdziwieniem patrzyła na niego,

— Wszystko ci wyjaśnię, Olgo — usprawiedliwiał się. — Ważna przyczyna... dla tego nie byłem przez dwa tygodnie... lękałem się...

— Czego? — pytała, zdejmując kapelusz i płaszcz.

Obłomow wziął jedno i drugie i położył na kanapie.

— Gadania, plotek...

— A nie lękałeś się, że ja całą noc spać nie będę, że Bóg wie jakie myśli będą mnie trapiły, że omala się nie rozchorowała? — mówiła, wpatrując się w niego badawczym wzrokiem.

— Nie domyślasz się Olgo, co się dzieje tu u mnie, tu — pokazał na serce i głowę. — Trwoga mnie ogarnęła, jak ogień. Nie wiesz, co się stało...

— Cóż się jeszcze stało? — spytała chłodno.

— Jak daleko sięgają pogłoski o tobie i o mnie. Lękałem się sprawić ci przykrość i dlatego nie pokazywałem się.

Opowiedział jej wszystko, co słyszał od Zachara, od Anisji; przypominał rozmowę słyszana w teatrze; od tego czasu nie sypia, bo w każdym spojrzeniu ludzi widzi tylko wyrzuty lub napomknienia o ich widywaniu się sam na sam.

— Przecież zdecydowaliśmy w tym tygodniu powiedzieć ciotce — rzekła — a wtenczas ustaną wszelkie gadania.

— Tak, ale ja nie chciałem mówić z ciotką, póki nie otrzymam ze wsi odpowiedzi. Ja wiem, ona zapyta nie o moją miłość, lecz o mój majątek, zacznie wypytywać o różne szczegóły, a ja nie mógłbym dać żadnych wyjaśnień przed otrzymaniem listu od mego pełnomocnika.

Olga westchnęła.

— Gdybym ciebie nie znała — rzekła w 'zamysleniu — Bóg wie, cobym mogła pomyśleć. Bałes się zatrwożyć mnie plotkami lokajów, a nie pomyślałeś, że robisz mi większą przykrość. Przestałam rozumieć ciebie.

— Zdawało mi się, że to plotkowanie wzburzy ciebie. Katja, Marfa, Siemion i ten dureń Nikita, Bóg wie, co rozgadują.

— Ja oddawna wiem, co oni gadają — odpowiedziała obojętnie.

— Jakto, wiesz?

— Tak. Katja i niania dawno już mnie o tem mówiły, winszowały mi...

— Czyż nawet winszowały? — spytał przestraszony. — Cóż ty na to?

— Nic. Podziękowałam. Niani podarowałam chustkę — obiecała piechotę pójść do Siergija pomodlić się na moją intencję. Katji obiecałam dopomóc do wyjścia zamaż za cukiernika... Ona ma także swój romans...

Oblomow spoglądał na nią z lękiem i trwogą.

— Bywałeś u nas codziennie, nic przeto dziwnego, że ludzie gadają o tem, oni pierwsi zaczynają gadać — wyjaśniała mu. — Z Soniczką było to samo, coż ciebie przestrasza?

— Więc stąd wszystkie pogłoski — rzekł przeciągle.

— Czy nie prawdziwe? Prawdziwe przecież.

— Prawda, z akcentem prawie zaprzeczenia — zauważył Oblomow — w rzeczywistości ty masz słuszość, tylko ja nie życzę sobie, ażeby oni wiedzieli o widywaniu się naszym sam na sam... Tego się lękam.

— Lęasz się, drzysz, jak mały chłopczyk... nie rozumiem. Czy ty mnie wykradasz.

Oblomow czuł się zakłopotanym. Olga pilnie wpatrywała się w niego.

— Słuchaj... — rzekła — w tem jest jakieś kłamstwo... jest coś innego... Zbliź się do mnie i powiedz wszystko, co ci na sercu leży. Mogłeś nie przychodzić dzień, dwa, tydzień wreszcie z powodu zbytniej ostrożności, ale mógłbyś przecie uprzedzić mnie, napisać. Wiesz przecie, że nie jestem dzieckiem, nie tak łatwo łudzić mnie pozorami i martwić dwuznacznymi domysłami. Co to wszystko znaczy?

Oblomow zamyślił się, pocałował jej rękę i westchnął.

— Przez ten cały czas Olgo — rzekł — wyobraźnia moja tak była przesycona różnemi okropnościami co do ciebie, umysł tak strapiony kłopotami, serce tak zbolełe z powodu różnych rozwiewających się nadziei, oczekiwania, że cały mój organizm wstrząśnięty, oniemiał prawie... potrzebuje wypoczynku.

— Dlaczegoż u mnie nie niemieje? Dlaczego ja szukam wypoczynku przy tobie?

— Ty masz młode, mocne siły, ty kochasz jasno spokojnie, a ja... ale wiesz przecie, jak bardzo cię kocham! — rzekł, schylając się i całując jej rękę.

— Nie, ja wiem jeszcze za mało. Ty jesteś tak dziwnym człowiekiem, że ja gubię się w odgadywaniu. Rozum mój gaśnie i nadzieja... wkrótce przestaniemy zupełnie rozumieć siebie — wtedy źle!

Oboje milczeli.

— Cóżes ty robił przez te dni? — spytała go, po raz pierwszy wodząc okiem po jego pokoju. Tu

ci niedobrze... Takie niziutkie pokoje! Okna małe, tapety stare. Gdzież inne twoje pokoje?

Oblomow wstał i począł ją oprowadzać po mieszkaniu, ażeby zatrzeć pytanie o tem co przez te dni robił. Potem Olga usiadła na kanapie, Ilja Iljicz u jej nóg.

— Cóżes ty robił przez dwa tygodnie? — dopytywała się?

— Czytałem, pisałem, myślałem o tobie...

— Przeczytales przysłane ci książki? Co tam ciekawego? Zabiorę je ze sobą.

Olga wzięła ze stołu książkę i spojrzała na otwartą stronę — strona była zakurzona.

— Nie czytasz? — pytała.

— Nie.

Rzuciła okiem na zmięte wyszywane poduszki, na nieład wszędzie, na zakurzone brudne okna, na biurko; ułożyła kilka zakurzonych papierów, poruszyła piórem w kałamarzu, w którym atrament dawno wysechł i ze zdziwieniem popatrzyła na Oblomowa.

— Cóżes ty robił? — powtórzyła pytanie. — Nie czytales? Nie pisaless?

— Nie miałem dość czasu — odpowiedział zacinając się. — Rano sprzątają pokoje, przeszkadzają, potem rozpoczyna się gadanie o obiedzie, przychodzą dzieci gospodyni, prosząc, ażeby sprawdzić wypracowanie, potem obiad. A po obiedzie kiedyż można czytać?

— Sypialess po obiedzie? — spytała tak stanowczym głosem, że po chwilowem wahaniu Oblomow odpowiedział.

— Spałem.

— Dlaczego?

— Ażeby nie widzieć uciekającego czasu. Ciebie Olga nie było przy mnie, a życie takie nudne, nieznośne bez ciebie...

Oblomow zatrzymał się. Olga ostro patrzyła na niego.

— Iljusa! — zaczęła poważnie. — Pamiętasz, w parku, kiedy powiedziałeś, że w tobie obudziło się życie, zapewniłeś, że celem twego życia — będę ja, że będzie to twój ideał. Ująłeś mnie za rękę, i powiedziałeś, że ona twoja... Pamiętasz, że dałam ci przyrzeczenie?

— Czyż o tem można zapomnieć? Czyż to nie przełamało całego mego życia? Nie widzisz, jak jestem szczęśliwy.

— Nie, nie widzę. Oszukałeś mnie — rzekła zimno. — Zleniwiałeś znowu.

— Oszukałem! Czyż ci nie grzech? Klnę się Bogiem, że gotów jestem w przepaść się rzucić!

— Tak, gdyby przepaść była tu, bliźutko u nóg, w tej chwili — przerwała mu — ale gdyby wypadło odłożyć postanowienie na trzy dni, pomyślałbyś, przestraszyłbyś się, szczególnie gdyby Zachar lub Anisja poczęli o tem gadać... To nie miłość.

— Ty nie wierzysz w moją miłość! — zaprotestował gorąco. — Myślisz, że zwlekam z troski o siebie, a nie o ciebie. Czy nie ochraniam, jak ścianą, twego imienia, nie czuam jak matka, ażeby żadna plotka nie przyłgnęła do niego... Ach, Olga, Żądaj dowodów! Powtórzę ci, że gdybyś z drugim mogła być szczęśliwszą, bez szemrania zrzekłbym się praw moich do twego serca; gdyby umrzeć wypadło — umarłbym z radością! — zakończył ze łzami w oczach. >

— To wszystko niepotrzebne. Nikt tego nie

żąda. Jest to zwykła przebiegłość złych ludzi ofiarowywać poświęcenie się, którego nikt nie żąda, ażeby uniknąć obowiązków. Ty nie jesteś przebiegłym, wiem, ale...

— Nie wiesz, ile zdrowia kosztuje mnie miłość moja i troski — mówił. — Od chwili poznania ciebie, ja nie mam innych myśli, tylko o tobie. I teraz powtarzam: celem mego życia — ty jesteś i tylko ty jedna! Ja teraz oddycham, patrzę, myślę, odczuwam — tobą. Nie dziw się, że w te dni, kiedy ciebie nie widzę, zasypiam, upadam. Wszystko mi obrzydło, wszystko mnie nudzi. Staję się maszyną: chodzę, robię coś, ale nie wiem czy żyję, nie wiem, co robię. Ty jesteś ogniem i siłą życia tej maszyny. Ona przy tobie żyje.

Oblomow ukląkł przed nią.

Oczy mu błyszczały, jak niegdyś w parku. Znowu duma i siła woli zaświeciły w nich.

— W tej chwili gotów jestem iść, gdzie każesz, robić, co każesz. Czuję, że żyję tylko wtedy, gdy patrzysz na mnie, mówisz, śpiewasz.

Olga w poważnej zadumie słuchała tych wylewów serca.

— Słuchaj, Iljusza — powiedziała mu — wierzę w twoją miłość i w siłę mego wpływu na ciebie. Pocóż ty przestraszasz mnie swoim brakiem stanowczości, zmuszasz mnie do wahania się? Powiadasz, że jestem celem twego życia, a zdążasz do tego celu tak trwożliwie, tak powoli i tak daleko od niego jesteś. Tyś powinien przewyższać mnie. Czekam i spodziewam się tego od ciebie! Ja widywałam szczęśliwych ludzi, wiem, jak oni kochają — dodała westchnawszy. — Życie w nich kipi, spokój ich, niepodobny do twego spokoju, oni nie

schylają głowy, oczy mają otwarte na wszystko, sypiają mało, zawsze w ruchu, czynni. A ty?... To niepodobieństwo, ażeby miłość i ja były celem twoim.

Wątpiąco pokiwała głową.

— Ty! Ty! — mówił Oblomow, całując jej ręce, wzruszony u nóg jej. — Tyś tylko jedna! Mój Boże! Jakie szczęście! — wołał, jak w malignie. — Czy przypuszczasz, że można ciebie oszukać, że można nie zostać bohaterem po takim przebudzeniu. Zobaczcie, ty i Andrzej — mówił, patrząc natchnionym wzrokiem — do jakiej wyżyny podnosi człowieka miłość takiej kobiety, jak ty. Patrz na mnie — czyż ja nie zmartwychwstałem, nie żyję w tej chwili pełnem życiem? Chodźmy stąd? Idźmy jak najdalej! Ani chwili nie chcę tu zostać: tu obrzydliwie, dusi mnie coś — mówił Oblomow, z nietajonem obrzydzeniem oglądając się dokoła. — Ach gdyby ten ogień, który mnie pali w tej chwili, nie opuścił mnie jutro i — nigdy! Gdy ciebie niema — on gaśnie, ja przestaję żyć. Teraz odżyłem, odrodziłem się. Mnie się zdaje, że ja... Olga, Olga! Tyś najpiękniejsza ze wszystkich, tyś pierwsza kobieta... ty... ty...

Oblomow pochylił się do jej ręki i zamarł. Słowa przestały mu z ust płynąć. Przyłożył rękę do serca, ażeby je uspokoić, i utkwivszy wzrok w Olgę, zniechęcił się zupełnie.

— Bardzo, bardzo przeczulony — myślała Olga, nie z westchnieniem, jak bywało w parku, ale w głębokiej zadumie.

— Muszę wracać! — oprzytomniawszy rzekła łagodnie.

Oblomow nagle ocknął się.

— Mój Boże! Tu jesteś? U mnie? — rzekł i natchniony wzrok zastąpiło trwożliwe oglądanie się dokoła. Namietne słowa zamarły na ustach.

Ilja Iljicz pochwycił w roztargnieniu kapelusz i płaszcz Olgi i zamiast kapelusza chciał jej płaszcz na głowę narzucić.

Olga uśmiechnęła się.

— Nie obawiaj się o mnie — uspokajała go. — Ciotka moja na cały dzień wyjechała z domu; niania tylko i Katja wiedzą, gdzie jestem. Odprowadź mnie!

Podawała mu rękę i bez trwogi, spokojnie, z pełną dumy świadomością swej niewinności, przeszła przez dziedziniec, przy akompaniamencie szarpania się i ujadania psa na łańcuchu, wsiadła do karety i odjechała.

Z okien tej połowy, gdzie mieszkała gospodyni, wyglądały główki dziecinne, a z kąta, z rowu za płotem pokazała się głowa Anisji.

Gdy już kareta znikła, zwróciwszy się w inną ulicę, wróciła Anisja i oświadczyła, że cały targ przejrzała i nigdzie nie mogła znaleźć szparagów. Zachar wrócił dopiero po trzech godzinach, i spał przez resztę dnia.

Obłomow długo przechadzał się po pokoju, nog nie czując pod sobą, nie słysząc własnych kroków. Chodził, jak gdyby go jakaś siła unosiła od podłogi.

Gdy tylko umilkł skrzyp karety po śniegu, która uwiozła jego życie i szczęście, niepokój jego minął, podniósł głowę, wyprostował plecy, natchnieniem ożywiła się twarz, a oczy były pełne łez szczęścia i wzruszenia. Po całym organizmie rozlało się jakieś ciepło, świeżość. Nagle, jak niegdyś, zapragnął iść gdzieś, jechać daleko — do Sztolca;

lub z Olgą, na wieś, w pole, do lasu; zamknąć się w swoim gabinecie i utonąć w pracy; jechać nawet do przystani w Rybińsku, budować drogę, przeczytać książkę, która tylko co zjawiała się na półkach księgarskich, a zainteresowała czytelników; jechać na operę — dziś...

Tak, dziś ona u niego, on u niej, potem opera. Jak się dzień wypełnił! Jak lekko oddychać w takim życiu, obok Olgi, w promieniach jej dziewiczego blasku, krzepkich sił, jej młodego ale bystrego i zdrowego rozumu! Oblomow chodził lekko, jak gdyby latał. Zdawało mu się, że ktoś go nosi po pokoju.

— Naprzód, naprzód! — mówiła Olga — wyżej, wyżej do tej granicy, przy której czuła, że kobiecość traci swoje prawa, a rozpoczyna się panowanie mężczyzny!

Jak ona jasno patrzy na życie! Jak widzi w tej mądrej księdze własną linię życia i instynktownie odgaduje własną drogę! Dwa życia, jak dwie rzeki, powinny zlać się w jedno, a wodzem życia — ona.

Olga zna jego siły, zdolności, wie, co i ile on może zrobić i z pokorą poddaje się jego władzy. Prześliczna Olga! Niezmącenie spokojna, odważna, prosta, ale stanowcza kobieta, naturalna, jak samo życie!

— Rzeczywiście, jak tu obrzydliwie! — mówił Oblomow, oglądając się dokoła. I ten anioł zniżył się do błota, ażeby je opromienić swoją obecnością!

Z uczuciem miłości spoglądał na krzesło, na którym siedziała Olga. Nagle oczy jego błysnęły: na podłodze, przy krześle ujrzał jej malutką rękawiczkę.

— Znak na przyszłość — myślał. — Jej ręka — to

przepowiednia. O! — jęknął namiętnie i rękawiczkę do ust przycisnął.

Gospodyni wyjrzała z za drzwi z propozycją obejrzenia płótna. Przynieśli na sprzedaż. Może potrzebne?

Obłomow sucho podziękował, przeprosił, że bardzo zajęty. Nawet na łokcie nie spojrzął. Potem, uśmiechając się na wspomnienie lata, przesuwiał w myśli przed oczyma wszystkie szczegóły, przypominał sobie każde drzewo, krzew, ławeczkę, każde wypowiedziane słowo. Wydawało mu się to jeszcze miłszem, niż było wtedy, gdy doznawał bezpośrednich wrażeń.

Stracił zupełnie moc panowania nad sobą: śpiewał, przemawiał uprzejmie do Anisji, żartował, że nie ma dzieci i obiecał być chrzestnym ojcem, gdy się jej tylko dziecko urodzi. Z Maszą narobił takiego hałasu, że gospodyni zajrzała i napędziła ją, ażeby nie przeszkadzała „pracować“.

Reszta dnia podniosła jeszcze nastrój Obłomowa. Olga była wesółą, śpiewała, potem śpiew w operze, potem był u nich na herbacie, a przy herbacie była taka szczerą, serdeczną rozmową między nim, ciotką, baronem i Olgą, że Obłomow czuł się jak gdyby członkiem tej małej rodziny. Dość już tego samotnego życia: on już ma do pewnego stopnia własny kąt. Już swoje życie pchnął na inną drogę — ma własny świat i ciepło — tak tam żyć przyjemnie!

W nocy spał mało. Kończył czytanie książek, przysłanych przez Olgę — półtora tomu przeczytał.

— Jutro powinien nadejść list ze wsi — myślał. Serce mu biło... — Nareszcie!

VIII.

Na drugi dzień Zachar, sprzątając pokój, znalazł na biurku niewielką rękawiczkę. Długo się jej przypatrywał, uśmiechnął się i podał Obłomowi.

— Pewnie Iljinska „barysznia“ zapomniła — rzekł.

— Czort z ciebie! — huknął Ilja Iljicz, wyrzucając z rąk jego rękawiczkę. — Kłamiesz! Jaka Iljinska barysznia, to szwaczka przyjeżdżała z magazynu przymierzyć koszule! Jak ty śmiesz wymyślać!

— Jaki ja czort? Co wymyślałem? Ot, na tamtej stronie, gdzie mieszka gospodyni, gadają.

— Co mówią? — pytał Obłomow.

— Co mają mówić? Że Iljinska barysznia z pokojówką przyjeżdżały.

— Mój Boże! — z przestraczem zawołał Obłomow. — Skąd oni znają Iljinską barysznię? Wy pewnie z Anisją paplaliście?

Nagle od przedpokoju, przez półotwarte drzwi wysunęła się Anisja.

— Czy to nie grzech, Zachar Trofimycz, paplać jak baba. Proszę go nie słuchać „batiuszka“ — rzekła — nikt nic nie mówił i nic nie wie... Pan Bóg...

— No, no, no! — zachrypiał Zachar, zamachnąw-

szy się na nią kulakiem. Wtykasz nos tam, gdzie ciebie nie proszą.

Anisja schowała się. Oblomow obu kulakami pogroził Zacharowi, potem szybko otworzył drzwi do pokoju gospodyni. Agafja Matwiejewna siedziała na podłodze i w kuferku przebierała starzyznę. Przy niej leżała kupa szmatek, waty, starych sukienek, guzików i obrzynki różnych futer.

— Proszę pani — rzekł łagodnie, ale podrażniony Oblomow — moi ludzie gadają różne głupstwa... Na miłość Boga, proszę im nie wierzyć.

— Nic nie słyszałam! — odpowiedziała gospodyni. Nie wiem, o czym oni gadają.

— Z powodu wczorajszej wizyty — ciągnął dalej Oblomow. — Opowiadają, że przyjeżdżała jakaś barysznia...

— To nie nasza rzecz, kto do lokatorów jeździ.

— Tak, ale proszę panią bardzo zupełnie temu nie wierzyć! Jest to ogadywanie! Żadnej baryszni nie było. Przyjeżdżała poprostu szwaczka przymierzyć koszule!

— A pan gdzie zamówił koszule? Kto panu szyje? — żywo spytała gospodyni.

— W francuskim magazynie.

— Niech pan pokaże, jak przyniosą. Ja mam dwie dziewczyny znajome: tak pięknie szyją, tak ślicznie stebnują, że żadna francuska lepiej nie potrafi. Widziałam. Pokazywały mi bieliznę dla grafa Metlińskiego. Nikt lepiej nie potrafi. Lepiej szyte, niż te, co pan nosi.

— Bardzo dobrze. Ja przypominę. Niech pani tylko nie myśli, że to była barysznia...

— Czy to do nas należy — kto przychodzi? Choćby barysznia...

— Nie, nie! — protestował Oblomow. — Ta panienska, o której plecie Zachar, jest słusznego wzrostu, mówi basem, a ta szwaczka, słyszała pani, jakim cienkim głosem mówiła... Ona ma przesłiczny głos... Proszę bardzo niemyśleć...

— To do nas nie należy? — mówiła gospodyni. A gdy pan zechce zamówić sobie nowe koszule, proszę tylko mnie powiedzieć... Moje znajome tak stebnują... zowią je Lizaweta Nikołajewna i Marja Nikołajewna.

— Dobrze, dobrze, nie zapomnie. Tylko niech pani nie pomyśli...

Oblomow wyszedł. Potem ubrał się i pojechał do Olgi.

Wróciwszy wieczorem, zastał na stole list ze wsi, od sąsiada, swego pełnomocnika. Rzucił się do lampy, przeczytał — i ręce mu opadły.

„Bardzo proszę dać pełnomocnictwo innej osobie — pisał sąsiad — gdyż mam taki nawal pracy, że sumiennie mówiąc, nie mogę czuwać nad pańskim majątkiem. Najlepiej byłoby, gdyby pan sam przyjechał, a jeszcze lepiej, gdyby zamieszkał pan na wsi. Majątek piękny, ale strasznie zaniedbany. Przedewszystkiem trzeba doprowadzić do porządku podział pańszczyzny i opłat. Bez gospodarza zrobić tego nie można. Chłopi się rozbrykali, nowego starosty nie słuchają, a dawny jest złodziejem i trzeba go pilnować. Wysokości dochodu obliczyć niepodobna. Przy dzisiejszym nieładzie, wątpię, ażeby był wyższy nad trzy tysiące i to przy osobistym dozorze. Liczę tylko dochód ze sprzedaży ziarna. Z opłat bardzo mało wpłynie. Trzeba to wszystko ująć mocno w ręce, ściągnąć niedobory — na to potrzeba będzie trzech miesięcy. Urodzaj był

niezły, ceny dobre. W marcu lub kwietniu otrzyma pan pieniądze, jeśli sam pan dopilnuje sprzedaży. Teraz gotowych pieniędzy niema ani grosza. Co się tyczy drogi przez Wierchłowo i budowy mostu, to, nie otrzymując od pana dłuższy czas odpowiedzi, zdecydowałem się wspólnie z Odoncowym i Bielowodowym prowadzić gościniec od siebie na Nelki, tak że Oblomówka pozostaje daleko na stronie.

„Na zakończenie powtarzam prośbę przybycia jak można najszybciej. Za trzy miesiące można wyjaśnić, czego na rok przyszły spodziewać się należy. Teraz mamy wybory: czy nie zechciałby pan kandydować na urząd sędziego powiatowego? Proszę przyspieszyć przyjazd. Dom pański w bardzo złym stanie. Kazałem dziewczę od krów, staremu woźnicy i dwóm starym dziewczkom wynieść się z domu, gdyż dłużej tam mieszkać byłoby niebezpiecznie“.

Do listu dołączona była notatka, ile zboża zebrano, ile korcy namłócono i zsypano do śpichlerza, ile przeznaczono do sprzedania — i różne szczegóły gospodarskie.

— Pieniądzy ani grosza trzy miesiące, przyjechać osobiście, rozpatrzyć sprawy włościańskie, obliczyć dochód, pełnić służbę obywatelską — wszystko to niby widziadła jakieś otoczyło Oblomowa. Ocknął się jak gdyby w lesie, w nocy, gdzie, jakby za każdym drzewem, za każdym krzakiem wyglądał rozbójnik, zwierz jakiś albo trup.

— Jednak to wstyd! Ja nie upadnę pod ciężarem! Postaram się poznać bliżej te widziadła — myślał — usiłując jak tchórz spojrzeć na nie przez zamknięte powieki i odczuwając tylko chłód koło serca, a w rękach i nogach — bezsilność.

Czegoż spodziewał się Oblomow? Myślał, że list przyniesie mu określoną liczbę dochodu, oczywiście najwięcej, ile tylko można tysięcy, naprzykład — sześć, osiem, że dom jeszcze się trzyma i od biedy mieszkać w nim można, zanim się nowy zbuduje, że, wkońcu, plenipotent przyśle mu jakie trzy, cztery tysiące — słowem, że w liście wyczyta ten sam uśmiech, taką samą treść życia i miłość, jakie wyczytywał w liście Olgi.

Chodząc po pokoju, nie unosił się ponad poziom podłogi, nie żartował z Anisją, ani kołysał się nadziejanii szczęścia. Trzeba je było o trzy miesiące odsunąć od siebie. Nie! Za trzy miesiące on zaledwie zdoła rozpatrzyć sprawę włościańskie, pozna własny majątek, a wesele...

— O weselu przed rokiem pomyśleć nawet nie można — rozważał. — Tak, tak, za rok dopiero, nie wcześniej. Muszę przecież jeszcze plan swój wykończyć, odbyć konferencję z budowniczym, potem...

Oblomow westchnął.

— Pożyczyć! — błysnęło mu w pierwszej chwili, ale nie zgodził się na tę myśl.

— Niepodobna! A jeśli nie oddam na czas? Jeśli sprawy moje źle pójdą — nie będę mógł oddać, wówczas zaskarżą mnie, a nazwisko Oblomowów, dotychczas czyste, nietknięte... Boże broń! Wówczas pożegnać się trzeba ze spokojem, z dumą... nie, nie! Są tacy, którzy pożyczają, a potem rzucają się, jak szaleńcy, pracują, nie śpią, jakby szatana wpuścili do swej duszy. Tak, dług — to szatan, to bies, którego niczem wypędzić nie można, tylko pieniędzmi.

Nie brak takich frantów, którzy całe życie żyją na cudzy rachunek, nabiorą, nachwytyają na prawo,

na lewo i w wąs sobie żaden nie dmuchnie! Jak oni mogą sypiać spokojnie, spokojnie zjeść obiad — nie rozumiem. Dług — a następstwa jego — albo praca bez przerwy, jak skazańca na ciężkie roboty, albo niesława.

Zaciągnąć dług hipoteczny? To przecież także dług, równie nieubłagany, równie konieczny. Płać co roku, a może i na przeżycie nic nie pozostanie.

— Odsunęło się szczęście moje jeszcze o rok jeden! — zaczął Obłomow, jak w chorobie, i zwałił się na kanapę, ale opamiętał się i powstał. — A co mówiła Olga? Jak się odzywała do mnie — jak do mężczyzny, ufała mojej sile i słowom. Ona czeka, aż pójde naprzód i dojdę do tej wysokości, gdzie będzie mogła wyciągnąć do mnie rękę i poprowadzić za sobą, pokazać swoją drogę. Tak, tak, ale od czego zacząć?

Obłomow począł myśleć. Nagle dłonią uderzył się w czoło i wszedł do pokoju gospodyni.

— Czy brat pani w domu? — zapytał.

— W domu, ale położył się.

— Więc jutro proszę prosić go do mnie. Chciałbym się z nim widzieć.

IX.

Braciszek tak samo, jak przedtem, wszedł do pokoju, ostrożnie usiadł na krześle, ręce złączył ze sobą i czekał, co powie Ilja Iljicz.

— Otrzymałem bardzo nieprzyjemny list ze wsi w odpowiedzi na wysłane pełnomocnictwo — pan pamięta? — spytał Oblomow. — Niech pan będzie łaskaw przeczytać.

Iwan Matwieicz wziął list i wzrokiem człowieka, przyzwyczajonego do czytania, biegle wodził po linjach liter, a list lekko drżał w jego palcach. Przeczytawszy, list położył na stole, i ręce wtył założył.

— Jakże pan myśli, co teraz trzeba robić? — spytał Oblomow.

— Radzę panu jechać tam — rzekł Iwan Matwieicz. — Cóż? Tysiąc dwieście wiorst, nic wielkiego. Za tydzień droga się ustali — może pan już jechać.

— Odzwyczailem się zupełnie od podróży, a teraz w zimie, przyznam się, trudnoby mi było, nie chciałbym... W dodatku, na wsi samemu przykro.

— A iluż pan ma „obrocnych“, takich, którzy za opłatą chodzą na różne roboty? — dopytywał się Iwan Matwieicz.

— Właściwie... nie wiem, dawno nie byłem na wsi.

— Trzeba wiedzieć, bez tego, jakże? Bez tego nie można obliczyć dochodu.

— Tak, trzebaby — powtórzył Obłomow — i sąsiad to samo pisze, ale cała sprawa zaciągnęła się do zimy.

— A ileż z opłat może być? Jak pan myśli?

— Z opłat? Zdaje się... Miałem gdzieś zanotowane... Kiedyś Sztolc zrobił, ale trudno odszukać. Pewnie gdzieś Zachar wetknął. Potem panu pokazę... Zdaje się trzydzieści rubli rocznie z pełnego gospodarstwa.

— A chłopci u pana jacy? Jak mieszkają? — dopytywał się Iwan Matwieicz. — Bogaci, czy zrujnowani, biedni może? Jaka pańszczyzna?

— Słuchaj pan — rzekł Obłomow, zbliżywszy się do niego i wzięwszy go z zaufaniem za obie klapy surduta.

Iwan powstał prędko, ale Obłomow posadził go znowu.

— Słuchaj pan — rozpoczął Ilja Iljicz i mówił powoli, szeptem prawie — ja nie wiem, co to jest pańszczyzna, co to praca chłopska, co to znaczy biedny chłop, a co bogaty, nie wiem, co to jest korzec żyta lub owsa, ile ono kosztuje, w jakim miesiącu i co sieją, kiedy żną, co i kiedy sprzedają, nie wiem, czy ja jestem człowiekiem zamożnym lub biednym, czy za rok będę miał co do zjedzenia, czy będę nędzarzem — ja nic nie wiem! — Zakończył ponuro, wypuścił obie klapy munduru i odstąpił od Iwana Matwieicza — niech pan przeto mówi i radzi, jak dziecku...

— Jakże, trzeba wiedzieć, bez tego nie niepodobna zmiarkować — z uśmiechem, pełnym pokory zauważył Iwan Matwieicz, powstawszy trochę

i założywszy jedną rękę za plecy, a drugą pod mundur na piersi. — Właściciel powinien znać swój majątek i wiedzieć jak go używać... — mówił tonem profesora.

— A ja nie znam. Niech mnie pan nauczy, jeśli może.

— Ja temi sprawami nie zajmowałem się, trzeba poradzić się ludzi znających się na rzeczy. Ale oto — w liście piszą do pana — mówił Iwan Matwieicz, wskazując paznogciem wielkiego palca miejsce — ażeby pan przyjął obowiązek obywatelski, z wyboru — to byłoby bardzo dobrze! Mieszkałby pan, urzędował w sądzie powiatowym, i przez ten czas poznałby pan własny majątek.

— Ja nie wiem, co to sąd powiatowy, co w nim robią, jak urzędować! — stanowczo półgłosem mówił Obłomow, zbliżywszy się prawie do nosa Iwana Matwieicza.

— Przyzwyczajai się pan. Przecie urzędował już pan w departamencie. Wszędzie rzecz jednakowa, w formie tylko niewielka różnica. Wszędzie — polecenia, zwracania się, protokoły... Byleby tylko sekretarz znał się na rzeczy, a panu — jakie kłopoty! Podpisywać tylko... Jeśli pan wie, jak się sprawę prowadzi w departamencie...

— Nie wiem, jak się w departamencie prowadzi — obojętnie rzekł Obłomow.

Iwan Matwieicz rzucił na niego swoje podwójne spojrzenie i zamilkł.

— Pewnie książki pan tylko czytał? — zauważył z pokornym uśmiechem.

— Książki! — z goryczą zaczął Obłomow i zatrzymał się.

Zabrakło mu odwagi i nie było potrzeby obnażać się do dna duszy przed czynownikiem.

— Ja i książek nie czytam! — przemknęło mu w umyśle, ale nie wyrwało się nazewnątrz — rozplynęło się westchnieniem.

— Czemś jednak raczył się pan zajmować — pokornie dodał Iwan Matwieicz, jakby wyczytał w umyśle Oblomowa odpowiedź o książkach — nie można przecie...

— Można, Iwanie Matwieiczu. Żywym wodem jestem — ja! Kimże jestem ja? Proszę zapytać Zachara, on powie panu — „barin“. Tak, ja barin jestem i nic robić nie umiem! Niech pan robi, jeśli wie, co, i proszę mi dopomóc, jeśli można, a za trud każe pan sobie zapłacić. Na to nauka!

Ilja Iljicz począł przechadzać się po pokoju, a Iwan Matwieicz stał na swoim miejscu, wodząc za nim wzrokiem. Milczeli obydwa.

— Gdzie się pan uczył? — spytał Oblomow, stanąwszy przed nim.

— Zacząłem od gimnazjum, ale z szóstej klasy odebrał mnie ojciec i oddał na służbę rządową. Co nasza nauka! Czytać, pisać, trochę gramatyki, arytmetyki — i dalej nie poszedłem! Jako tako poznałem się na rzeczy z doświadczenia i tak pomału posuwam się. Pan inaczej — pan się uczył wszystkiego...

— Tak, westchnąwszy przerwał mu Oblomow. Prawda, uczyłem się i wyższej algebry i ekonomji politycznej i prawa, ale do niczego nie przysposobiłem się. Otóż, widzi pan, pomimo wyższej algebry, nie umiem obliczyć mego dochodu. Przyjechałem na wieś, posłuchałem, popatrzyłem, jak robią w domu, w majątku, dokoła nas — zupełnie inne prawa!

Przyjechałem tutaj, myślałem, że ekonomja polityczna zrobi ze mnie człowieka... Powiadano mi, że nauka przyda mi się zczasem — chyba na starość — ale najprzód trzeba zdobywać „czyny“, a do tego prowadzi tylko jedna nauka — pisania „dokładów“, znajomość techniki urzędowej. Otóż ja nie przysposobiłem się do niczego i jestem tylko „barin“, a pan przysposobiłeś się. Proszę teraz radzić, jak się wykreścić.

— Można, można — odezwał się wkońcu Iwan Matwieicz.

Oblomow stanął przed nim i czekał, co powie.

— Można tę sprawę oddać w ręce człowieka znającego się na rzeczy i przelać na jego imię pełnomocnictwa — dodał Iwan Matwieicz.

— A skąd wziąć takiego człowieka? — pytał Oblomow.

— Ja mam kolegę służbowego, Isaj Fomicz Zatiortyj. Zacina się trochę w mowie, ale człowiek czynny i znający się na rzeczy. Przez trzy lata zarządzał wielkim majątkiem, ale właściciel pozbył się go właśnie z tego powodu, że się zacina. Otóż on wszedł na służbę do nas.

— Ale czy można na nim polegać?

— Gruntownie uczciwa dusza! O niego może pan być spokojnym. Swoje straci, ale swemu panu dogodzi. Dwunasty rok u nas pracuje.

— Jakże on pójdzie, gdy jest na służbie?

— Nic nie znaczy. Weźmie urlop na cztery miesiące. Jak się pan zdecyduje, przyprowadzę go tutaj. Przecież nie pojedzie daremnie...

— Naturalnie, że nie.

— Pan jeszcze zapłaci przejazd, da na przeżycie dziennie, ile będzie uważał, a potem wynagrodzenie,

według umowy, po ukończeniu sprawy. Pojedzie...

— Bardzo panu dziękuję. Z wielkiego kłopotu pan mnie wybawił — rzekł Obłomow, podając mu rękę. — Jak on się nazywa?

— Isaj Fomicz Zatiortyj — powtórzył Iwan Matwieicz, ocierając prędko rękę rękawem. Ujął na chwilę rękę Obłomowa, potem wypuścił, a swoją w tył założył. — Jutro pomówię z nim i przyprowadzę.

— Dobrze. Proszę przyjść na obiad i pogadamy. Bardzo, bardzo wdzięczny jestem — mówił Obłomow, odprowadzając Iwana Matwieicza do drzwi.

X.

Wieczorem tegoż samego dnia w dwupiętrowym domu, zwróconym jedną stroną na ulicę, gdzie było mieszkanie Oblomowa, a drugą na wybrzeże, w pokoju na piętrze siedzieli Iwan Matwieicz i Tarantjew.

Było to tak zwane „zawiednienie“, rodzaj drugorzędnej restauracji. Piętro było przeznaczone dla „panów“, parter dla — „ludzi“. Przed restauracją stało kilka doróżek. Dorożkarze, opuściwszy siedzenie na koźle, pili przy stole herbatę ze spodków, trzymając je w powietrzu, oparte na palcach.

Przed Iwanem Matwieiczem i Tarantjewem stał czajnik z herbatą i butelka rumu.

— Najprawdziwszy jamajski — rzekł Iwan Matwieicz, nalewając sobie do szklanki z herbatą drżącą ręką. Nie pogardzaj kumie moim traktamentem.

— Przyznaj się, jest za co potraktować — odezwał się Tarantjew. — Dom zawaliłby się ze starości, a nie doczekałby się takiego lokatora.

— Prawda, prawda — potwierdzał Iwan Matwieicz. A jeżeli nam się uda i Zatiortyj pojedzie na wieś, będzie „mohorycz“.

— Ale ty skąpy jesteś, kumie, trzeba się z tobą targować. Pięćdziesiąt rubli za takiego lokatora.

— Lękam się. Grozi, że się wyprowadzi — zauważył Iwan Matwieicz.

— Ach, ty! Na ludziach się znasz! Gdzie on się przeprowadzi? Jego teraz nie wypędzisz nawet!

— A wesele? Mówią, że się żeni.

Tarantjew zaśmiał się na cały głos.

— On żeni się! Chcesz, załóżmy się, że się nie ożeni. Jemu Zachar i spać nawet pomaga, a kum powiada — żeni się! Dotychczas ja byłem jego dobrodziejem, mój bracie, beze mnie onby z głodu zdechł, albo do więzieniaby trafił. Rewirowy albo gospodarz spytają o co — ani w ząb, nic nie rozumie. Wszystko ja robię. Nic nie rozumie!

— Rzeczywiście prawda: w sądzie powiatowym nie wie, co się robi, w departamencie także, jakich ma chłopów — nie wie. Pusta głowa. Śmiać mi się chciało.

— A kontrakt, kontrakt, ha! jaki z nim zawarliśmy — co? — chwalił się Tarantjew. — Majster z ciebie Iwan Matwieicz do takich rzeczy, jak Bóg miły, majster! Nieraz wspominam ojca! I ja byłem nie byle jaki, ale odzwyczailem się, Bóg widzi, odzwyczailem się. Jak tylko zaczął pisać — wnet mi lzy płyną... A ten — nie czytając, machnął tylko piórem — i podpisał. A tam wszystko — ogrody, stajnie — wozownie.

— Tak, tak, kumie, póki nie wyginęły bałwany na Rusi, które podpisują wszystko, nie czytając, można jeszcze żyć. Inaczej — trzebaby zginać. Złe się dzieje! Dawniej, jak starzy opowiadają, bywało inaczej. Za dwadzieścia pięć lat służby czego się dosłużyłem? Można tylko na Wyborgskiej stronie przeżyć jako tako, nie wytykając nosa na świat boży. Mam kawałek chleba niezły, nie skarzę

się — wszystkiego zjeść nie można. Ale żeby mieszkanie mieć na Litiejnej, dywany, ożenić się po-sażnie i bogato, dzieci wysoko wyprowadzić, przeszły już te czasy. I gęba już nie taka i palce czerwone... tak, poco wódkę pijesz... A jakże nie pić? Spróbuj! Gorzej, niż lokaj — mówię! Teraz i lokaj takich butów jak ja nie nosi, koszulę codziennie zmienia... Wychowanie nie takie już — teraz góre wzięli smarkacze, kręcą się, czytają, gadają po francusku...

— A na niczem się nie znają! — dodał Tarantjew.

— Nie, bracie, znają się. Teraz sprawy nie tak idą, prościej... wszędzie nam szkodzą. — Tak nie trzeba pisać — powiadają — to zbyt uczona pisanina, tylko czas się traci, można prędzej... Przeszkadzają, psują.

— A kontrakt podpisany! Nie zepsuli nic! — wtrącił Tarantjew.

— To już święta rzecz. Wypijmy kumie! Jak wyślę Zatiortego, ten go wyssie trochę, a reszta dostanie się sukcesorom...

— Ale i spadkobiercy — trzecia linja. Dziesiąta woda na kisielu.

— Boję się tylko, aby się nie ożenił — dodał Iwan Matwieicz.

— Nie bój się, mówię ci. Wspomnisz moje słowo.

— Czyż tak? — wesoło spytał Iwan Matwieicz. — Widzę ja, jak wytrzeszcza oczy na moją siostrę — dodał szeptem.

— Co ci Bóg dał? — spytał Tarantjew zdziwiony.

— Milcz tylko! Jak mi Bóg miły — tak.

. — No, bracie, — dziwił się Tarantjew, powoli przytomniejąc ze zdziwienia. — Mnieby się to i we śnie nie przyśniło. A ona co?

— Co ona? Ty ją znasz — ot co!

Iwan Matwieicz pięścią o stół uderzył.

— Czy ona rozumie swój pożytek? Krowa, prawdziwa krowa! Czy ją uderzysz, czy obejmiesz — zawsze się uśmiecha, jak koń do owsa. Inna na jej miejscu — oj, oj! Ale ja będę czuwać! Rozumiesz, czem to pachnie!

XI.

Cztery miesiące! Jeszcze cztery miesiące przymusu, potajemnego widywania się, podejrzanym spojrzeń i uśmiechów! — myślał Oblomow, idąc po wschodach do Iljinskiich. — Mój Boże! Kiedy to się skończy? A Olga będzie nalegać — dziś, jutro. Ona tak naciska zawsze, taka nieustępliwa! Trudno ją przekonać...

Oblomow doszedł prawie do pokoju Olgi, nie spotkawszy nikogo. Olga siedziała w swoim małym bawialnym pokoju i zagłębiona była w czytanie jakiejś książki.

Stał nagle przed nią, tak, że drgnęła. Potem z łagodnym uśmiechem na twarzy wyciągnęła ku niemu rękę. Oczy błędziły, jak gdyby jeszcze były zajęte czytaniem.

— Sama jesteś?

— Tak. Ciotka wyjechała do Carskiego Siola. Chciała mnie wziąć ze sobą. Będziemy na obiedzie prawie sami. Przyjdzie tylko Marja Siemionówna. Inaczej nie mogłabym cię przyjąć. Dzisiaj nie można jej powiedzieć. Jak to przykro. Ale jutro — dodała, uśmiechając się. A cóż, gdybym ja dzisiaj wyjechała do Carskiego Siola? — spytała żartobliwie.

Oblomow milczał.

— Jesteś zmartwiony? — spytała,

— Otrzymałem list ze wsi — odpowiedział bezdźwięcznym głosem.

— Gdzie list? Masz go przy sobie?

Dał jej list.

— Nic nie mogę wyczytać — zauważyła, spojrzawszy na pismo.

Ilja Iljicz wziął list z jej rąk i przeczytał głośno. zamysliła się.

— Cóż teraz? — spytała, pomilczawszy chwilę.

— Dzisiaj radziłem się z bratem gospodyni — odpowiedział. — Poleca mi pełnomocnika, Isaję Tomicza Zatiortyja. Polecę mu wszystko uregulować.

— Obcemu, nieznanomemu człowiekowi! — ze zdziwieniem powiedziała Olga. — Odbierać „obroki“, regulować sprawy włościańskie, sprzedawać zboże...

— Powiada, że to jest najuczciwszy człowiek, od dwunastu lat z nim razem w urzędzie służy... Tylko zaczyna się trochę w mowie...

— A cóż to za człowiek, brat twojej gospodyni? Czy go znasz?

— Nie. Zdaje się jednak, że to pewny, poważny człowiek czynu. Mieszkam w jego domu. Wstydziliby się oszukiwać mnie!

Olga milczała i siedziała, spuściwszy oczy.

— Inaczej musiałbym jechać sam — zaczął Oblomow. Przyznam się, nie życzylibym sobie tego. Odzwyczaiłem się podróżować naszymi drogami; szczególnie w zimie nigdy nawet nie jeździłem.

Olga wciąż siedziała milcząco ze wzrokiem spuszczoneym, poruszając lekko końcem swego bucika.

— Gdybym nawet pojechał — ciągnął dalej Oblomow — to z tego stanowczo nie byłoby pożytku i nic zrobić nie zdołam: chłopci mnie oszukają, starosta powie, co zechce, a ja będę musiał

mu wierzyć; pieniędzy da tyle, ile zechce. Ach, Andrzeja brak — on wszystkoby potrafił! — dodał ze smutkiem.

Olga uśmiechnęła się. Zaśmiały się tylko usta, bo serce przepelnione było goryczą. Poczęła patrzeć przez okno i przymrużywszy jedno oko śledziła przejeżdżające powozy.

Obłomow mówił dalej.

— Pełnomocnik ten zarządzał już wielkim majątkiem, ale stracił miejsce dlatego właśnie, że zacinał się trochę. Ja wręczę mu pełnomocnictwo, oddam plany, on zarządzi kupno materiałów potrzebnych do budowy, odbierze „obroki“, sprzeda ziarno, przywiezie pieniądze, a wtedy... Jak ja rad jestem, moja miła Olgo — mówił, całując jej rękę — że nie potrzebuję opuszczać ciebie. Jaby nie przeżył rozłąki — sam jeden na wsi, bez ciebie... to okropne! Ale teraz musimy być bardzo ostrożni!

Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczyma i milczała.

— Tak — począł znowu mówić powoli, zacinając się prawie — widywać się rzadko. Wczoraj znowu u nas zaczęło się gadanie, nawet już po stronie gospodyni... a ja nie życzę sobie tego... Jak się tylko moje sprawy uregulują, pełnomocnik zarządzi budowę domu, przywiezie pieniądze... wszystko to się skończy do roku... wtenczas już nie będziemy się rozłączać, powiemy ciotce i... i...

Spojrzał na Olę — ona wpadła w omdlenie. Głowę miała schyloną na stronę, usta zsiniałe. Obłomow nie zauważył, będąc u szczytu swoich marzeń, że przy słowach: „jak się tylko moje sprawy uregulują, pełnomocnik zarządzi budowę domu...“, Olga pobladła i nie słyszała już dokończenia,

— Olga! Mój Boże! Ona zemdlą! — krzyknął i zadzwonił.

— Paniencie źle się zrobiło! — rzekł do wcho-
dzącej Kati. Wody! Spirytusu! Prędzej!...

— Mój Boże! Cały ranek taka była wesoła! —
szeptala Katia. — Co to się stało?

Przyniosła od ciotki spirytus i ze szklanką wody
kręciła się przy niej.

Olga wróciła do przytomności, wstała przy po-
mocy Kati i Oblomowa z fotelu i chwiejąc się
odeszła do swego sypialnego pokoju.

— To minie... — powiedziała ledwie dosłyszal-
nym głosem. Nerwy... Źle spałam tej nocy. Katia,
zamknij drzwi.

Zwróciła się do Oblomowa.

— Proszę trochę poczekać... wzmocnię się i wrócę.

Oblomow pozostał sam. Przykładał do drzwi
ucho, zaglądał przez dziurkę od klucza — lecz nie
słyszał i nie widział.

Po półgodzinnem czekaniu, poszedł korytarzem
do garderoby i spytał Kati:

— Jak się ma panienska?

— Nieźle. Położyła się, a mnie kazała wyjść.
Gdy weszłam, panienska siedziała w fotelu.

Oblomow znowu wszedł do bawialnego pokoju,
znowu zaglądał — nic, cisza.

Zastukał we drzwi leciuchno — nie było odpo-
wiedzi.

Siadł i zamyślił się. Wiele przemyślał przez te
półtorej godziny, wiele zmian nastąpiło w jego po-
glądach, wiele powstało nowych postanowień. Zde-
cydował się nareszcie sam pojechać na wieś razem
z pełnomocnikiem, ale wpierw otrzyma zezwolenie
ciotki na pobranie się z Olgą, zareczy się, poprosi

Iwana Gerasimowicza, żeby wyszukał mieszkanie, a nawet pożyczy pieniędzy — niewiele, tyle tylko, aby wystarczyło na sprawienie wesela.

Dług można będzie spłacić po sprzedaży zboża. Ale sam Oblomow mocno posmutniał. Ach, Boże mój! Jak wiele zmienić się może w ciągu jednej minuty! Na wsi poradzę się z pełnomocnikiem, jak ściągnąć „obroki“. Wkońcu Sztolc się odezwie. On może dać pieniądze, potem przyjedzie i urządzi Oblomówkę wzorowo, przeprowadzi wszędzie drogi, zbuduje mosty, wystawi szkołę... A potem on z Olgą... Boże mój! To przecież szczęście! Dlaczego mu dotychczas to wszystko nie przyszło do głowy!

Nagle uczuł, że mu jest lekko i wesoło. Począł przechadzać się z kąta w kąt, nawet zlekka trząsał w palce i ledwie nie krzyknął z radości. Zbliżył się do drzwi Olgi i półgłosem odezwał się:

— Olga! Olga! Coś pani powiem — szeptał przyłożywszy usta do drzwi. Coś nieoczekiwanego...

Zdecydował się nawet nie odjeżdżać dziś, doczekać się powrotu ciotki.

— Dziś jeszcze oświadczę się i odjadę jako narzeczony.

Drzwi cicho się otworzyły i stanęła Olga. Oblomow spojrzał na nią i nagle upadł na duchu. Radość jego jak w wodę wpadła. Zdawało się, że Olga postarzała się nagle. Była bladą, ale oczy błyszczały. W zacisniętych ustach, w każdym rysie twarzy widać było wewnętrzne natężenie myśli, okutej jak lodem zewnętrznym spokojem i nieruchomością.

W jej spojrzeniu wyczytał decyzję — jaką? Jeszcze nie wiedział, tylko serce jego biło mocno, jak nigdy. Takich chwil nie przeżywał jeszcze w życiu swoim.

— Słuchaj Olgo, nie patrz na mnie tak — ja się boję — rzekł. Obmyśliłem wszystko inaczej urządzić... — mówił powoli, zniżając głos i zatrzymując się, usiłując też odgadnąć nowy dla niego wyraz jej oczu i wymowę brwi. — Zdecydowałem się sam wyjechać na wieś razem z pełnomocnikiem, ażeby tam... — kończył ledwie dosłyszalnym głosem.

Olga milczała, wpatrując się w niego pilnie, niby w widziadło.

Obłomow domyślał się, jaki wyrok go czeka. Ujął kapelusz i przewlekał zapytanie, lękając się, usłyszeć fatalnego wyroku, może nawet bez apelacji. Nareszcie zapanował nad sobą.

— Czy dobrze zrozumiałem? — spytał zmienionym głosem.

Olga powoli z uczuciem dobroci, na znak zgody, głową skinęła. Obłomow, chociaż już przedtem zamiar jej odgadł, stał przed nią nieruchomy.

Wydawała się nieco wzruszoną, ale była spokojną i nieruchomą, jak posąg z kamienia. Był to ten niezwykły spokój, kiedy w skupieniu powzięty zamiar lub głęboko poruszone uczucie dają człowiekowi tyle siły, że może na krótką chwilę zapanować nad sobą. Podobną była do ranionego, który zacisnął ranę, ażeby wypowiedzieć ostatnie słowa — i umrzeć.

— Czy ty nie znienawidzisz mnie? — zapytał.

— Za co? — odezwała się słabym głosem.

— Za wszystko, co zrobiłem z tobą...

— Cóż ty zrobiłeś?

— Kochałem ciebie i miłością moją obraziłem cię.

Olga uśmiechnęła się boleśnie.

— Za to — mówił Obłomow z pochyloną głową —

żeś pomyliła się... Może mi przebaczysz, gdy przypomnisz sobie, jak uprzedzałem cię, że wstyd ci będzie, gdy potrzeba będzie przyznać się do omyłki...

— Ja nie przyznaję się... tylko serce mnie tak boli, tak boli... — powiedziała i zatrzymała się, ażeby zaczerpnąć oddechu.

— Ze mną gorzej, ja godzien tego — odpowiedział Oblomow — ale dlaczego ty się męczysz?

— Jest to kara za moją pychę. Ukaraną zostałam. Ufałam zbyt w siły własne. W tem była moja omyłka, ale nie w tem, czego ty się lękałeś. Marzyłam ja nie o pięknej twarzy i pierwszej młodości, marzyłam, że ożywie ciebie, że będziesz mógł żyć jeszcze dla mnie, a ty już dawno — umarłeś. Nie przewidziałam tej omyłki, tylko ciągle czekała, byłam pełną nadziei i... doczekałam się — dopowiedziała westchnawszy mocno.

Olga zamilkła i usiadła.

— Nie mogę stać — nogi drżą pode mną. Kamień ożywiłby się od tego, com ja robiła — mówiła dalej omdlałym głosem. — Teraz nie zrobię nic, ani kroku nie postąpię, nie pójdę do Letniego Ogrodu, wszystko niepotrzebne — ty już umarłeś! Czy słusznie mówię? — dodała, pomilczawszy. Nie będziesz mógł obwinić mnie o to, że ja z powodu pychy lub kaprysu rozstałam się z tobą.

Oblomow przecząco głową skinął.

— Czy przekonałeś się, że nic nam nie zostało, żadnej nadziei?

— Tak — odpowiedział. — Prawda. Lecz może — dodał niepewnym głosem — za rok...

Nie miał odwagi zadać ostatniego ciosu własnemu szczęściu.

— Czyż myślisz w samej rzeczy, że za rok mo-

żesz uporządkować swoje sprawy majątkowe i życie?
— pytała. — Pomyśl!

Oblomow westchnął i zamyślił się. Walczył z sobą. Olga odgadła tę walkę z jego twarzy.

— Słuchaj! — poczęła mówić — ja teraz długo wpatrywałam się w portret mojej matki i z jej oczu zaczerpnęłam rady i siły. Jeśli ty teraz jak człowiek uczciwy... Pamiętaj Ilja, my nie dzieci i nie bawimy się — rzecz dotyczy całego życia! Zapytaj własnego surhienia i powiedz, ja ci uwierzę, ja znam ciebie: czy ci wystarczy siły na całe życie? Czy będziesz dla mnie tem, czego mi potrzeba? Znasz mnie, rozumiesz przeto, co chcę powiedzieć. Jeśli ty po namyśle i śmiało powiesz tak: ja cofam moje postanowienie. Oto moja ręka, pójdziemy razem, gdzie chcesz, za granicę, na wieś, nawet na Wyborgską stronę!

Oblomow milczał.

— Gdybyś wiedziała, jak ja kocham ciebie...

— Ja czekam nie zapewnień miłości, lecz krótkiej odpowiedzi — przerwała prawie sucho.

— Nie męcz mnie, Olga! — rzekł prawie w rozpacz.

— Cóż, Ilja, mam słuszność, czy nie?

— Tak, — jasno i stanowczo odpowiedział Oblomow. — Masz słuszność!

— Zatem, musimy się rozstać — rzekła stanowczo — zanim wróci ciotka i zobaczy, jak jestem znerwowana.

Oblomow nie odchodził.

— Gdybyś się nawet ożenił — cóż potem?

Milczał.

— Zasypiałbyś coraz głębiej, zapadał coraz niżej. Czy nie tak? A ja? Widzisz, jaką jestem.

Ja nie zestarzeję się, nie zmęcze się życiem nigdy. Z tobą musielibyśmy żyć z dnia na dzień — czekać Bożego Narodzenia, potem zapust, jeździć z wizytami, tańczyć i nie myśleć o niczem. Kładąc się spać, dziękowalibyśmy Bogu, że dzień minął, a rano budziłibyśmy się z pragnieniem, aby dzień dzisiejszy był podobny do wczorajszego... oto nasza przyszłość — czy tak? Czy to życie? Ja zwiednę, umrę... zaco, Ilja? Czy będziesz szczęśliwy?...

Oblomow zmęczonem spojrzeniem powiódł po suficie, chciał się ruszyć, uciekać — nogi go nie słuchały. Chciał coś powiedzieć — ślina zasychała mu w ustach, język nie poruszał się, głos nie wydobywał się z piersi. Wyciągnął do niej rękę.

— A zatem... — rozpoczął zdławionym głosem, ale nie dokończył. Wzrokiem tylko dopowiedział: przebacz!

I Olga chciała coś powiedzieć, ale nie mogła. Wyciągnęła tylko rękę, ale ręka nie dotknąwszy się jego ręki, opadła. Chciała wymówić: bądź zdrow! — ale głos urwał się i zadźwięczał fałszywą nutą. Twarz wykrzywiła się drganiem, położyła rękę na jego głowie i ramieniu i wybuchnęła spazmatycznym płaczem. Zdało się jej, że wszelką broń z rąk jej wyrwano. Opuścił ją rozum. Pozostała tylko dusza kobieca, bezbronna wobec bezbrzeżnego smutku.

— Bądź zdrow! Bądź zdrow! — zdołała tylko wymówić wśród łkania.

Oblomow milczał i z przerażeniem patrzył na łzy, nie mając odwagi ich powstrzymywać. Nie odczuwał żalu ani do niej ani do siebie. Sam był tylko godzien litości. Olga osunęła się na fotel i, przytuliwszy chustkę do oczu, oparła się o stół i płakała gorzko. Łzy płynęły, nie jak niegdyś w parku, nagle, gorą-

cym strumieniem, skutkiem nagłego, nieoczekiwanego bólu, lecz płynęły beznadziejnie, jak zimny potok, jak deszcz jesienny, bezlitośnie spadający na pola.

— Olgo! — odezwał się Obłomow — dlaczego szarpiesz własną duszę? Ty kochasz mnie, ty nie przeżyjesz rozłąki. Weź mnie, jakim jestem, kochaj to, co znajdziesz we mnie dobrego...

Olga przecząco kiwała głową, nie podnosząc jej.

— Nie, nie!... — wymówiła z wysiłkiem. O mnie i o mój smutek nie lękaj się. Ja go wypłaczę, a potem płakać przestanę. Teraz nie przeszkadzaj płakać... odejdz... Ach, nie! Nie odchodź! Pan Bóg karze mnie! Czuję taki ból, taki ból... tu... koło serca...

Rozpoczęło się znowu szlochanie.

— A jeśli ból nie minie, gdy zdrowie twoje zachwieje się... — mówił. — Takie łyzy — to trucizna. Olgo! Aniele mój! Nie płacz, zapomnij wszystko...

— Nie, pozwól mi wypłakać się. Ja płacę nie o przyszłość, ale przeszłości nieraz szkoda — wymówiła z trudem. Przeszłość zbladła, minęła. Nie ja płacę, wspomnienia moje łkają! Lato... park... pamiętasz? Mnie żal naszej alei, żal bżów... Wszystko to przyrosło do serca, boli, gdy się odrywa...

Olga w rozpaczki kiwała głową i łkała, powtarzając:

— O, jak boli, boli...

— Jeśli umrzesz... — z przerażeniem krzyknął Obłomow. — Pomyśl Olgo...

— Nie — przerwała mu, podniósłszy głowę i mówiąc przez łyzy. — Teraz dopiero dowiedziałam się, że kochałam w tobie to co chciałam, aby w tobie było, co wskazywał Sztolc, cośmy wymarzyli z nim razem. Ja kochałam przyszłego Obłomowa! Ty.

jesteś łagodnym, uczciwym człowiekiem, Ilja, pełen czułości, jak gołąb. Chowasz głowę pod skrzydło i nic nie chcesz widzieć więcej; gotów jesteś całe życie gruchać jak gołąb pod strzechą...ja inną jestem: tego dla mnie za mało. Jeszcze mi czegoś trzeba, czego? Nie wiem! Czy możesz powiedzieć, co to jest, czego mnie braknie, dać mi to wszystko, ażebym ja... A uczucie? Gdzie go niema...

Oblomowi zachwiały się nogi. Usiadł w fotelu i chustką otarł ręce i czoło.

Słowa były ostre. Głęboko dotknęły Oblomowa. Doznał wrażenia wewnętrznego oparzenia, gdy zewnątrz wiało na niego chłodem. W odpowiedzi uśmiechnął się boleśnie, bólem wstydu jak żebrak, któremu ktoś wymawiał jego nędzę. Siedział z tym uśmiechem bezsilności, osłabiony wzruszeniem i obrazą. Przygasły wzrok jego zdawał się jasno mówić: „tak, nędzarzem jestem, godnym litości... bijcie mnie... bijcie...”

Olga spostrzegła nagle ile trucizny było w jej słowach. Rzuciła się do niego.

— Przebac mi mój drogi — przemówiła miękko, jakby przez lzy. — Ja nie wiem co mówię... szalona jestem... Zapomnij wszystko... niech będzie tak, jak było między nami...

— Nie! — zaprzeczył Oblomow wstając i stanowczym ruchem ręki, wstrzymując jej poruszenie. — Tak nie pozostanie! Nie trwóż się tem, żeś powiedziała prawdę — zasługuję na to — dokończył gorzko.

— Ja jestem marzycielką, fantastyczką! — mówiła. — Nieszczęsny charakter. Dlaczego inne... dlaczego Soniczka tak szczęśliwa...

Plakać poczęła.

— Odejdź! — rzekła stanowczym głosem, szarpiąc chusteczkę. — Ja nie wytrzymam... przeszłość jest jeszcze dla mnie drogą.

Olga znowu zakryła twarz chustką i starała się stłumić łkanie.

— Dlaczego wszystko przepadło? — podnosząc głowę, spytała nagle. — Kto przeklął ciebie Ilja? Cożeś ty złego zrobił? Ty jesteś dobry, rozumny, czuły, szlachetny i... i... giniesz. Co ciebie gubi? Jak się to zło nazywa?

— Ma swoje imię... — rzekł cicho.

Olga pytającym spojrzeniem, pełnem łez, spojrzała na niego.

— Oblomowszczyzna! — wyszeptał.

Potem ujął jej rękę, chciał pocałować i nie mógł, tylko mocno przycisnął do ust i gorące łzy kroplami spadały jej na palce.

Nie podnosząc głowy, nie pokazując jej twarzy, Oblomow odwrócił się i wyszedł.

XII.

Bóg wie gdzie błdził, co robił cały dzień, ale do domu wrócił dopiero późną nocą. Gospodyni pierwsza usłyszała stukanie w bramę i szczekanie psa, obudziła śpiącą Anisję i Zachara i powiedziała, że barin wrócił..

Ilja Iljicz prawie nie dostrzegł, kiedy go Zachar rozebrał, zdjął buty i narzucił na niego szlafrok.

— Co to? — zapytał, spojrzawszy na szlafrok.

— Gospodyni dziś przyniosła, wyprała i naprawiła.

Oblomow usiadł i nie ruszył się z fotelu.

Dokoła niego był senny spokój i ciemność. Siedział, oparty o rękę i nie spostrzegł, jak się ściemniło; nie słyszał jak zegar wybijał godziny. Umysł jego utonął w chaosie splątanych, niejasnych myśli, które unosiły się jak obłoki na niebie, bez echa i bez związku ze sobą — nie mógł on żadnej zatrzymać.

Serce mu zamarło, życie w nim zgasło. Powrót do życia, do jego ruchu prawidłowego drogą naturalnego naporu sił, odbywał się powoli.

Dopływ sił był bardzo ciężki. Oblomow zatracił zupełnie świadomość życia i nie odczuwał ani zmęczenia, ani żadnych potrzeb. Mógł leżeć jak kamień całymi dniami, albo cały dzień chodzić, jechać, ruszać się jak maszyna.

┌ Pomalu, z wielkim wysiłkiem ducha, albo wyrabia się w człowieku poddanie się losowi — i wtedy organizm powoli odzyskuje wszystkie funkcje życia; albo rozpacz złamie człowieka, a wtenczas już nie dźwignie się on z upadku; zależne to oczywiście od charakteru człowieka i smutku, który go przygniótł.

Oblomow nie wiedział czy siedzi, siedział nawet machinalnie, nie spostrzegłszy kiedy zawitał ranek; słuchał, ale nie słyszał, suchego kaszlu staruszki, jak stróż począł rąbać drzewo, jak w domu rozlegało się stukanie i chodzenie; patrzył i nie widział, jak gospodyni z Akuliną poszły na targ, przesuwając się pod jego oknami.

Ani pianie kogutów, ani szczekanie psa, ani skrzypienie bramy nie mogły go wyprowadzić z tego osłupienia, w jakie zapadł. Nie słyszał brzęku filiżanek, ani syczenia samowaru.

Okolo dziewiątej Zachar taczę otworzył drzwi do gabinetu Oblomowa, zgiął nogę, jak zwykle, ażeby nią drzwi za sobą przymknąć i, jak zwykle nie trafił, ale taczę utrzymał. Nawymyślał, swoim zwyczajem, tacy i filizankom, wiedząc o tem, że ztyłu czuwa Anisja i gdy tylko cokolwiek spadnie z tacy, ona w lot to podchwyci i zawstydzi go.

Trzymając mocno taczę i przytrzymując ją brodą, doszedł szczęśliwie do łóżka Oblomowa i miał już zamiar postawić ją na stole przy łóżku i rozbudzić go, gdy spostrzegł ze zdziwieniem, że pościel nie-
tknięta, a barina niema!

Poruszył się nagle zdziwiony i filizanki spadać poczęły na podłogę. Zachar począł je chwytać w powietrzu, chwiał taczę — i wszystko spadało. Na tacy pozostała tylko jedna łyżeczka.

— Co to za napaść! — mówił, patrząc jak Anisja

zbierała kawałki cukru, chleb i potłuczone filiżanki. A gdzież barin?

Oblomow siedział w fotelu z twarzą zmienioną do niepoznania. Zachar spojrzał na niego i otworzył usta.

— Dlaczego to, Ilja Iljicz, przesiedzieliście całą noc w ubraniu, nie kładąc się do łóżka? — spytał.

Oblomow powoli odwrócił głowę, mętnym wzrokiem spojrzał na Zachara, na rozlaną kawę, na rozrzucony po podłodze cukier.

— A ty dlaczego stłukłeś filiżankę? — zapytał i zbliżył się do okna.

Śnieg padał obficie i płatkami pokrył ziemię.

— Śnieg, śnieg, śnieg! — powtarzał bezmyślnie, patrząc na śnieg, gęstą warstwą pokrywający parkan, płoty i grzędy w ogrodzie. — Wszystko zasypał! — szeptał z rozpaczą. Położył się do łóżka i zasnął snem kamiennym.

Minęło już południe, gdy skrzyp drzwi go obudził. Przez drzwi przesunęła się obnażona ręka gospodyni z talerzem, na którym dymił się „pirog“.

— Dziś niedziela — odezwał się łagodny głos — „pirog“ piekliśmy. Może pan zechce zakąsić.

Oblomow nie odpowiadał. Leżał w gorączce.

CZĘŚĆ CZWARTA

I.

Rok minął od czasu choroby Ilji Iljicza. Wiele zmian w różnych stronach świata przyniósł ten rok: tu wzburzył kraj, ówdzie uspokoił; tam zgasło jakieś światło świata, ówdzie zapłonęło inne; tam świat poznał nową tajemnicę życia, ówdzie ziemia pochłonęła całe pokolenia wraz z ich mieszkaniem i dorobkiem. Gdzie zanikało życie, tam zaraz, jak młoda trawa, budziło się inne.

I na Wyborskiej stronie, w domu wdowy Pszenicynowej — chociaż dnie i noce upływały spokojnie, nie przynosząc wielkich i niespodziewanych zmian w jednostajnem życiu; chociaż cztery pory roku minęły w takim samym porządku, jak poprzednie, — życie się nie zatrzymało; zmieniało się tylko, lecz zmieniało się tak powoli, jak powoli odbywają się geologiczne przeobrażenia kuli ziemskiej. W jednym miejscu niewidzialnie osuwa się góra, w drugim morze przez całe wieki przynosi namuł lub ucieka od brzegów i tworzy nowe lądy.

Ilja Iljicz wyzdrowiał. Pełnomocnik Zatiortyj wyjechał na wieś i przysłał pieniądze za sprzedane zboże, zaco otrzymał zwrot kosztów podróży, dzienne utrzymanie i wynagrodzenie za pracę.

Co się zaś tyczy „obroków“ Zatiortyj pisał, że ściągnąć jest niepodobieństwem: chłopci, jedni zruj-

nowani, drudzy rozbiegli się w różne strony i nie wiadomo gdzie są, lecz na miejscu zbiera wiadomości.

O drodze i o mostach zawiadamiał, że niema się z czem śpieszyć: chłopci na targi wolą jechać z góry na górę i przebywać przepaście, niż pracować nad budową nowej drogi i mostu.

Słowem, otrzymane wiadomości i pieniądze zadowolniły Oblomowa. Nie był zmuszony do ostateczności odbywania podróży osobiście i miał spokój do przyszedłego roku.

Pełnomocnik wydał także dyspozycje co do budowy domu: wyrachował wraz z budowniczym ile i jakiego materiału będzie potrzeba, a staroście dał polecenie, ażeby z rozpoczęciem wiosny zbudował szopę na skład cegły, woził drzewo, tak, aby Oblomow mógł tylko przyjechać na wiosnę i z błogosławieństwem bożem rozpocząć budowę.

Do tego czasu miał już nadzieję ściągnąć „obroki“ i zbudować nowy folwark — tak, że wydatki byłoby z czego pokryć.

Ilja Iljicz po wyzdrowieniu długo był zasepiony: całemi godzinami przesiadywał w chorobliwym zamysleniu, czasem nie odpowiadał na zapytania Zachara i nie zauważał jak ten opuszczał na ziemię filiżanki, nie zmiatał kurzów lub gospodyni przychodziła w każde święto z „pirogiem“ — i zastawała go we łzach.

Potem powoli, zamiast żywego smutku, przyszła obojętność. Ilja Iljicz całymi dniami przypatrywał się, jak padał śnieg i tworzyły się góry na dworze i na ulicy, jak pokrył drwa, ułożone na dziedzińcu, kurniki, budę dla psa, ogród i grzędy, jak ze słupów

ogrodzenia tworzyły się piramidy, jak wszystko zamarło i pokryło się białym całunem.

Słyszał tylko co rana trzeszczenie młynka od kawy, skakanie i ujadanie psa na łańcuchu, czyszczenie butów przez Zachara i jednostajny ruch wahadła zegarowego.

Jak dawniej, przychodziła do niego gospodyni z propozycją kupna tego lub owego lub zjedzenia czegokolwiek; przybiegały dzieci gospodyni, a on z łagodną obojętnością rozmawiał z gospodynią, dzieciom zadawał lekcje, przysłuchiwał się jak czytają i z ledwie widocznym uśmiechem słuchał ich dziecinnego szczebiotania.

Góra osuwała się powoli, morze oddalało się od brzegów lub zbliżało — i Oblomow pomału wchodził w tryb swego normalnego życia.

W marcu przyleciały skowronki, w kwietniu wyjęto podwójne okna w jego pokoju i oświadczono, że lody na Newie spłynęły.

Oblomow przechadzał się po ogrodzie, potem poczęto sadzić jarzyny, przyszły różne święta: pierwszego Maja, Zielone święta — ubierano domy w zielone, gałązki w lasku pijano herbatę.

Na początku lata poczęto mówić o dwóch wielkich uroczystościach domowych: na św. Jana przypadały imieniny „braciszka“, a na Eljasza — Oblomowa — były to dwie ważne epoki. Gdy gospodyni widziała na targu śliczną ćwiartkę cielęciny lub udało się jej upiec doskonały „pirog“ — mówiła:

— Ach, gdyby taka cielęcina trafiła się, albo taki „pirog“ udał się w dzień św. Jana lub Eljasza!

Rozmawiano o piątku przed św. Eljaszem, o wczorajszej wycieczce piechotą do Prochowni, na cmentarz Smoleński, do Kołpina.

Przed oknami znowu odzywać się zaczęło gda-
kanie kwoki i pisk nowego pokolenia kurcząt; pie-
czono „pirogi“ z kurczętami i świeżymi grzybami,
zjawily się świeżo kiszone ogórki, a wkrótce potem
i jagody.

— „Potrocha“ — rzekła gospodyni do Obło-
mowa — już teraz mi dobrze. Wczoraj za dwie
pory małe żądano siedem grzywien, ale zato łosoś
jest świeży, a boćwinę codziennie nawet można
gotować.

Gospodarstwo w domu wdowy Pszenicynowej
było w stanie kwitnącym, nietylko dlatego, że
Agafja Matwiejewna była wzorową gospodynią, że
gospodarstwo było jej jedynem zajęciem, ale i dla-
tego jeszcze, że Iwan Matwieicz Muchojarow
był pod względem gastronomicznym skończonym
Epikurejczykiem.

Więcej, niż niedbałym był on co do ubrania
i bielizny. Ubranie nosił całemi latami, a na kupno
nowego wydawał pieniądze z obrzydzeniem i gnie-
wem, nie wieszał go starannie, lecz rzucał na kupe,
do kąta; bieliznę, jak robotnik, zajęty brudną ro-
botą, zmieniał tylko w sobotę, ale na jedzenie —
nie żałował wydatków.

Pod tym względem miał on własną logikę, wy-
robioną od czasu objęcia urzędowania: nie zobaczą
co masz w brzuchu i nie będą robić niepotrzebnych
uwag; tymczasem złoty łańcuszek przy zegarku,
nowy frak, dobrze wyczyszczone buty — wszystko
to wywołuje niepotrzebne rozmowy.

Dlatego też na stole Pszenicynych bywała ciele-
cina pierwszego gatunku, bursztynowy jesiote, białe
jarzabki. Niekiedy Iwan Matwieicz sam obchodził
i obwąchał cały targ — jak pies legawy, zaglądał

do sklepów Milutina, pod połą przyniósł tuczoną pularde, i nie żałował czterech rubli na indyka.

Wino kupował w wielkich składach, sam chował je i sam wydobywał w razie potrzeby, ale na stole oprócz karafeczki zwykłej gorzałki, nikt u niego nic innego nie widział. Wino wypijał w swoim pokoju.

Gdy z Tarantjewym wyjeżdżał łowić ryby, w kieszeni miał zawsze schowaną butelkę wysokiego gatunku madery, a kiedy pili w restauracji herbatę przynosił zawsze rum ze sobą.

Powolne osadzanie się lub występowanie dna morskiego mogło odbywać się spokojnie, ale ani Anisja, ani gospodyni, które związały się ze sobą niezmaconą przyjaźnią, z pewnością, uwagi na to nie zwracały.

Obłomow, widząc jak gospodyni interesuje się jego sprawami, zaproponował jej, niby żartem, by wzięła na siebie wszystkie troski jego wyżywienia i uwolniła go od wszelkich kłopotów.

Radość rozlała się na jej twarzy, nawet uśmiechnęła się z zadowoleniem. Jakże się rozszerzał zakres jej działalności: zamiast jednego, dwa gospodarstwa, a właściwie jedno, ale jakie wielkie! Oprócz tego miałyby do pomocy Anisję.

Agafja Matwiejewna pomówiła z bratem, a na drugi dzień z kuchni Obłomowa wszystko było przeniesione do kuchni Pszenicynowej; jego srebro i naczynie przeniesiono do jej bufetu; Akulina została zdegradowaną — z kucharki na dozorczynię drobiu i ogrodniczkę.

Wszystko poszło wielkim trybem: kupno cukru, herbaty, prowiantów, solenie ogórków, kiszenie jabłek i wiśni, smażenie konfitur — wszystko odbywało się na wielką skalę.

Agafja Matwiejewna urosła; Anisja puściła w ruch swoje ręce jak orlica skrzydła, życie zakipiało dookoła i popłynęło szeroką rzeką.

Oblomow jadał obiad o godzinie trzeciej razem z rodziną Pszenicznowej; braciszek tylko jadał osobno, po nich już, w kuchni, gdyż zwykle późno wracał z urzędowania.

Herbatę i kawę przynosiła Oblomowowi sama gospodyni, nie Zachar, jak dawniej. Zachar, gdy chciał, ścierał kurze, a gdy niechciał, wbiegała Anisja jak wicher i częściowo fartuchem, częściowo ręką — nieraz nosem prawie — wszystko zmiatała, ścierała, zdmuchiwała, porządkowała i znikwała. Gdy Anisja była zajęta, sama gospodyni, jak tylko Oblomow wyszedł do ogrodu, zaglądała do jego pokoiów, dojrzawszy jakiś nieporządek, pokiwała głową i, mrucząc coś pod nosem, wytrzepywała poduszki, przejrzała nawlecзки, a jeśli trzeba było zmienić — zmieniła, oczyściła okna, zajrzała za oparcie kanapy i odchodziła do siebie.

Powolne osiadanie dna morskiego, osuwanie się góry, zwiększanie się namułu z dodatkiem lekkich wulkanicznych wstrząśnień — wszystko to sprawdziło się w losie i życiu Agafji Matwiejewny, ale nikt, a najmniej ona sama nie spostrzegła tych zmian. Stało się to wszystko widocznem dopiero z powodu licznych, częstych i nieoczekiwanych następstw.

Dlaczego ona od pewnego czasu była jakaś nieswoja?

Dawniej jeśli przepaliła się pieczeń, przegotowała się ryba w zupie, nie dodano do zupy zielonego, ona surowo, ale z godnością robiła uwagę Akulinie i zapominała — teraz, gdy się coś podobnego stało,

Agafja Matwiejewna wyskakiwała z za stołu, biegła do kuchni, obsypie Akulinę wymówkami, a na drugi dzień sama sprawdzała, czy jest zielone, czy nie przegotowała się ryba.

Możnaby pomyśleć, że ona się wstydziła, nie chciała wobec obcego człowieka uchodzić za niedbałą w gospodarstwie, gdzie się skupiała cała jej działalność, gdzie był szczyt jej miłości własnej.

Dobrze. Ale dlaczego dawniej o ósmej godzinie już jej oczy poczynąły się zamykać, a o dziewiątej, gdy dzieci położyła do łóżka, i sprawdziła czy ogień w kuchni zgaszony, czy zasuwy od pieca zasunięte, czy już wszystko sprzątnięto — kładła się do łóżka, i wtedy nic nie obudziło jej przed szóstą.

Teraz, gdy Oblomow pojechał do teatru, lub zasiedział się u Iwana Gerasimowicza i długo nie wracał — nie mogła zasnąć, przewracała się z boku na bok, żegnała się, wdychała, zamykała oczy — lecz sen nie przychodzi!

Ledwie usłyszała stuk kół na ulicy, podnosiła głowę, nieraz zrywała się z pościeli, otwierała okienko i nasłuchiwała — czy to nie on?

Gdy posłyszała pukanie do bramy, narzucała spódnicę, biegła do kuchni, budziła Zachara, Anisję i wysyłała otworzyć bramę.

Może, pomyślał sobie, jest to dowodem uczciwości gospodyni, która nie życzy sobie, ażeby w domu jej panował nieład, ażeby lokator wyczekiwał w nocy na ulicy, aż pijany stróż posłyszcy i otworzy, wkońcu — długotrwałe pukanie może obudzić dzieci...

Dobrze. Ale dlaczego, gdy Oblomow zachorował, ona nikogo nie wpuszczała do jego pokoju, zaścielała go wołokiem i dywanami, zapuszczała rolety i wpadała w złość — ona, taka zwykle dobra i ła-

godna — gdy Masza lub Wania głośno się bawiły lub śmiały.

Dlaczego w nocy, nie ufając Zacharowi i Anisji, Agafja Matwiejewna przesiadywała przy jego łóżku, oka z niego nie spuszczała, a potem, narzuciwszy płaszcz na siebie, pisała na skrawku papieru wielkimi literami „Ilja“ biegła do cerkwi, oddawała paperek dla złożenia na ołtarzu i prosiła o modlitwę za jego zdrowie? Dlaczego potem padała na kolana i długo leżała, schyliwszy głowę do podłogi; potem biegła na targ i z trwogą wracała do domu, cicho otwierała drzwi i szeptem pytała:

— Co tam?

Możnaby powiedzieć, że jest to nic innego, jak tylko litość, współczucie — zwykłe składniki duszy kobiecej.

Dobrze. Dlaczego, gdy Oblomow, wyzdrowiawszy, całą zimę był posepny, ledwie parę słów do niej przemówił, nie zaglądał do jej pokoju, nie był ciekawy, co ona robi, nie żartował, nie śmiał się — ona schudła, ogarnął ją nagle chłód, niechęć do wszystkiego; męła kawę — i nie wiedziała co robi, nakładała taką masę cykorji, że pić tej kawy nie było można — i nie czuła tego, jak gdyby była pozbawioną smaku.

Dawniej nikt jej nie widywał zamyśloną, nawet było jej z tem nie do twarzy: zawsze była w ruchu, na wszystko patrzyła pilnie, widziała wszystko — aż oto nagle z moździerzem na kolanach prawie zasypiała, nieruszała się, potem równie nagle poczynąła bić tłuczkiem, że aż pies zaszczekał, bo zdawało mu się, że ktoś walił w bramę.

Gdy tylko Oblomow poprawiać się począł, gdy na twarzy jego pokazał się dobry uśmiech, gdy za-

czał patrzeć na nią, jak dawniej, zaglądać przez drzwi i żartować — znowu gospodarstwo jej poszło żywiej z małym tylko, oryginalnym odcieniem. Dawniej poruszała się ona przez cały dzień, jak dobrze zbudowana maszyna, regularnie, równomiernie, chodziła cicho, mówiła ani cicho ani głośno, namęła kawy, narąbała cukru, przesiała mąkę, siadała do szycia, a igła w jej ręku poruszała się równo, jak wahadło zegara; gdy wstała — nie gorączkowała się, zatrzymywała się w pół drogi, otwierała szafę, coś wyjmowała, odnosiła — jak maszyna.

A teraz, gdy Ilja Iljicz został niejako członkiem jej rodziny — ona i tłucze w moździerz i sieje inaczej. O koronkach swoich zapomniała prawie. Czasem siądzie spokojnie i zacznie szyć, nagle gdy usłyszy jak Oblomow każe Zacharowi podać kawę, w jednej chwili zjawia się w kuchni i patrzy pilnie, jakby czegoś szukała, uchwyci łyżeczkę, naleje kawy i przelewa, przypatrując się czy dostatecznie ugotowana, czy odstała się należycie, ażeby z gąszczem mu nie podano, zobaczy, czy jest kożuszek na śmietance.

Jeśli się gotuje jego ulubiona potrawa, Agafja Matwiejewna patrzy na rondel, podnosi pokrywę, powącha, próbuje, potem bierze sama rondel i trzyma na ogniu. Czy miele dla niego migdały, czy tłucze cokolwiek, to z takim zapalem, z takim ogniem, że pot ją oblewa.

Całe jej gospodarstwo — mielenie, tłuczenie, przesiewanie — wszystko to posiada nowy odcień i cel: spokój i wygodę Ilji Iljicza. Dawniej widziała w tem tylko obowiązek, teraz stało się to dla niej

przyjemnością. Poczęła żyć swoim życiem — pełnem i różnorodnem.

Ale Agafja Matwiejewna nie zdawała sobie sprawy z tego, co się z nią dzieje i przyjęła na siebie to słodkie jarzmo bez zastrzeżeń, i sprzeciwiania się, bez uniesień i trwogi, bez namiętności, bez smutnych przeczuć i tęsknot — bez całej gry i muzyki nerwów.

Zdawało się, jak gdyby przyjęła inne wyznanie wiary, oddawała się temu kultowi nie rozumiejąc co to za wyznanie, jakie dogmaty, lecz tylko ślepo spełniała przepisy.

Wszystko to spadło na nią samo przez się — wpadła jak gdyby pod deszcz ulewny, nie cofając się nazad i nie idąc naprzód. Pokochała Oblomowa prosto, jak gdyby po przeziębieniu, dostała nieuleczalnej febry.

Nawet nie podejrzewała co się z nią stało. Gdyby jej ktoś o tem powiedział — byłoby to dla niej nowością — uśmiechnęłaby się i zawstydzila.

Milcząco przyjęła zobowiązania w stosunku do Oblomowa: poznała każdą jego koszulę, obliczyła wszelkie przetarte piętki w jego szkarpetkach, wiedziała jaką nogą wstaje z łóżka, uważała kiedy poczyną się tworzyć jęczmień na oku, jakie potrawy i ile zjada, czy jest wesoły lub smutny, czy dobrze spał lub nie, jak gdyby przez całe życie nic innego nie robiła, nie pytając siebie: dlaczego? czem jest dla niej Oblomow? dlaczego się tak niepokoi?

Gdyby ją zapytano, czy kocha go, uśmiechnęłaby się i powiedziała — tak, ale odpowiedziałaby była również tak samo wtedy, gdy Oblomow od tygodnia dopiero mieszkał u niej.

Zaco i dlaczego pokochała go, dlaczego nieko-

chając wyszła zamaż i dożyła trzydziestu lat; teraz nagle, niewiadomo skąd, spadła na nią miłość?

Chociaż miłość nazywają zwykle uczuciem kapryśnem, nieodpowiedzialnem, które rozwija się jak choroba, niemniej podlega ona, jak wszystko na świecie, swoim prawom i przyczynom. A jeśli dotychczas prawa te są mało zbadane, to tylko dlatego, że człowiek, który zachoruje na miłość, nie może spokojnem okiem śledzić jak wrażenie zakrada się do duszy; jak niby snem okuwa rozum; jak z początku oślepia oczy; od jakiej chwili puls, a potem serce poczyną bić mocniej; jak zjawia się, od następnego zaraz dnia, wierność do grobu, dążenie do ofiar; jak powoli niknie własne „ja“ a przechodzi do „niego“ lub do „niej“; jak rozum bezmiernie tępieje, chociaż niezwykle zaostrza się; jak własna wola idzie w niewolę drugiej; jak schyla się głowa, drżą kolana, zjawiają się łzy, gorączka...

Agafja Matwiejewna mało dawniej widywała takich ludzi, jak Oblomow, a jeśli widywała, to zdaleka. Może nawet podobali się jej, ale żyli w innej zupełnie sferze towarzyskiej, tak, że nie miała sposobności zbliżyć się do nich.

Ilja Iljicz nie tak chodził, jak chadzał jej nieboszczyk mąż, sekretarz kolegalny Pszenicyn, drobny przyspieszonym krokiem człowieka zajętego; nie pisał bezustannie w jakiejś kancelarji i nie drżał ze strachu, że spóźni się do „służby“; nie patrzył na każdego tak jak gdyby prosił, ażeby go osiadł i jechał, ale patrzył na wszystkich i na każdego tak śmiało i swobodnie, jak gdyby żądał poddania się sobie.

Twarz jego nie jest pospolita, czerwona, policzki są białe, delikatne; ręce nie są podobne do rąk

„braciszka“ — nie trzęsą się, nie są czerwone, lecz białe i małe. Gdy siada i założy nogę na nogę, gdy głowę podeprze ręką — wszystko to robi powolnie, spokojnie i pięknie. Mówi wcale nie tak, jak brat lub Tarantjew, a nawet jej mąż nieboszczyk. Wiele rzeczy ona nie rozumie nawet, ale odczuwa, że to jest piękne, rozumne, niezwykle, ale nawet to, co ona rozumie — z ust jego wychodzi inaczej niż u innych.

Bieliznę ma cieniutką, zmienia ją codziennie, myje się mydłem aromatycznym, czyści paznokcie. On cały taki czysty, ładny, może nic nie robić i nie robi, wszyscy za niego robią. Ma Zachara i trzysta jeszcze takich Zacharów!

To barin. On jaśniej, błyszczy! Taki dobry, chodzi tak miękko, ruchy jego i dotknięcia ręki — to aksamit. Mąż jej, gdy bywało dotknął się — to jak gdyby uderzył! I spogląda on i przemawia tak miękko, z taką dobrocią...

Agafja Matwiejewna nie rozumowała, co to znaczy, a gdyby kto inny usiłował wytłumaczyć jej wrażenia, jakie w jej życiu wywołało pojawienie się Obłomowa, musiałby tylko tak, a nie inaczej je tłumaczyć.

Ilja Iljicz rozumiał jakie było znaczenie jego w tym domu — co on przyniósł ze sobą do tego zapadłego kąta, poczynając od braciszka, aż do psa łańcuchowego, który począł otrzymywać większą porcję kości — ale nie domyślał się jak głęboko sięgało przekonanie o tem znaczeniu i jak nieoczekiwane zwycięstwo odniósł nad sercem gospodyni.

W jej zapobiegliwej trosce o jego wikt, bieliznę i pokoje, widział tylko główne rysy jej charakteru, które spostrzegł od pierwszego zetknięcia się z nią,

kiedy Akulina wniosła nagle do pokoju trzepocącego się koguta i kiedy gospodyni, chociaż zmieszana tą pilnością kucharki, zgola nie na miejscu, zdolala jednak przestrzec, azeby sklepikarzowi Akulina oddala nie tego, ale szarego koguta.

Agafja Matwiejewna nie umiala nietylko kietowac Oblomowa, dac mu poznac, w jaki badz sposob, co sie w niej dzieje, ale, jak juz powiedzialem, ona nie miala swiadomosci tego, ani nie rozumiala. Zapomniała nawet, ze przedtem nic podobnego z nią sie nie dzialo, a miłość jej objawiala sie tylko w bezgranicznej uslužności.

Oblomow nie zdawal sobie takze sprawy z jej stosunku do niego — uwazal to tylko za objaw charakteru. To tez uczucie Pszeniczyny, takie normalne, naturalne, bezinteresowne, bylo tajemnicą dla Oblomowa, dla jej otoczenia, a nawet dla niej samej.

I w samej rzeczy bylo ono bezinteresowne, gdyz Agafja Matwiejewna stawiala świeczkę w cerkwi, modlila sie o jego zdrowie z myślą tylko, azeby wyzdrowial, a Oblomow nigdy nie dowiedzial sie o tem. Siadywala u jego wezgłowia przez noc calą, opuszczala je świtem, a potem mowy o tem nie bylo nigdy.

Stosunek Oblomowa do niej byl daleko prostszy i w oczach jego Agafja Matwiejewna z wiecznie poruszającymi sie łokciami, z oczyma troskliwie zatrzymującymi sie na kazdym przedmiocie, w ciagleym kręceniu sie między szafą a kuchnią, między kuchnią, spizarnią a piwnicą, z jej ogromną znajomością wszystkich gospodarskich tajemnic, byla ideałem tego nie objętego okiem, jak ocean, i niewzruszonego spokoju życia, którego obraz niezatarty od

dzieciństwa wyrzył się w jego duszy pod dachem ojcowskim.

Jak tam ojciec jego, dziad, dzieci, wnuczeta i goście siadywali lub leżeli w leniwym spokoju, wiedząc o tem, że w domu jest wiecznie czujne oko, wpatrzone w ich potrzeby i dbające o nie, i w wiecznym ruchu będące ręce, które obszyją, nakarmią, napoją i spać ułożą — tak też i tu Oblomow, siedząc nieporuszony na miejscu, nie dźwigając się z kanapy, widział, że porusza się koło niego coś żywego i ruchliwego dla jego pożytku, i że gdyby jutro nie zeszło słońce, wichry zakryły niebo chmurami i burza z końca w koniec przelatywała — zupa i pieczeń zjawia się na stole, bielizna będzie wyprana i świeża, pajęczyna zdjeta ze ścian, a on nie będzie wiedział jak to się zrobiło, nie zada sobie trudu pomyślenia o tem, czego pragnie, wszystko będzie odgadnięte, podsuniete pod nos prawie, nie leniwie, szorstko, nie brudnemi rękoma Zachara, lecz z żywym i łagodnem spojrzeniem, z uśmiechem głębokiego przywiązania, czystemi białemi rękami, z obnażonemi łokciami.

Z każdym dniem coraz bardziej zaprzyjaźniał się z gospodynią. Miłość nawet do głowy mu nie przychodziła, taka miłość, jaką przebył niedawno jak jakąś ospę, dur lub gorączkę i drżał, kiedy o niej wspomniał.

Oblomow zbliżał się do Agafji Matwiejewny jak do ognia, który daje wprawdzie ciepło, ale którego kochać nie można.

Po obiedzie chętnie zatrzymywał się u niej przed odejściem do siebie, palił fajkę, przypatrywał się, jak układała w bufecie srebro, jak wyjmowała filiżanki, jak starannie wymyła i wytarła jedną, a nalawszy

kawę, podawała przedewszystkiem jemu, badając, czy jest zadowolony.

Długo zatrzymywał spojrzenie swoje na jej pełnem popiersiu, na okragłych łokciach, ile razy drzwi otworzyły się do jej pokoju, a nawet wtenczas, gdy się długo nie otwierały, trącał je lekko nogą, żartował z nią, bawił się z dziećmi.

Ale nie doznawał przykrości wcale, gdy przez cały ranek nie mógł jej widzieć. Po obiedzie, zamiast pozostać u niej, wychodził często, aby się przedrzemać jaką godzinę, ale wiedział, że gdy się tylko obudzi, herbata już jest gotowa i czeka na niego niemal w tej samej chwili, gdy się ocknie.

Co najważniejsze, że wszystko to odbywało się spokojnie. Nie dostrzegał obrzęknięć koło serca, nie męczył się myślą o tem, czy ujrzy Agafję Matwiejewną lub nie, co ona pomyśli, co jej powiedzieć, co odpowiedzieć na jej pytanie, jak spojrzy — nic, nic.

Męczarni bezsennych nocy, słodkich lub gorzkich lez — nie miewał wcale. Siedział, palił fajkę, patrzył jak ona szyje, czasem coś powiedział, najczęściej nic, nic mu nie potrzeba, niechce się iść nigdzie, cicho, spokojnie — wszystko jest pod ręką.

Żadnych ponagleń i żądań nie miała wobec niego Agafja Matwiejewna. Żadne ambitne pragnienia nie powstawały w jego głowie — porywy, dążenie do bohaterskich czynów, dręczące myśli o tem, że czas ucieka, że siły jego marnieją, że w życiu swoim nic nie uczynił ani dobrego ani złego, że próżnuje, że wegetuje, a nie żyje — to wszystko nie mąciło mu spokoju.

Zdawałoby się, że jakaś dobroczynna ręka usunęła go, jak drogocenną roślinę, w cień, aby upały

jej nie spaliły, nie uszkodził deszcz, i pielęgnuje go, ochrania.

— Dlaczego tak zgrabnie, Agafjo Matwiejewno, biega igła koło nosa pani — mówił Oblomow. — Pani tak nisko pochyła się, że ja doprawdy lękam się, ażeby pani nie przyszyła nosa do spódnicy.

Uśmiechnęła się.

— Dokończę jeszcze kilka ściegów i podadzą wieczerzę.

— A co na wieczerzę?

— Kapusta kiszona z lososiem. Jesiotra nigdzie już dostać nie można. Wszystkie sklepy obchodziłam, niema. Może się żywy jesiotr trafi — handlarz jeden zamówił — obiecał zatrzymać dla nas kawałek. Cielecina pieczona...

— To bardzo dobrze! Jaka pani dobra, że pamiętała o tem. Żeby tylko Anisja nie zapomniała.

— A ja tutaj poco? Słyszysz pan? Skwierczy — rzekła, otwierając drzwi do kuchni. — Już się piecze.

Agafja Matwiejewna skończyła szycie, odgryzła nitkę, robotę zwinęła i odniosła do sypialnego pokoju.

Oblomow przysuwał się powoli do ognia. Raz podsunął się tak blisko, że o mało nie było pożaru.

Chodził po pokoju i zwracając się ciągle do drzwi gospodyni, widział jak łokcie jej poruszały się z niebywałą zręcznością.

— Zawsze pani zajęta! — rzekł, wchodząc do jej pokoju. — Co to pani robi?

— Cynamon proszkuję — odrzekła, patrząc w głąb moździerza i bezlitośnie stukając tłoczkiem.

— A jeśli ja pani przeszkodzę — rzekł, biorąc ją za łokieć i wstrzymując robotę.

— Proszę puścić! Jeszcze muszę utłuc cukru i wydać wino na puding.

Obłomow trzymał ją za łokieć, głową, dotykając prawie tyłu szyi.

— Proszę powiedzieć, co byłoby, gdybym... pokochał panią?

Agafja Matwiejewna uśmiechnęła się.

— Czy pani pokochałaby mnie także? — spytał.

— Dlaczegoż nie? Pan Bóg kazał wszystkim kochać.

— A jeśli ja pocałuję panią? — szepnął, nachylając się do jej szyi, tak że jego gorący oddech twarz jej oblał.

— Dziś nie Niedziela Wielkanocna — odpowiedziała z uśmiechem.

— Proszę pocałować!

— Jak Bóg pozwoli doczekać Wielkanocy, wtedy pocałuję — odpowiedziała i niezdziwiona, niewzruszona, niestrwożona stała spokojnie jak koń, któremu nakładają chomąto.

— Proszę uważać, rozsypię cynamon. Nie będzie pan miał czym posypać ciastka — zauważyła.

— Niewielkie nieszczęście!

— Co to pana ma na szlafroku? Znowu plama? — pytała zakłopotana, biorąc w rękę koniec szlafroka.

Powąchała plamę.

— Skąd to? Pewnie z lampki przed obrazem kapnęło?

— Niewiem skąd się wzięło.

— Pewnie o drzwi się pan otarł. Wczoraj posmarowałam zawiasy oliwą, bo skrzypiały. Proszę zrzucić szlafrok, ja wywabie plamę i zapiore, jutro śladu nie będzie,

— Dobra Agafja Matwiejewna! — rzekł Obłomow, leniwie ściągając szlafrok. — Wie pani co? Pojedziemy żyć na wieś. Tam dopiero gospodarstwo! Czego tam niema: są grzyby, jagody, konfitury, kury, krowy...

— Niechcę — poco? — odpowiedziała westchnąwszy. — Tu urodziłam się, tu się żyło, tu i umrzeć trzeba.

Obłomow patrzył na nią z lekkim wzruszeniem, ale oczy nie błyszczały mu, nie napelniały się łzami, dusza nie rwała się na zawrotne wyżyny, do czynu. Chciał tylko usiąść na kanapie i nie odrywać oczu od jej łokci.

II.

Dzień św. Jana minął uroczyście. Dzień przedtem Iwan Matwieicz nie poszedł do urzędu. Cały dzień pędził po mieście i zawsze wracał do domu z jakimś zawiniątkiem lub koszykiem.

Agafja Matwiejewna przez trzy dni żywiła się tylko kawą, ale dla Ilji Iljicza było zawsze trzy potrawy do stołu. Inni jadali cokolwiek i gdziekolwiek.

Anisja w przeddzień święta wcale nie spała. Tylko Zachar wysypiał się za nią i za siebie, a na wszystkie przygotowania spoglądał lekceważąco i z pogardą.

— U nas w Obłomówce każde święto tak obchodzono — mówił do dwóch kucharzy, których zaproszono do pomocy z grafskiej kuchni. Bywało pięć gatunków leguminy na stole, a serów — niktby nie policzył! Cały dzień państwo jedzą — i na drugi dzień jeszcze. A potem my przez pięć dni dojadamy. Ledwie skończymy — patrz! — goście przyjechali. I znowu zaczyna się! A tutaj co? Raz do roku tylko!

Przy obiedzie półmisek podawał najprzód Obłomowowi i za nic nie zgodził się podać jakiemuś panu z wielkim krzyżem, na szyi.

— Nasz pan szlachcic rodowy — mówił z dumą, — a to co za goście!

Tarantjewowi, siedzącemu na końcu stołu, wcale półmiska nie podawał, tylko stawał przed nim lub sam nakładał mu na talerz ile chciał.

Wszyscy koledzy służbowi Iwana Matwieicza byli obecni — a było tego około trzydziestu osób.

Ogromny pstrąg, faszerowane kurczęta, przepiórki, lody i doskonale wino — wszystko to godnie uczyło uroczystość imieninową.

Goście pod koniec poczęli się wycławowywać i wychwalać pod niebo dobry gust gospodarza, a potem zasiedli do kart. Muchojarow kłaniał się i dziękował, zapewniając, że dla szczęścia przyjęcia tak miłych gości nie żałował wydać czteromiesięcznej pensji.

Nad ranem goście rozjechali się lub rozeszli i w domu Przenicynowej znowu wszystko umilkło.

W dzień imienin Oblomowa z obcych osób byli tylko u niego z wizytą Iwan Gerasimowicz i Aleksiejew, milczący i niewinny gość, ten sam, który przyjechał był prosić Ilję Iljicza na wycieczkę pierwszego maja. Oblomow nie tylko nie chciał dać się wyprzedzić Iwanowi Matwieiczowi, ale chciał go zaćmić pewną wytwornością przyjęcia, nieznaną w tym kącie.

Zamiast tłustej kulebiaki były ptysiowe ciastka. Przed zupą podano ostrygi, kurczęta w papilotach z truflami, słodkie pieczyste, delikatne sałaty, angielskie ciastka.

Środek stołu zdobił olbrzymi ananas, a dokoła leżały morele, wiśnie, pełne wazy żywych kwiatów.

Ledwie podano zupę, ledwie Tarantjew wylając zdołał kucharza za głupie pomysły nie wkładania

nic do pasztecików, gdy usłyszano rozpaczliwe szarpanie się i ujadanie psa łańcuchowego.

Na dziedziniec wjechał powóz i ktoś pytał o Obłomowa. Goście zaciekawieni, pootwierali gęby.

— Ktoś ze znajomych przypomniał sobie moje imieniny — rzekł Obłomow. — Powiedz, że mnie w domu niema! — szepnął Zacharowi.

Obiad podano w ogrodzie, w altance. Zachar pobiegł wypełnić rozkaz, lecz na drodze zetknął się ze Sztolcem.

— Andrzej Iwanycz! — zachrypiał radośnie.

— Andrzej! — głośno zawołał Obłomow i rzucił się na powitanie.

— Doskonale trafiłem! W sam czas obiadu — mówił Sztolc — nakarmisz mnie, bom strasznie głodny. Ledwie zdołałem cię odszukać!

— Chodźmy! Chodźmy! Siadaj! — mówił zadowolony Obłomow, sadzając go przy sobie.

Ledwie się Sztolc pokazał, Tarantjew pierwszy przeskoczył przez płot i zemknął do ogrodu, po nim Iwan Matwieicz schował się za altankę i poszedł do swojej świetliczki. Gospodyni także poderwała się z miejsca.

— Przeszkodziłem wam — zauważył Sztolc wstając.

— Dokąd to? Poco? Iwan Matwieicz! Michej Andrejicz! — krzyczał Obłomow.

Gospodynię zatrzymał na miejscu, lecz Iwana Matwieicza i Micheja Andreicza dowołać się nie mógł.

— Skąd? Jak? Na długo? — posypały się pytania.

Sztolc na dwa tygodnie przyjechał dla różnych

spraw, stąd jechał na wieś, potem do Kijowa i Bóg wie gdzie jeszcze dalej.

Przy obiedzie mówił mało, ale jadł dużo. Widać było, że rzeczywiście był głodny. Inni jedli milcząc tem bardziej.

Po obiedzie, gdy już wszystko sprzątnięto ze stołu, Obłomow kazał zostawić w altance szampan i wodę selcerską i pozostał we dwójkę ze Sztolcem.

Kilka chwil milczeli obydwa. Sztolc pilnie i długo wpatrywał się w Obłomowa.

— No, Ilja! — rzekł wkońcu, ale tak ostro i pytająco, że Obłomow spuścił oczy w ziemię i milczał.

— A zatem — nigdy!

— Co — nigdy? — spytał Obłomow, niby nie domyślając się, o co chodzi.

— Zapomniałeś już — teraz albo nigdy.

— Ja innym już jestem teraz... niż byłem wtedy, Andrzeju — przemówił nareszcie. — Sprawy moje uporządkowane, Bogu dzięki, nie leżę beczynnie, plan mój prawie gotów, książki, zostawione przez ciebie, prawie przeczytane...

— Dlaczegoż nie wyjechał za granicę? — pytał.

— Zagranicę przeszkodziła mi wyjechać...

Obłomow zatrzymał się.

— Olga? — pytał Sztolc, wpatrując się w niego znacząco.

Ilja Iljicz zmieszał się.

— Jakto — więc i ty wiesz... Gdzie ona teraz? — spytał nerwowo, patrząc na Sztolca.

Sztolc, nie odpowiadając, patrzył na niego, głęboko wzrok zapuszczając w jego duszę.

— Słyszałem, że z ciotką wyjechała za granicę — rzekł Oblomow — wkrótce...

— Wkrótce potem, jak przekonała się o swojej omyłce — dokończył Sztolc.

— Chyba już wiesz... — mówił Oblomow, nie wiedząc, co ze sobą robić z pomieszania.

— Wszystko wiem... — odpowiedział Sztolc, — nawet o gałązce bzu. Czyż ci nie wstyd Ilja, nie boli cię serce? Nie pali cię żal?

— Nie mów! Nie wspominaj o tem! — szybko mu przerwał Oblomow — Przeboleiałem wszystko, kiedym się przekonał jaka przepaść nas dzieli, kiedym poznał, że nie wart jej jestem... Ach, Andrzeju! Jeśli mnie kochasz, nie męcz dłużej... Dawno wskazywałem jej omyłkę, ona nie chciała wierzyć... Doprawdy Andrzeju, jam nic nie wienien...

— Nie obwiniam ciebie Ilja — miękko, po przyjacielsku odezwał się Sztolc — czytałem twój list. Przedewszystkiem ja zawiniłem, potem ona, wkońcu i najmniej — ty.

— Cóż się z nią teraz dzieje? — bojaźliwie spytał Oblomow.

— Co? Tęskni, płacze i przeklina ciebie...

Przestrach, litość, przerażenie, żal za każdym wyrazem odbijały się na twarzy Oblomowa.

— Co mówisz, Andrzeju! — rzekł, wstając nagle. — Jedźmy, na miłość Boga, zaraz, w tej chwili... Ja u nóg jej wyblagam przebaczenie.

— Siedź spokojnie — przerwał mu Sztolc, zasnuiawszy się — ona wesola, szczęśliwa nawet. Przesyła ci ukłony, chciała nawet pisać, ale odradziłem, powiedziałem, że to cię wzruszy.

— Chwała Bogu! — prawie ze łzami przemówił

Obłomow. — Jakże się cieszę. Pozwól pocałować się Andrzej! Wypijemy za jej zdrowie!

Wypili po kieliszku szampana.

— Gdzież ona teraz?

— Teraz w Szwajcarji. W jesieni razem z ciotką wyjadą na wieś. Właśnie dlatego przyjechałem. Trzeba jeszcze w Izbie sądowej porobić starania o pośpiech. Baron nie dokończył tej sprawy. Miał zamiar oświadczyć się o Olę...

— Nie może być! Więc to prawda? — zawołał Obłomow. — Cóż ona na to?

— Wiadomo co — odmówiła. Baron rozgniewał się i odjechał, a ja muszę kończyć. Na przyszły tydzień wszystko się już zakończy. A cóż ty myślisz? Poco ty zabłądziłeś w tę pustynię?

— Spokojnie tutaj, cicho, Andrzej, nikt nie przeszkadza.

— W czym?

— W pracy.

— Zmiłuj się! Przecież tu także Obłomówka, tylko gorsza. Pojedziemy na wieś — mówił Sztolc, patrząc dokoła.

— Na wieś, i owszem, dobrze, tam budowa rozpocznie się wkrótce. Tylko nie zaraz Andrzej, trzeba się zebrać, namyśleć...

— Znowu namyślać się! Wiem ja jak się namyślasz — jak przed dwoma laty jechać za granicę. Jedźmy w tym tygodniu.

— Jakże tak zaraz, w tym tygodniu? — bronił się Obłomow. — Ty jesteś w drodze, a ja muszę się przecież przygotować. Tu przecież całe moje gospodarstwo, jak ja je opuszczę? Nic nie mam.

— Nic też nie potrzeba. Cóż ci jeszcze brak?

Obłomow milczał.

— Zdrowie nie dopisuje, Andrzeju — powiedział — Mam oddech ciężki — to mnie męczy. Znowu je czmień na oku prześladuje mnie — to na jednym, to na drugim. Nogi trochę puchną. A czasem w ciągu snu w nocy zdaje się, jak gdyby ktoś w głowę uderzył lub w krzyże, że skoczę na równe nogi...

— Słuchaj Ilja, na serjo ci powiem, że musisz zmienić tryb swego życia, bo inaczej albo dostaniesz wodnej puchliny, albo apopleksja cię zabije. Z nadziejami na przyszłość skończyłeś już. Jeśli Olga, ten anioł prawdziwy, nie podniosła ciebie na skrzydłach swoich z błota, to i ja nic zrobić nie potrafię. Ale wybrać sobie mały zakres działania, urządzić majątek, zająć się chłopami, poznać ich małe sprawy, budować, sadzić — wszystko to ty jeszcze możesz i powinienes robić... Ja ciebie nie porzucę. Teraz ja posłuszny być muszę nietylko moim własnym chęciom, ale woli Olgi, ona życzy sobie — słyszysz — ażebyś nie zamierał powoli, nie dał się grzebać za życia, a ja obiecałem odkopywać ciebie z grobu...

— Jeszcze nie zapomniała o mnie? Czyż zasługuję na to? — mówił z uczuciem.

— Nie, niezapomniała i, zdaje się, niezapomni nigdy — ona nie należy do rzędu pospolitych kobiet. Ty powinienes pojechać do niej na wieś w odwiedziny.

— Tylko nie teraz, na miłość Boga, Andrzeju, nie teraz. Pozwól zapomnieć. Ach, jeszcze tu...

Oblomow wskazał na serce.

— Co tu? Czy nie miłość? — pytał Sztolc.

— Nie, tylko wstyd i smutek! — odpowiedział westchnawszy.

— Dobrze. Więc jedźmy do ciebie. Zamierzasz budować dom... teraz lato, czas drogocenny ucieka...

— Nie, ja mam pełnomocnika. On teraz właśnie na wsi, a ja mogę później przyjechać, gdy się zbiorę, pomyśle.

Począł chwalić się przed Sztolcem jak, nie ruszając się z miejsca, doskonale pokierował swojemi sprawami, jak pełnomocnik zbiera wiadomości o zbiegłych chłopach, dobrze sprzedaje zboże, że przysłał mu półtora tysiąca i zapewne w tym roku jeszcze ściągnie i przysze „obroczne“ pieniądze.

Sztolc w ręce klasnął ze zdziwienia.

— Ależ ciebie zrabowano doszczętnie! — zawołał. Z trzystu dusz półtora tysiąca rubli? Kto jest twoim pełnomocnikiem? Co to za człowiek?

— Więcej niż półtora tysiąca — poprawił Obłomow. Z pieniędzy uzyskanych ze sprzedaży zboża, zapłaciłem przecie kosztą jego podróży i za pracę...

— Ileż mu dałeś?

— Nie pamiętam, doprawdy, ale ci pokażę... mam gdzieś rachunek.

— Ach, Ilja! Ty w samej rzeczy umarłeś, zginałeś! — zawołał. — Ubieraj się, pojedziemy do mnie.

Obłomow począł się wykręcać, ale Sztolc przemocą prawie zabrał go ze sobą, napisał pełnomocnictwo na swoje imię, zmusił Obłomowa do podpisania i oświadczył, że bierze Obłomówkę w dzierżawę, aż do chwili przyjazdu i zamieszkania Obłomowa na wsi na stałe.

— Będiesz otrzymywać z majątku trzy razy więcej, niż dotychczas — rzekł. — Tylko ja długo twoim dzierżawcą być nie mogę. Mam swoje sprawy. Jeśli chcesz jedźmy zaraz na wieś, lub przyjedź wkrótce po mnie; będę w majątku Olgi, o trzysta wiorst tylko od ciebie. Zajadę do Obłomówki, wypędzę twego pełnomocnika, wydam odpowiednie

dyspozycje, a potem przyjeżdżaj sam. Ja się nie odcepnię od ciebie.

Obłomow westchnął.

— Ach, życie!

— Co — życie?

— Szarpie ciagle, nie daje spokoju! Położyłbym się i zasnął chętnie... na zawsze

— To znaczy — zgasiłbyś ogień i pozostał w ciemnicy. Ładne życie! Ach, Ilja! Mógłbyś po-
filozofować trochę — doprawdy. Życie przelatuje jak chwila, a ty chcesz położyć się i zasnąć! Gdyby można było żyć dwieście, trzysta lat! — zakończył — ileżby to zrobić można przez ten czas!

— Ty, inna rzecz Andrzej — odrzekł Obłomow. — Ty masz skrzydła, nie żyjesz, ale latasz: ty masz rozum, miłość własną, nie utyleś, nie męczą cię jęczmienie, nie swędzi kark. Zbudowany jesteś inaczej niż ja...

— Pleciesz Bóg wie co! Człowiek jest tak stworzony, że może sam rządzić swoim losem, a nawet zmieniać swoją naturę, a ty wyhodowałeś sobie brzuch i chcesz wmówić, że go ci przyroda dała w podarunku! I ty miałeś skrzydła, ale je straciłeś!

— Gdzież te skrzydła? Gdzie? — smutnie pytał Obłomow. — Ja nic nie umiem.

— To znaczy, że nie chcesz umieć! — przerwał Sztolc. — Niema człowieka, któryby czegoś nie umiał, jak mi Bóg miły, niema!

— A jednak ja nic nie umiem.

— Sluchając ciebie, zdawałoby się, że nie potrafisz napisać zwykłego podania do sądu, listu do gospodarza domu, a przecież do Olgi list napisałeś! Nie wsadziłeś tam bez potrzeby „który“ i „co“.

Znalazł się piękny papier i atrament z angielskiego magazynu i ręka była pewna — co?

Obłomow poczerwieniał.

— Gdy potrzeba było, odszukałeś i myśli i styl. Moznaby w jakim romansie wydrukować. A gdy niema potrzeby — nie umiem, oczy słabe, ręka ciężka! Ty swoją umiejętność zatraciłeś w dzieciństwie jeszcze w Obłomówce pośród ciotek, nianiek i wujaszków. Zaczęło się od nieumiejętności wdziwania szkarpetek, a zakończyło się — nieumiejętnością życia.

— Wszystko to prawda, Andrzeju, ale już nie nie poradzę. Wrócić przeszłości nie można! — z westchnieniem rzekł Obłomow.

— Jakto nie można wrócić! — z gniewem zawołał Andrzej. — To są głupstwa. Słuchaj, rób co co mówię — i przeszłość wróci!

Mimo wszystko Sztolc sam odjechał na wieś. Obłomow został, przyrzekając później przyjechać.

— Co powiedzieć Oldze? — spytał go przed odjazdem.

Obłomow schylił głowę i smutnie się zamyślił. Potem westchnął.

— Nie wspominaj jej o mnie! — rzekł nakoniec zmartwiony. — Powiedz, żeś mnie nie widział, nie słyszał nic o mnie.

— Nie uwierzy — zauważył Sztolc.

— Powiedz, żeś umarł, zginął, przepadł...

— Będzie płakać i długo się nie pocieszy. Pocię ją martwić.

Obłomow wzruszony, zamyślił się. Oczy miał wilgotne.

— Dobrze... więc skłamię — zakończył Sztolc — powiem, że żyjesz jej pamięcią i szukasz poważnego

i wzniosłego celu w życiu. Pamiętaj, że samo życie i praca są celem, a nie kobieta. Pod tym względem myliliście się oboje. Jaka ona będzie zadowolona!

Pożegnali się ze sobą.

III.

Tarantjew i Iwan Matwieicz na drugi dzień po imieninach Oblomowa znowu zeszli się wieczorem w „traktirze“.

— Herbaty! — ponuro rozkazał Iwan Matwieicz a gdy służący przyniósł herbatę i rum, on ze wstrętem zwrócił mu butelkę. — To nie rum, a paskudztwo! — rzekł — i wyjął z kieszeni płaszcz własną butelkę z rumem, odkorkował ją i dał mu powąchać.

— Widzisz, nie suń się zatem ze swoją butelką — zauważył.

Gdy służący odszedł, rzekł:

— Cóż, kumie — źle!

— Tak! Czort go przyniósł! — ze złością odpowiedział Tarantjew. — Co za szelma Niemiec! Pełnomocnictwo skasował, a majątek wziął w dzierzawę. Czy to kto słyszał takie rzeczy? Oskubie on owieczkę...

— Jeśli on zna się na rzeczy, boję się kumie, aby co złego nie wyszło. Gdy dowie się, że „obroki“ ściągnięte i że my już podzielili się pieniędzmi — gotów wytoczyć skargę.

— Zaraz — skargę! Tchórzliwym stałeś się kumie! Zatiortyj nie po raz pierwszy zapuszcza łapę po cudze pieniądze, umie końce chować. Cóż on, pokwitowanie chłopom dawał, czy co? Bez

świadków pewnie brał z ręki do ręki. Pogorączkuje się Niemiec, pokrzyczy — i na tem się skończy. A ty zaraz — skarga!

— Czyż tak? — wesoło odezwał się Muchojarow. — No, wypijmy kumie!

Dolał rumu sobie i Tarantjewowi.

— Patrzysz — i zdaje się, że już żyć na bożym świecie nie można, a wypijesz — pokaże się, że można żyć! — pocieszał się Iwan Matwieicz.

— A ty tymczasem tak kumie zrobisz — mówił Tarantjew. Zrób rachunek, jaki zechcesz, za drzewo, za kapustę — zaco chcesz. Dobrze, że właśnie teraz Oblomow oddał swoje gospodarstwo w ręce Agafji Matwiejewny, więc przedstawisz mu to jako dług. A gdy Zatiortyj wróci, powiemy, że przywiózł tyle a tyle pieniędzy „obrocnych“ i że wydane zostały na potrzeby Oblomowa.

— A jak on weźmie rachunek, potem pokaże Niemcowi, ten obliczy, a potem może tego...

— Ależ nie! On gdzieś wetknie rachunek, i potem sam czołt go nie znajdzie. Kto wie zresztą, kiedy Niemiec przyjedzie. Do tego czasu wszystko się zapomni.

— Czy tak? Wypijmy, kumie! — rzekł Iwan Matwieicz, nalewając do kieliszka. — Szkoda rozwadniać go herbata... Powąchaj tylko... trzy ruble butelka. Może zamówimy przekąskę?

— Można.

— Hej!

— Patrz, jaki szelma! Oddaj mnie, powiada, w dzierzawę! — zawołał ze wściekłością Tarantjew. A nam, ruskim ludziom, do głowy to nie przyszło! To wszystko pachnie niemiecką sztuką. Tam, uwa-

zasz, wszystko fermy, dzierżawy. Ot, poczekaj tylko, on jego jeszcze akcjami przypieczę.

— Co takiego te akcje? Ja z tem nie mogę trafić do ładu — pytał Iwan Matwieicz.

— Niemieckie wymysły! — odpowiedział Tarantjew wściekły. — Oto, na przykład, jakiś oszust obmyśli budowę domu, którego się ogień nie chwyta i rozpocznie budować miasto. Na to potrzebne pieniądze, więc on wypuszcza pomiędzy ludzi papierki, na przykład po pięćset rubli. Głupcy kupują, a potem odsprzedają jeden drugiemu. Jeśli przedsiębiorstwo idzie dobrze, papierki drożeją, gdy źle — wszystko djabli biorą. Będiesz miał „bumażki“, ale pieniędzy nie powąchasz. A gdzie miasto? — spytasz. Spaliło się — powiedzą — nie ukończono budowy a wynalazca umknął z twoimi pieniędzmi. Otóż to są te akcje! Niemiec go do tego wciągnie! Dziwić się trzeba, że dotychczas nie wciągnął. Ja ciągle przeszkadzałem — z życzliwości dla „ziemlaka“.

— Tak, z tem rzecz skończona. Sprawa zdecydowana i złożona do archiwum. Już więcej „obroków“ nie będziemy ściągać w Obłomówce... — mówił dobrze podпиты Muchojarow.

— Czort z nim razem, kumie! Ty masz tyle pieniędzy, że choć łopata garnać! — odpowiedział Tarantjew, także w stanie już nieco zamglonym. — Źródło masz pewne, czerpaj tylko, nie przestawaj. Wypijmy.

— Co za źródło, kumie? Po rublu, po trzy całe życie zbierać!

— Ale już dwadzieścia lat, kumie, zbierasz, nie grzesz przynajmniej!

— No, naliczyłeś już dwadzieścia! — bełkocąc

trochę odezwał się Iwan Matwieicz. — Zapomniałeś, że dopiero dziesiąty rok jestem sekretarzem. A przedtem dziesięcio- i dwudziesto-kopiejkówki wpadały do kieszeni. Niekiedy, wstyd powiedzieć, i miedziaki trzeba było brać. Co to za życie! Ach, kumie! Są na świecie tacy szczęśliwi ludzie, że za jedno słowo, które jeden drugiemu szepnie, albo wiersz jeden napisze na papierze lub nazwisko swoje, odrazu tak spuchnie kieszeń jak poduszka... choć głowę przykładaj i śpij. Ot, gdyby tak popracować... — zamarzył, coraz bardziej pijany. — Nikt do nich nawet zbliżyć się nie śmie, nikogo nie widzą. Siądzie do karety: „do klubu!“ — krzyknie, a tam w klubie... tam w gwiazdy strojni panowie rękę mu ścisną... w karty gra nie po piętaczku, a obiady jada... obiady — ach! O „selance“¹⁾ mówić nawet mu się wstydzą, zmarszczy się i plunie. W zimie kurczęta dla nich hoduja na obiad, w kwietniu podają poziomki! W domu żona w jedwabiach chadza, do dzieci — guwernantka, dzieciaki uczesane, ubrane jak lalki. Ach, kumie! Jest raj na świecie, ale grzechy nie puszczają! Wypijmy! Ot i „selankę“ niosą.

— Nie uskarżaj się kumie, nie grzesz! Kapitalik masz — i dobry! — mówił prawie pijany Tarantjew, z krwią nabiegłymi oczyma. — Trzydzieści pięć tysięcy srebrem — nie żarty!

— Ciszej, ciszej, kumie! — przerwał Iwan Matwieicz. — Cóż! Zawsze tylko trzydzieści pięć, kiedyż do pięćdziesięciu dosięgnę? Ale i z pięćdziesięciu nie trafisz jeszcze do raj. Ożenisz się — żyj ostrożnie, obliczaj każdy rubel, o rumie jamajskim zapomnij myśleć nawet — co to za życie!

¹⁾ Selanka — potrawa przyrządzona ze śmietany, maki i żółtek.

— Daj spokój, kumie! Ten da rubla, ów dwa, obliczysz się — w ciągu dnia siedem rubli do kieszeni wpadło. Nikt cię nie posądzi, nikt się nie przyczepi — ani plamy, ani dymu. A pod wielką sprawą podpiszesz się czasem, a potem całe życie trzeba bokami wyskrobywać! Nie kumie, nie narzekaj!

Iwan Matwieicz nie słuchał, lecz dawno myślał o czemś innym.

— Słuchajno — zaczął nagle, wytrzeszczywszy oczy i ucieszony czemś tak, że mu przytomność prawie wróciła — nie, nie powiem, nie wypuszczę z głowy takiego ptaszka. To skarb prawdziwy... Wypijmy kumie jeszcze! Prędej!

— Nie będę pić póki nie powiesz! — mówił Tarantjew, odsuwając kieliszek.

— Sprawa, kumie ważna — szeptał Muchojarow, spoglądając na drzwi.

— Cóż? — niecierpliwie nalegał Tarantjew.

— Natrafiłem na skarb. Wiesz co, to wszystko jedno, co pod wielką sprawą podpisać imię swoje, jak Boga kocham, tak!

— Cóż takiego? Mów!

— A „mohorycz“ jaki będzie?

— Więc cóż?

— Poczekaj, pozwól jeszcze pomyśleć. Tak, tego nie można skasować — tu prawo. Niech już tak będzie kumie — powiem i to tylko dlatego, że potrzebna twoja pomoc. Bez ciebie nie pójdzie gładko. Inaczej, Bóg mi świadkiem, nigdybym nie powiedział. Nie jest to taka sprawa, aby inni mogli wiedzieć o niej.

— Czyż ja dla ciebie „inny“ jestem kumie?

Nieraz, zdaje się, usłużyłem ci, świadkiem bywałem i kopję... pamiętasz? Taka świnia jesteś!

— Kumie, kumie! Trzymaj język za zębami. Ot, jaki ty jesteś! Od ciebie grzmi, jak z armaty.

— Jaki tu djabeł podsłuchiwać nas będzie? Cóż to nieprzytomny jestem, czy co? — mówił Tarantjew ze złością. — Poco ty mnie męczysz? Gadać!

— Słuchaj więc: Ilja Iljicz jest tchórzem podszyty, nie zna żadnych porządków. Wtedy przeczytawszy kontrakt, stracił głowę; przysłali pełnomocnictwo — nie wiedział od czego zacząć, nie pamiętał nawet, ile „obroków“ ściagał z chłopów. Sam mówił że nic nie wie.

— Więc cóż? — niecierpliwie pytał Tarantjew.

— Widzisz, on do siostry bardzo często zagląda. Niedawno zasiedział się do pierwszej godziny, wychodząc zetknął się ze mną w przedpokoju i udał, że mię nie widzi. Poczekajmy jeszcze trochę, zobaczymy, co będzie, a wtedy... Ty na stronie z nim pogadasz — powiedz, że to hańba dla domu, że wstydu do domu wprowadzać nie powinien, że ona wdowa, powiesz, że już o tem dowiedzieli się ludzie, że teraz już zamaż nie wyjdzie, że starał się o nią bogaty kupiec, lecz dowiedziawszy się, że on wieczorami przesiaduje, odstąpił.

— Cóż? On się przestraszy, położy się do łóżka, będzie się w niem obracał jak wieprz, wzdychał — i tyle będzie wszystkiego — zauważył Tarantjew. — Jaka stąd korzyść? Zaco wypijemy „mohorycz“?

— Ach, ty! Powiedz mu, że wniosę na niego skargę... że go podpatrzyli... że są świadkowie...

— I cóż?

— Jeżeli się bardzo przełęknie, powiesz mu, że można tę sprawę załagodzić... dać trochę pieniędzy...

— Skąd on ma pieniądze? — rzekł Tarantjew. — Obiecać może ze strachu choćby i dziesięć tysięcy...

— Daj mi tylko znać — zaraz napiszę skrypcik dłużny: „Ja, Obłomow, pożyczyłem od takiej i takiej wdowy dziesięć tysięcy, z obowiązkiem spłacenia i t. d.“

— Jakiż pożytek z tego wszystkiego, kumie? Pieniądze otrzyma siostra i jej dzieci, a z czegoż będzie „mohorycz“?

— Siostra wyda mi skrypt dłużny na taką samą sumę. Dam jej do podpisu.

— Jeżeli nie zechce podpisać? Uprze się?

— Kto, siostra?

Iwan Matwieicz śmiać się począł cieniutkim głosem.

— Podpisze kumie, podpisze. Nawet wyrok śmierci na siebie podpisze. Nie zapyta nawet co podpisuje, tylko się uśmiechnie. Podpisze krzywo: Agafja Matwiejewna, i nigdy nie dowie się co podpisała. Uważasz, my będziemy w porządku. Siostra będzie miała pretensję do sekretarza kolegjalnego, Obłomowa, a ja do jego żony, Pszenicynowej. Niech wtedy Niemiec rzuca się jak chce — zakończył, podniósłszy drżące ręce do góry. — Wypijmy kumie!

— Zupełnie według prawa! — wykrzyknął zachwycony Tarantjew. — Wypijmy!

— A jak się to raz uda, można po dwóch latach powtórzyć. Zupełnie według prawa.

— Zupełnie według prawa — skinął głową na znak zgody Tarantjew. — A więc i my powtórzmy!

— Powtórzmy!

Znowu wypili.

— Gdyby twój ziemiak uparł się i napisał do Niemca — zauważył z obawą Muchojarow — wtenczas bracie, źle będzie. Nie można żadnego procesu wytoczyć, ona przecież jest wdową, nie dziewczyną!

— Napisze? Pewnie! Za dwa lata chyba napisze — rzekł Tarantjew. — A jeśli upierać się będzie — wyłaje!

— Nie, nie, Boże uchovej! Wszystko zepsujesz kumie: powie, że go zmuszono, może nawet powie żeś go bił, a wtenczas to sprawa kryminalna. Można z nim przedtem zakąsić i wypić. On lubi wódeczkę na liściu bżowym. Gdy mu się we łbie zakurzy, migniesz do mnie, a ja z pisemkiem przyjdę. Nie popatrzy nawet jaka suma, jak wtenczas kiedy kontrakt podpisywał, a potem jak przez notariusza będzie dokument zaświadczony — niech szuka wiatru w polu. Wstyd będzie przyznać się takiemu panu, że po pijanemu podpisał. A rzecz według prawa słuszną!

— Zupełnie według prawa! — zawyrokował Tarantjew.

— Niech wtedy Obłomówka przejdzie do sukcesorów!

— Niech przejdzie! Wypijmy kumie!

— Za zdrowie niedołęgów! — rzekł Iwan Matwieicz.

I wypili.

IV.

Musimy się teraz cofnąć wstecz, zanim Sztolc przyjechał na imieniny Obłomowa, do innych miejsc, daleko od Wyborgskiej strony. Tam spotkamy znajome nam osoby, o których Sztolc nie wszystko jeszcze, co wiedział, zakomunikował Obłomowowi. Może miał jakie powody po temu, a może wprost, Obłomow nie pytał o wszystko — także zapewne nie bez powodu.

Raz w Paryżu Sztolc szedł bulwarem i roztartym wzrokiem spoglądał na przechodniów, na szyby magazynów, nie zatrzymując wzroku na niczem. Długi czas nie miał już listów z Rosji — ani z Kijowa, ani z Odesy, ani z Petersburga. Było mu przykro. Odnosił był właśnie trzy listy na pocztę i wracał do domu.

Nagle wzrok jego zatrzymał się na czemś nieruchomo i z ciekawością, ale wkrótce się zrównoważył... Jakieś dwie panie zeszły z bulwaru i wstąpiły do sklepu.

— Nie, nie może być — myślał — co za myśl! To nie one. Przecież wiedziałbym o tem.

Mimo to zbliżył się do wystawy magazynu i przez okno zaczął się paniom przypatrywać.

— Nic nie dojrzę — zwrócone są tyłem do okna. Sztolc wszedł do sklepu i zaczął coś wybierać.

Jedna z pań odwróciła się — poznał Olę Iljińską. Ale jakże zmieniona! Chciał się zbliżyć — wahał się — może to nie ona! Począł się wpatrywać.

Boże! jaka zmiana! Ona — i nie ona. Rysy twarzy dawne, ale blada, oczy nieco zapadłe, nie ma dawnego dziecinnego uśmiechu na ustach, nie ma dawnej naiwności, dobroduszości. Na czole wisi myśl niby smutna, niby poważna, w oczach jakiś dziwny wyraz, którego dawniej nie było. Spojrzenie jej nie jest jak dawniej, jasne, otwarte, a na całej twarzy, niby mgła, wiesza się obłok smutku.

Sztolc zbliżył się do niej. Brwi Olgi ściągnęły się trochę, patrzyła na niego przez chwilę z wahaniem, potem go poznała. Brwi ułożyły się symetrycznie, oczy błysnęły głęboko, jakąś jasną i cichą radością. Każdy brat czułby się szczęśliwym, gdyby się tak do niego uśmiechnęła ukochana siostra.

— Boże mój! Czy to pan? — zawołała głosem pełnym serdecznej radości.

Ciotka odwróciła się nagle i wszyscy troje zaczęli mówić razem. Sztolc robił im wymówkę, że nie pisały do niego — panie się usprawiedliwiały. Od trzech dni dopiero są w Paryżu i wszędzie go szukają. W jednym miejscu powiedziano im, że wyjechał do Lyonu — zgubiły ślad, nie wiedziały co robić.

— Jakże to się stało? Ani słowa do mnie! — rzekł Sztolc z wymówką.

— Zdecydowałyśmy się tak nagle, że niechciałyśmy pisać. Olga chciała zrobić panu niespodziankę.

Spojrzał na Olę, lecz w twarzy jej nie znalazł potwierdzenia słów ciotki. Przypatrywał się jej

pilnie, ale Olga była nieprzenikliwa, niedostępna dla jego spostrzeżeń.

— Co się z nią stało? — myślał Sztolc. — Dawniej odgadywałem wszystko, a teraz — jaka zmiana!

— Jak się pani rozwinęła, Olgo Siergiejewno, wyrosła, dojrzała — powiedział głośno — zupełnie nie poznaję pani! A przecież ledwie rok minął od naszego ostatniego widzenia się. Co pani robiła? Co się z panią działo? Proszę opowiadać, opowiadać!

— Właściwie... nic nadzwyczajnego — odpowiedziała, przypatrując się jakiejś materji.

— Jakże śpiew pani idzie? — mówił Sztolc, badając nową dla niego Olgę i starając się wyczytać z jej twarzy nieznane mu myśli, ale myśli uciekały i chowały się.

— Dawno nie śpiewałam... od dwóch miesięcy może — odpowiedziała niedbale.

— A cóż się dzieje z Oblomowym? — rzucił nagle pytanie. — Czy zdrow? Nie pisze do mnie wcale.

Olga byłaby może zdradziła tajemnicę, gdyby jej na ratunek nie przyszła ciotka.

— Proszę sobie wyobrazić — rzekła, wychodząc z magazynu — bywał u nas codziennie, nagle znikł. Gdyśmy się wybierały wyjechać za granicę, posłałam dowiedzieć się o niego. Powiedziano chory — nie przyjmuje nikogo. I tak nie-widzieliśmy się wcale.

— I pani nic nie wie? — spytał z pewną troskliwością Olgę.

Olga pilnie lornetowała przejeżdżający powóz.

— On rzeczywiście zachorował — powiedziała, przypatrując się powozowi.

Zwróciła się do ciotki.

— Czy to nie pojechali nasi towarzysze podróży?

— Nie — napierał się Sztolc — niech mi pani zda relację o moim Iljuszy. Co pani z nim zrobiła? Dlaczego nie kazała mu pani jechać ze sobą?

— *Mais ma tante vient de dire* — odrzekła.

— On bardzo leniwy — zauważyła ciotka — i straszny dzikus. Jak tylko kilka osób zebrało się u nas, zaraz uciekał. Proszę sobie wyobrazić, abonował się na fotel w operze i nawet do połowy nie wytrwał.

— Rubiniego nie słyszał — dodała Olga.

Sztolc głową pokiwał i westchnął.

— Jakże to panie zdecydowały się na wyjazd? Czy na długo? Skąd przyszło do tego? — wypytывał.

— Wszystko dla niej, z porady lekarza — rzekła ciotka, wskazując Olę. — Petersburg bardzo niedobrze na nią oddziaływał. Wyjechałyśmy pod zimę, ale nie jesteśmy jeszcze zdecydowane, gdzie ją spędzimy, w Nizy, czy w Szwajcarji.

— Tak, pani się bardzo zmieniła — zauważył Sztolc, pilnie wpatrując się i badając całą postać Olgi.

Pół roku przemieszkwały panie w Paryżu. Sztolc był codziennym i jedynym ich gościem i ciceronem.

Zdrowie Olgi poczęło się poprawiać widocznie: od zamyślenia przeszła do spokojnej obojętności — przynajmniej nazewnątrz. Co się działo w głębi jej duszy — Bogu wiadomo. Powoli jednak, w stosunku do Sztolca stawiała się po dawnemu przyjacielską, chociaż już nie śmiała się, jak dawniej, wesołym, dziecinny, srebrnym śmiechem, lecz tylko uśmiechała się dyskretnie, gdy Sztolc starał

się ją rozbawić. Niekiedy przykro jej nawet było, że — śmiać się nie może.

Sztolc spostrzegł, że Olgi już nie można rozśmieszać. Często jakiegoś wesołego dowcipu Sztolca wysłuchiwała z niesymetrycznie podniesionemi brwiami, ze zmarszczką na czole — i nie uśmiechała się wcale, tylko milcząco patrzyła na niego jakby chciała zrobić wymówkę za lekkomyślny żart. Czasem w odpowiedzi na żart, rzucała jakieś poważne zapytanie i wpatrywała się weń tak uporczywie, czekając odpowiedzi, że Sztolc wstydził się swojej lekkiej rozmowy.

Niekiedy na twarzy jej odbijało się takie wewnętrzne zmęczenie z powodu codziennego beztreściowego życia i pustej rozmowy, że Sztolc nieraz przechodzić musiał do poważnych tematów, których zwykle z kobietami nie poruszał. Dużo myśli i energii traciło się nato, ażeby zamglony wzrok Olgi rozjaśnić i uspokoić i aby nie pragnął, nie szukał czegoś jeszcze poza odpowiedzią.

Sztolc niepokoił się, gdy z powodu niedokładnego wyjaśnienia, spojrzenie Olgi przybierało wyraz suchy, surowy, brwi jej ściągały się, a na twarzy zapadał cień milczącego, ale głębokiego niezadowolonia. Musiał przez kilka dni wysilać wszystkie swój rozum, przebiegłość, zapal i znajomość kobiet, ażeby z trudem, powoli wydobyć z serca Olgi uśmiech, rozjaśniający twarz łagodnem spojrzeniem.

Wieczorem wracał niekiedy do domu, zmęczony tą walką wewnętrzną, lecz czuł się rozradowany, gdy z tej walki wychodził zwycięsko.

— Jak ona dojrzała, mój Boże! — myślał. — Jak się rozwinęła ta dziewczyna. Kto był jej

mistrzem? U kogo ona brała lekcje życia? U barona? Nie, z jego pustych, gładkich frazesów nie nie można było zaczerpnąć. U Iljuszy? — Chyba także nie...

Nie mógł zrozumieć Olgi. Na drugi dzień znowu biegł do niej i z trudnością, powoli odcyfrowywał hieroglify jej oblicza, nieraz z jakąś trwogą, ale zwycięsko, odczytywał te wszystkie pytania, wątpliwości, wymagania, wszystko co tylko odbijało się w rysach jej twarzy.

Z doświadczeniem zapuszczał się Sztolc w labirynt jej rozumu i charakteru. Codziennie wykrywał i badał nowe rysy i fakty, a mimo to do dna jeszcze nie sięgnął. Z niepokojem i podziwem przekonywał się, że jej rozum potrzebuje codziennego chleba, a dusza milknie, pragnąc doświadczenia i życia.

Do tak obszernej działalności Sztolca, przybywała jeszcze cudza działalność i życie. Otoczywszy Olgę kwiatami, książkami, nutami i albumami, Sztolc uspokajał się, przypuszczając, że na długo wypełnił dnie swojej przyjaciółki i szedł do pracy. Oglądał jakieś kopalnie, jakąś świetnie urządzoną fermę, bywał w towarzystwie, robił znajomości, stykał się z nowymi albo wybitnymi ludźmi. Potem wracał do Olgi zmęczony, siadał obok fortepianu i wypoczywał przy dźwięku jej śpiewu. Nagle na twarzy jej dostrzegał już nowe zapytania i uporczywe szukanie odpowiedzi. Niepostrzeżenie, mimowolnie, powoli opowiadał jej co widział i czem się zajmować.

Czasem Olga objawiała chęć oglądania i poznania tego co on poznał. Wówczas Sztolc jechał z nią, oglądał znowu te same budynki, miejsco-

wości, maszyny, odczytywał na ścianach i na kamieniach stare napisy. Powoli przyzwyczaił się myśleć przy niej głośno, wypowiadać się i nagle, zbadawszy siebie, przekonał się, że nie sam żyje, że żyją we dwoje, wspólnie z Olgą, nieomal od chwili jej przyjazdu do Paryża.

Prawie nieświadomie, jak przed sobą samym, zwierzał się przed nią z nowonabytego skarbu, dziwiąc się zaszłym zmianom. Potem sprawdzał troskliwie, czy niema jakich wątpliwości w jej wzroku, czy nie świeci tam zorza zadowolonej myśli, i czy wzrok jej biegnie za nim jak za zwycięzcą.

Gdy się to dało sprawdzić, wracał do domu z dumą, wzruszony i długo w nocy, wśród ciszy, przygotowywał się do dnia jutrzejszego. Najnudniejsze codzienne zajęcia nie wydawały mu się nudnemi, lecz tylko koniecznemi; głęboko wciśkały się w jego istotę, w życie. Myśli, spostrzeżeń i zjawisk nie składał milcząco i niedbale do archiwum pamięci — one nadawały swoją barwę całemu dniowi.

Gorąca zorza oświeślała twarz Olgi, gdy Sztolc, nie czekając jej pytającego, ciekawego spojrzenia, rzucał przed nią z ogniem i energją nowy zapas materiałów do przemyslenia.

I sam Sztolc czuł się bardzo szczęśliwym, gdy widział, jak umysł jej z troskliwością i miłą pokorą, śpieszył znaleźć odpowiedź w jego spojrzeniu, w jego słowach. Oboje patrzyli pilnie: on na nią, czy niema jeszcze jakiego pytania w jej oczach, — Olga na niego: czy zostało co jeszcze niedopowiedzianego, czy nie zapomniał o czem, a przede-wszystkiem czy nie zaniedbał odkryć przed nią

jakiego niedostępnego kącika, czy dokończył rozwijania jakiejś myśli?

Im ważniejszą, bardziej skomplikowaną była jakaś kwestja, im pilniej była przez niego rozwijana, tem dłużej i pilniej zatrzymywał się na nim jej wzrok ciekawy, i wtedy wzrok ten wydawał się bardziej serdecznym i głębszym.

— To dziecko — szeptał Sztolc myśląc o Ol-dze — wkrótce mnie przerośnie.

Na wiosnę wszyscy wyjechali do Szwajcarji. jeszcze w Paryżu Sztolc przyszedł do przekonania, że bez Olgi niema dla niego życia. Rozwiązawszy to pytanie, począł zastanawiać się i nad drugim: czy Olga może żyć bez niego? Pytanie to nie było łatwem do rozwiązania.

Przystępował do tej sprawy oględnie, ostrożnie, szedł albo szukając drogi, albo śmiało i myślał: jeszcze trochę a będę bliskim celu, znajdę jakiś pewny znak, spojrzenie, słowo; nudy lub radość z mojej obecności. Jeszcze parę drobiazgów braknie: ledwie dostrzegalnych poruszeń brwi Olgi, jej westchnienia — a jutro tajemnicy już nie będzie — ona mnie kocha.

W twarzy jej dostrzegał dziecinne prawie zaufanie do siebie; patrzyła na niego tak jak nigdy na nikogo; jak patrzyłaby chyba tak na matkę, gdyby ją jeszcze miała.

Wizyt jego, całych dni poświęconych dla niej, Olga nie uważała jako jakąś grzeczność, chęć przypodobania się dla pozyskania miłości, dobroć serca, ale wprost jako obowiązek, jak gdyby on był jej bratem, ojcem lub nawet mężem — było to już bardzo wiele. W każdym słowie, które z nim zamieniała, w całym swoim postępowaniu była tak

swobodną i szczerą, jak gdyby uznawała jego niezaprzeczoną wartość i powagę.

Sztolc wiedział, że tę siłę wobec niej posiada: Olga każdej chwili dawała mu to do zrozumienia, mówiąc, że ufa tylko jemu, a w życiu polega tylko na nim, więcej na nikim w świecie.

Był dumny tem zaufaniem, ale tem mógł być dumny także jakiś stary, rozumny i doświadczony wujaszek, nawet baron, gdyby to był człowiek z jasną głową i dzielnym charakterem.

Ale czy to była miłość? — to pytanie. Czy w jej zachowaniu się było cokolwiek tego czarującego samoludzenia się, tego zaślepienia, któremi kobieta mogła się upajać i czuć się szczęśliwą — nawet pomimo omyłki!

Nie, Olga zbyt świadomie mu ulegała. Wprawdzie oczy jej błyszczały gdy Sztolc rozwijał przed nią jakąś ideę; obnażała swoją duszę, obrzucała go promieniami swoich spojrzeń, ale zawsze widać było dlaczego — ona sama wyjaśniała przyczynę. W miłości zasługę zdobywa się ślepo, nieświadomie, i w tej właśnie nieświadomości, w tym braku wszelkiego rachunku spoczywa odrobina szczęścia. Jeśli się czuła obrażoną — zaraz było widać za co.

Niespodziewanego rumieńca, ani radości aż do przestachu, lub tęsknego i drżącego ogniem spojrzenia Sztolc nie spostrzegł nigdy. Gdy nawet objawiało się coś podobnego, to zdawało mu się, że twarz jej wtedy jak gdyby bólem drgnęła. Raz gdy jej powiedział, że w najbliższych dniach wyjedzie do Włoch — ona drgnęła, zarumieniła się i pobladła, a jemu serce prawie bić przestało z radości, że wiadomość ta zrobiła na niej takie wrażenie — lecz po chwili Olga naiwnie i spokojnie rzekła;

— Jaka szkoda, że nie mogę z panem pojechać, a chciałabym bardzo! Ale pan wszystko mnie tak opowie, jak gdybym tam była.

I cały czar prysł pod wpływem tych naiwnych słów, nieukrywanych przed nikim i tej pospolitej, zwyczajnej pochwały jego umiejętności opowiadania. Gdy tylko udało się Sztolcowi zebrać drobniotkie okruchy, uprząść jakąś wątłą tkaninę miłości, tak że zdawałoby się iż braknie tylko ostatniego ognia... Olga znowu stawiała się spokojną i zrównoważoną, a niekiedy chłodną. Siedziała, pracowała i słuchała go milcząco. Czasem podnosiła głowę i stawiała mu takie ciekawe zapytania, wprost odnoszące się do rzeczy, że Sztolc z gniewem rzucał książkę lub przerywa jakieś wyjaśnienia, zrywał się i uciekał. Widział jak ona przeprowadzała go zdziwionym wzrokiem, sumienie go tknęło, zatrzymywał się i wracał, wymyśliwszy cokolwiek na swoje usprawiedliwienie.

Olga wysłuchiwała — i uwierzyła. Nawet na jej twarzy nie można było dostrzec wątpliwości lub złośliwego uśmiechu.

— Kocha, czy nie kocha? — plątały mu się w głowie dwa pytania.

— Jeśli kocha, dlaczegoż tak ostrożna? Jeśli nie kocha — dlaczego tak uprzedzająca i pełna pokory?

Sztolc miał zamiar wyjechać na tydzień z Paryża do Londynu i w dzień wyjazdu przyszedł powiedzieć jej o tem.

Gdyby Olga przelekła się nagle, gdyby się zmienił wyraz jej twarzy — wystarczyłoby! Zagadka byłaby rozwiązana, a on uważałby się za szczęśliwego. A tymczasem ona uściśnęła mu mocno

rękę i zasmuciła się. To go do rozpaczyny doprowadzało.

— Będzie mi bardzo przykro — powiedziała — gotowam płakać. Jestem teraz jak sierota. Widzi ciotka, Andrzej Iwanycz odjeżdża — dodała rzewnie. To podcięło Sztolca.

— Do ciotki się zwraca — myślał — tego chyba jeszcze brakowało. Widzę, że jej przykro będzie, że mnie kocha..., ale takiej miłości można kupić jak papierów na giełdzie — na taki a taki czas, na tyle a tyle uwagi lub zainteresowania się. Co się z nią stało? Olga — ta dziewczynka, która niegdyś jak po równej linii szła za moją myślą — teraz? Co to jest?

Sztolc zapadał w głęboką zadumę.

Co się z nią stało? Sztolc nie wiedział, że Olga już raz kochała, że już pozbyła się dziewiczej nieumiejętności kierowania sobą, nagłych rumieńców, nieoczekiwanych bólów serca, gorączkowych oznak miłości, pierwszych uniesień.

Gdyby to był wiedział, to jeśli nie tajemniczą odpowiedź na pytanie: kocha czy nie kocha, byłby jednak potrafił odgadnąć co się z nią dzieje.

W Szwajcarii zwiedzali wspólnie te wszystkie miejscowości, które zwykle zwiedzają podróżni, ale najczęściej, z największą przyjemnością zatrzymywali się w cichych, zapadłych kątach, mało odwiedzanych. Oboje, a właściwie tylko Sztolca tak pochłaniała jego własna sprawa, że podróż była dlań nużącą i zajmowała w życiu jego drugie miejsce.

Chodził z nią po górach, zaglądał w przepaści, oglądał wodospady, ale wszędzie myślał tylko o niej. Chodził za nią wąską drożyną, gdy ciotka u stóp góry siedziała w powozie, śledził pilnie

w cichości, czy ona gdy zatrzyma się na szczycie, odetchnie szeroko, przedewszystkiem nie spojrzy na niego. Wiedział, że tak uczyni, i był tego pewny.

To go uspokajało. Serce jego odczuwało jasność i ciepło, gdy nagle Olga obrzucała okiem okolicę, zaniemiała zapatrzyła się — a on znikał przed nią.

Ledwie się ruszył, słówko o sobie powiedział, ona przelekła się, krzyknęła nawet czasem — oczywiście zapominała czy on był przy niej, czy go niebyło, wogóle czy on istnieje na świecie.

Ale po powrocie, w domu, przy oknie, na balkonie Olga rozmawiała tylko z nim, rozmawiała długo, wydobywała z duszy wrażenia dopóki nie wypowiedziała się zupełnie; mówiła namiętnie, z uniesieniem, zatrzymywała się chwilkę, wyszukiwała wyrazy, chwytła w lot podpowiedziane, a w spojrzeniu jej widać było wdzięczność dla niego... Siadała czasem na fotelu, zmęczona do niemożliwości, ale chciwe wrażeń i ciekawe jej oczy mówiły, że rada go słuchać będzie.

Słuchała prawie nieruchoma, ale nie opuściła jednego wyrazu, jednego jakiegoś rysu. Sztolc już przestał mówić, ona słuchała jeszcze, oczy jeszcze pytająco zwrócone były do niego, a on rozumiał znaczenie tych spojrzeń i mówił dalej z nowym zapalem, z nowem uniesieniem.

Wszystko tak dobrze — jasno, spokojnie, ciepło, serce bilo równomiernie. Zdawałoby się, że ona teraz właśnie żyła pełnem życiem. Niczego jej nie trzeba, tu jej świat, ciepło, życie. Nagle wstała zmęczona i te same ciekawe pytające do niedawna oczy, zdawały się mówić: odejdz! lub: chcę jeść — i jadła z apetytem...

Wszystko to byłoby zrozumiałem, dobrem; Sztolc nie był marzycielem. Nie życzył on sobie namiętnej

miłości jak nie życzył jej sobie i Oblomow, tylko z innych względów. Ale on pragnąłby, ażeby fala uczucia popłynęła równą linją, lecz buchnęła wrzątkiem u źródła, z którego możnaby zaczerpnąć uczucia na całe życie i mieć świadomość skąd wypływa strumień szczęścia.

— Kocha mnie, czy nie? — pytał siebie z męczącym wzruszeniem, prawie do łez.

Pytanie to zaogniało się w nim coraz bardziej, otaczało go jak płomień, unieruchomiło jego zamiary. Była to już kwestja nie miłości, lecz życia. Na nic innego już nie było miejsca w jego duszy.

Zdawało mu się nieraz, że w ciągu tego półrocza zwaliły się na niego wszystkie męki i rozpacz miłości, których on dotychczas tak zręcznie unikał w stosunkach z kobietami.

Czuł, że jego mocny organizm nie wytrzyma tych prób, jeśli trwać będą jeszcze miesiące takiego napięcia rozumu, woli i nerwów. Zrozumiał, czego dotychczas zrozumieć nie mógł, ile sił się traci w tych wewnętrznych walkach duszy z namiętnością, jak tworzą się w sercu nieuleczalne, bezkrwawe rany, wywołujące cierpienia, z których życie ucieka.

Opuszczała go powoli dotychczasowa pyszałkowska pewność siebie: Sztolc już nie żartował lekomyślnie, jak dawniej, słuchając opowiadań jak inni tracą rozum z miłości; marnieją bez widomej przyczyny, a między innymi także — z miłości.

Lęk go począł ogarniać.

— Nie, trzeba z tem wszystkiem skończyć — myślał. — Zajrzę do głębin jej duszy jak dawniej, i jutro albo powiem, że jestem szczęśliwy, albo odjadę.

— Nie mam już siły! — mówił sam do siebie,

patrzac do lustra. — Do czegom ja stal sie podobny?
Dosyc tego...

Postanowil pojsc wprost do celu — rozmowic sie
z Olga.

A coz Olga? Czy niedostrzegala co sie w nim
dzialo, czy tez byla tylko dla niego zupełnie obo-
jetna?

Nie mogla nie dostrzec tego, co sie dzialo w du-
szy Sztolca. Nie takie czujne i bystre kobiety jak
ona potrafia odróżnic przyjazn i grzeczność od in-
nego bardziej czulego uczucia, a coz dopiero Olga!
Nie bylo w niej zadnej kokieteryj — natura to byla
prosta, szczera i wysoce moralna. Nie potrzebowała
poslugiwac sie kokieteryja, panowala nad nia.

Pozostaje jedno: przypuscic, ze jej podobalo sie,
bez zadnych widokow praktycznych, ze czlowiek
takiej niezwyklej miary jak Sztolc, sklada jej
czolobitność, pełna rozumu i namietności. Bylo to
do pewnego stopnia rekompensata jej obrazonej
milosci własnej i powoli podnosilo ja na te wyzyne,
z jakiej upadla; odradzala sie jej duma niewiescia.

Jakze — myslala Olga — czem moze sie za-
konczyc ta czolobitność? Nie mogla ona przecie
zawsze objawiac sie tylko zaciekawieniem Sztolca,
a jej uporczywem milczeniem. Czy tez ona prze-
czuwala przynajmniej, ze ta dluga walka jego
nie bedzie daremna, ze wkońcu on wygra sprawe,
w ktora wlozyl tyle sily i charakteru? Czy
tracil bezuzytecznie plomien i blask milosci? Czy
w tych promieniach utonie obraz przezytej milosci?

Olga nie rozumiala tego wszystkiego, nie uświa-
domiala sobie jasno i walczyła rozpaczliwie z temi
watpliwosciami i sama ze soba; niewiedziala jak
wyjsc z chaosu myśli.

Jak się to wszystko rozwiąże? /Niepewne położenie trwać długo nie może. Kiedys od niemej gry i walki, zamkniętej w piersi musi przyjść do słów, a wtedy co ona powie o tem, co przeżyła? Jak się odezwie do Sztolca i jakim wyrazem nazwie uczucie swoje do niego?

Jeżeli ona go kocha, to czemu była tamta miłość? Kokieterją, lekkomyślnością, czy może jeszcze czemś gorszem? Twarz jej buchała ogniem, a wstyd wywoływał rumieńce na twarzy na samo wspomnienie, o tem co było. Takiego oskarżenia samej siebie ona nie uczyni.

Jeśli tamto było pierwszą czystą miłością, to czemu jest jej stosunek do Sztolca? Czyż tylko zabawką, oszukiwaniem i zręcznym rachunkiem, ażeby go wciągnąć i zmusić do ożenienia się i pokrycia w ten sposób lekkomyślność jej zachowania się? Chłód ją ogarniał, twarz pokrywała się bladością na samo przypuszczenie takiej myśli.

A jeśli nie zabawka, nie oszukiwanie, nie rachunek, zatem — miłość? Gubiła się w domysłach — więc druga miłość w siedem, osiem miesięcy po pierwszej. Któż jej uwierzy? Jak ona wymówi ten wyraz i nie wywoła zdziwienia, a może nawet pogardy? Pomysłuć nawet o tem nie może, nie ma prawa.

Olga cofnęła się w przeszłość swoją — innych — i tam nie znalazła żadnej odpowiedzi na temat drugiej miłości. Przypomniła sobie słowa ciotek, starych panien, różnych przemądrzałych kobiet, wreszcie pisarzy — „myślicieli“ w kwestji miłości, ze wszystkich stron słyszała tylko jeden, nieublagany wyrok — prawdziwie kochać można tylko raz jeden w życiu. Taki sam wyrok wydał i Oblomow,

Pomyślała sobie: coby też powiedziała Sonieczka o drugiej miłości? od osób, przyjeżdżających z Rosji słyszała, że ona drugą już przeżyła, a jest w okresie trwania — trzeciej.

Tak Olga odpychała od siebie myśl, a nawet możliwość miłości dla starego przyjaciela.

Nie, zdecydowała — w sercu jej nie może być miłości dla Sztolca. Ona kochała Oblomowa i miłość ta zgasła; kwiat życia uwiadł na zawsze. Zatem w jej sercu może być tylko przyjaźń dla Sztolca, oparta na jego świetnych przymiotach, na jego przyjaźni dla niej, na zaufaniu.

Oto w tem leżała przyczyna, dlaczego Sztolc nie mógł znaleźć ani w wyrazie jej twarzy, ani w słowach żadnego śladu ani zupełnej obojętności, ani przelotnej błyskawicy, ani nawet iskierki uczucia któreby o włos bodaj przekraczało granice serdecznej ale zwykłej przyjaźni.

Ażeby skończyć z tą niepewnością, pozostawało tylko jedno wyjście: dostrzegłszy początki rodzącej się miłości u Sztolca, nie podtrzymywać jej niczem i wyjechać jak najrychlej. Ale Olga straciła dużo czasu — stało się to już dawno. Nie przypuszczała, ona, że uczucie Sztolca przybierze charakter namiętności; to nie Oblomow, od niego nie można było odjechać.

Przypuśćmy, że byłoby to nawet możliwe, ale moralnie czuła się ona skrupowaną: z początku była ze Sztolcem na stopie przyjaźni — był to wesoły, dowcipny, ironiczny towarzysz rozmowy, ale także pewny siebie i głęboki spostrzegacz zjawisk życia, wszystkiego co się zdarzało nie tylko z nimi, ale przesunęło się koło nich i interesowało ich.

Ale im częściej widywali się, im bardziej zbliżali

się moralnie, tem bardziej zmieniała się rola Sztolca: ze zwykłego spostrzegacza stawał się jej doradcą i kierownikiem. Niewidocznie stawał się jej rozumem, jej sumieniem, a stąd rodziły się nowe prawa, powstawały nowe tajemne związki, które ogarniały całe życie Olgi, całą jej istotę z wyjątkiem jednego ukrytego kącika, do którego starannie nie dopuszczała jego spostrzeżeń i sądów.

Olga pogodziła się z moralną opieką Sztolca nad jej rozumem i sercem, ale widziała, że i sama uzyskiwała wpływ na niego. Zamienili prawa swoje — Olga powoli, nieznacznie uznała tę zamianę.

Jakże to wszystko opuścić nagle? Zresztą — tyle w tem zajęcia, przyjemności, różnaitości, życia. Co ona będzie robić, jeśli tego wszystkiego zabraknie? Gdy przeto przyszła jej myśl ucieczki — już było zapóźno — nie miała siły, aby zamiar wykonać.

Każdy dzień, spędzony bez Sztolca, nie podzielona z nim myśl, traciły dla niej urok i znaczenie.

— Boże mój! — myślała, — gdybym ja mogła być jego siostrą! Co to za szczęście, mieć wieczne prawo do takiego człowieka, nietylko do jego rozumu, lecz i serca, cieszyć się jego obecnością jawnie, otwarcie, nie opłacając się żadnemi ciężkimi ofiarami, smutkami, żalem za straconemi chwilami. A teraz czem ja jestem? Jeśli zechce odjechać — ja nietylko nie mam żadnego prawa zatrzymać go, ale nawet powinnam życzyć odjazdu. Jeśli zechce zatrzymać — co mu powiem, jakim prawem pragnę go ciągle widzieć i słuchać? Dlatego, że mnie przykro, że tęsknię, że on mnie uczy, bawi, że jest dla mnie przyjaznym i pożytecznym. Jest to może przyczyna, ale nie prawo. A cóż ja wzamian daję jemu? Prawo patrzenia na mnie, ale nie śmieć po-

myśleć o wzajemności, gdy tyle innych kobiet uważałyby to za szczęście.

Olga trapiła się tem i namyślała jak wyjść z tego położenia, a nie widziała ani celu ani końca... Przed nią był tylko lęk przed jego rozczarowaniem i wieczną rozłąką. Czasem przychodziło jej na myśl wyjawić przed nim wszystko, ażeby zakończyć jego walkę ze sobą i swoją, ale słowa zamierały jej na ustach, gdy pomyślała o tem. Wstyd jej było i boleśnie.

Najdziwniejszem było to, że ona straciła szacunek dla tego, co miało miejsce w niedawnej przeszłości, a nawet wstydziła się tej chwili, gdy się zbliżyła ze Sztolcem, gdy on zawładnął poniekąd jej życiem. Gdyby o tem co zaszło było dowiedział się baron lub ktoś inny, byłoby jej przykro i nieprzyjemnie, zmartwiłaby się może, ale nie męczyłaby się tak, jak teraz na samą myśl, że Sztolc dowiedzieć się może o wszystkim.

Olga z przestrachem myślała o tem, jak ta wiadomość odbije się na jego twarzy, jak on spojrzy na nią, co powie, co będzie myślał potem? Lękała się, że w jego oczach stanie się małą, słabą, pospolitą. Nie, nie, za nic nie opowie mu tego!

Poczęła badać siebie, i przekonała się, że nietylko wstydzić się musi przeszłej miłości, ale i jej bohater... Dręczyła ją świadomość niewdzięczności, popełnionej wobec dawnego przyjaciela, za jego szczerość.

Być może, że byłaby przywykła do swego wstydu, przeboleła go — bo do czegoż nie przyzwyczai się człowiek! — gdyby jej przyjaźń dla Sztolca wolną była zupełnie od wszelkich osobistych korzyści i pragnień. Ale gdy nawet zagłuszyła w sobie wszelki

ukryty i pochlebny dla niej szept serca, to nie potrafiła ovladnąć marzeniami swojej wyobraźni. Często przed jej oczyma, wbrew woli, przesuwał się i jaśniał obraz tej drugiej miłości, coraz bardziej czarujący; zwiększało się marzenie o szczęściu nie z Obłomowym, nie wśród leniwej drzemki, lecz na szerokiej arenie wszechstronnego życia, z jego głębią, rozkoszami i smutkami — obraz szczęścia ze Sztolcem...

Wtedy Olga oblewała łzami swoją przeszłość, lecz i zmyć jej nie mogła. Trzeźwiła się z marzeń i odgradzała od nich ścianą nieprzenikalnego milczenia i tej przyjacielskiej obojętności, która tak szarpała duszę Sztolca. Potem, zapominając o wszystkim, znowu dawała się unosić bezinteresownej życzliwości przyjaciela, stawiała się czarującą, miłą, pełną dobrej wiary, póki znowu marzenie o szczęściu, do którego straciła prawo, nie przypomniało jej, że przyszłość dla niej stracona, że różowe myśli już minęły, że opadł kwiat życia.

Zapewne, zczasem Olga zdołałaby pogodzić się ze swoim położeniem i zapomniałaby o nadziejach na przyszłość, jak robią wszystkie stare panny; otoczyłaby się chłodną apatją, czas swój poświęcając dobrym uczynom, ale nagle z kilka słów, które nieostrożnie wyrwały się z ust Sztolca, Olga przekonywała się niezbitie, że straciła w nim przyjaciela, a zyskała namiętnego czciela. Przyjaźń uto-
nęła w miłości.

Błądą była Olga tego rana, kiedy zrobiła to odkrycie: przez dzień cały nie wychodziła z pokoju, walczyła ze sobą, myślała nad tem, jak ma teraz postąpić, jaki obowiązek spoczywa na niej — i nie znajdowała na to wszystko odpowiedzi. Przeklinała

siebie zato, że nie zapanowała nad wstydem i nie wyznała Sztolcowi wcześniej tego, co zaszło. Teraz trzeba zwyciężyć lęk w samej sobie.

Przychodziły nieraz chwile stanowczości, gdy pierś jej wzbierała się bólem, kiedy lży ją pały, gdy pragnęła rzucić się ku niemu i nie słowami, ale łkaniem, wstrząśnieniem całej duszy, omdleniem opowiedzieć dzieje swojej miłości, ażeby on widział wyznanie błędu.

Słyszała, jak robią inne w podobnych wypadkach. Soniczka, na przykład, opowiedziała swemu narzeczonemu jak zbałamuciła oficerka od ułanów, jaki był śmieszny, że to był smarkacz, że umyślnie kazała mu wyczekiwać na mrozie aż ona wyjdzie usiąść w powozie.

Soniczka, nie namyślając się wiele, powiedziałaaby i o Oblomowie, że się nim bawiła, że zbyt śmieszny, aby go kochała, że przecież nie można kochać się w pełnym worku, że temu nie mógł nikt uwierzyć. Ale takie usprawiedliwienie się mogło znaleźć wiarę tylko w oczach męża Soniczki i wielu innych, ale nie w oczach Sztolca.

Olga mogłaby całą tę przeszłość przedstawić w barwach o wiele lepszych, powiedzieć, że pragnęła wyciągnąć tylko Oblomowa z przepaści i dlatego posługiwała się przyjacielską kokieterją, ażeby ożywić gasnącego człowieka, a potem zostawić go samemu sobie. Ale byłoby to już zbyt naciągnięte i nieprawdziwe. Niema, niema ratunku!

— Boże, Boże! w jakie ja sieci wpadłam! — myślała Olga. Wyjawić wszystko? Ach, nie! Niech on o tem tak długo nic nie wie. Nie wyjawić? To wszystko jedno, co okradać kogoś. To miałoby

pozór oszukiwania, może chęci zjednania Sztolca. Boże! Dopomóż mnie...

Ale pomocy nie było.

Jakkolwiek miłą jej była zawsze obecność Sztolca ale czasem zdawało się jej, że lepiejby było nie stykać się z nim więcej, przejść przez życie jego jak cień ledwie dostrzegalny, nie zaciemniać jego jasnego, rozumnego życia swoją nieprawą miłością.

Olga przetestniłaby za swoją nieszczęśliwą miłości dla Sztolca, oplakałaby przeszłość, zamknęłaby w duszy pamięć o nim, a potem, potem może znalazłaby „przyzwoitą partję“, jak wiele innych panien, i byłaby rozumną, troskliwą żoną i matką, a przeszłość uważałaby jako dziewicze marzenia i nie przeżyłaby, lecz przecierpiała resztę życia. Przecież wszystkie kobiety tak robią.

Ale ta cała sprawa nie samej jej dotyczy. Wpłątany do niej inny jeszcze człowiek, który na niej opiera swoje niezbędne, najlepsze nadzieje przyszłego życia.

— Dlaczegoż ja kochałam? — męczyła się Olga w tęsknocie, wspominając ten poranek w parku, kiedy Obłomow chciał uciekać, a jej się zdawało, że księga jej życia zamknie się na zawsze, gdy on ją opuści. Wówczas tak śmiało i lekko rozwiązała kwestję miłości i życia, tak wszystko wydawało się jej jasnem, a jednak wszystko związało się w nierozplątany węzeł.

Zbyt ufała swemu rozumowi. Zdawało się, że trzeba tylko patrzeć prosto, iść śmiało, a życie posłuszne jak dywan będzie się samo rozścielać pod jej nogami — i cóż się stało? Niema nikogo, kogoby o przyczynę błędu, obwinić można — ona sama winna.

Wszedł Sztolc. Olga nie podejrzывała powodu przyjsia, wstała z kanapy, odłożyła książkę na stronę i poszła na jego spotkanie.

— Nie przeszkadzam pani? — spytał, siadając w jej pokoju przy oknie, które wychodziło na jezioro. — Pani czytała — prawda?

— Nie, skończyłam właśnie czytanie — już ciemno. — Czekałam na pana — rzekła miękkim, przyjacielskim akcentem.

— Tem lepiej: ja muszę pomówić z panią — dodał poważnie, przysuwając dla niej drugie krzesło do okna.

Olga drgnęła i zaniemiała prawie, potem usiadła machinalnie na krześle, schyliła głowę i nie podnosząc oczu, siedziała w męczącym oczekiwaniu. Chciałaby w tej chwili być o sto wiorst oddaloną od Sztolca.

Nagle jak błyskawica zaświeciła w jej pamięci cała przeszłość.

— Sąd się zbliża! — pomyślała. — Nie można bawić się życiem jak lalkami — zdawało się jej słyszeć głos jakiś — nie żartuj z życiem, bo trzeba się porachować.

Przez kilka chwil Olga milczała. Sztolc widocznie skupiał myśli. Olga, nie bez trwogi, wpatrywała się w jego schudzoną twarz, w nachmurzone brwi, w usta zaciśnięte z wyrazem stanowczości.

— Nareszcie! — pomyślała, drgnąwszy wewnętrznie.

Zdawało się, że oboje sposobią się do pojedynku.

— Pani zapewne zgaduje, Olgo Siergiejewno, o czym ja mam zamiar mówić z panią — zaczęła Sztolc, wpatrując się w nią pytająco.

Siedział w głębi niszy, która zakrywała twarz jego, gdy przeciwnie białość śniegu od okna padała

wprost na nią, tak że mógł prawie każdą jej myśl odczytywać z twarzy.

— Skąd ja mogę wiedzieć? — odpowiedziała cicho.

Wobec tak niebezpiecznego przeciwnika, Olga nie miała dość siły woli, charakteru, ani przenikliwości, ani umiejętności panowania nad sobą, z którymi zawsze stawiała wobec Oblomowa.

Olga rozumiała dobrze, że jeśli dotychczas mogła wszystko ukrywać przed bystrym wzrokiem Sztolca i pomyślnie prowadzić wojnę, to dzięki zgoła nie własnej sile, jak w walce z Oblomowym, a tylko dzięki uporczywemu milczeniu Sztolca i jego skrytości. W otwartej wojnie, przewaga nie była po jej stronie i dlatego pytaniem: skąd ja mogę wiedzieć — Olga chciała tylko zdobyć trochę przestrzeni i chwilę czasu, ażeby nieprzyjaciel mógł jaśniej odkryć swoje zamiary.

— Nie wie pani? — rzekł otwarcie — bardzo dobrze, ja powiem...

— Ach, nie! — wyrwało się nagle z ust Olgi.

Uchwyciła go za rękę i patrzyła na niego, jakby prosząc o litość.

— Widzi pani, ja zgadłem, że pani wie. Ale dlaczego — nie? — dodał.

Olga milczała.

— Jeśli pani przewidywała, że prędzej, czy później ja wypowiedzieć się muszę, to wie pani zapewne, jaką mi dać odpowiedź — mówił.

— Przewidywałam i męczyłam się — rzekła, opierając się o tylną część krzesła. Odwróciła się od światła i pragnęła, ażeby co prędzej zmrok zapadł i przyszedł jej z pomocą, by Sztolc nie widział, w jej twarzy śladów walki ze sobą, trwogi i smutku.

— Męczyła się pani! — to straszne słowo — prawie szeptem mówił Sztolc — to Dantejskie „porzuć nadzieję na zawsze“. Już nic nie mam do powiedzenia, w tem słowie — wszystko. Ale dziękuję i za to — dodał z głębokiem westchnieniem. — Wyszedłem z choasu, z ciemności i wiem przynajmniej, co mam robić. Jedyne ratunek — uciekać co prędzej.

Sztolc powstał.

— Nie, na miłość Boga, nie! — krzyknęła Olga, rzuciwszy się ku niemu, chwytając go za rękę, i szepcząc prawie z przerażeniem i prośbą — proszę mieć litość nade mną, co ze mną będzie?

Sztolc usiadł. Olga usiadła także.

— Ja kocham panią, Olgo Siergiejewno! — rzekł prawie ostro. — Pani widziała, co się ze mną stało w ciągu tego półrocza. Czegoż pani chce więcej? Zupełnego zwycięstwa, ażebym zesechł zupełnie i zginął marnie. Dziękuję pięknie.

Twarz Olgi zmieniła się nagle.

— Więc proszę stąd wyjechać! — rzekła z godnością, tłumiąc w sobie obrazę a równocześnie głęboki smutek, którego ukryć zupełnie nie mogła.

— Przepraszam, winien jestem — usprawiedliwiał się Sztolc. — Otóż widzi pani, jeszcze nie wiedząc dobrze o co chodzi, już się kłócimy. Pewny jestem, że pani nie może życzyć sobie tego, ale pani nie może także wniknąć w moje położenie i dlatego pani dziwi się memu zamiarowi — ucieczki. Człowiek czasem nieświadomie staje się samolubem.

Olga poprawiła się na siedzeniu, jak gdyby jej było niewygodnie, ale nic nie odpowiedziała.

— Przypuśćmy, że zostanę — i cóż z tego? — mówił dalej. — Pani proponuje mi przyjaźń, lecz ja już ją mam i bez tego. Wyjadę — a po roku,

po dwóch, pani nie cofnie przede mną swojej przyjaźni. Przyjaźń — to rzecz piękna, Olgo Siergiejewno, kiedy jest tylko uczuciem między młodym mężczyzną, a dziewczyną lub wspomnieniem starych ludzi. Ale broń Boże, jeśli to z jednej strony przyjaźń, a z drugiej — miłość. Ja wiem, że pani ze mną nie nudzi się, ale jak mnie jest z panią?

— Jeśli tak tylko, proszę wyjechać — powiedziała ledwie dosłyszalnie.

— A zostać — myślał głośno — to znaczy chodzić po ostrzu noża. Piękna przyjaźń!

— Czyż mnie źlej będzie? — spytała.

— Pani? — Dlaczego? — spytał nagle. — Pani przecież... nie kocha...

— Nie wiem! Na Boga żywego, prawdę mówię — niewiem! Ale jeśli pan... jeśli kiedykolwiek odmieni się mój teraźniejszy tryb życia, co ze mną się stanie? — spytała smutnie, prawie szeptem.

— Jak mam rozumieć to wszystko? Proszę mi wyjaśnić na miłość Boga — rzekł Sztolc, zbliżając do Olgi swoje krzesło, zdziwiony temi słowami i głębokim, szczerym tonem, jakim były wypowiedziane.

Sztolc starał się zbadać rysy jej twarzy. Olga milczała. W sercu jej paliła się chęć uspokojenia go, cofnięcia słowa „męczyłam się“ lub wyjaśnienia jego prawdziwego znaczenia, ale nie wiedziała jak to uczynić. Czuła tylko, że oboje nie rozumieją się, są w fałszywym położeniu i oboje cierpią. On tylko — lub ona, przy jego pomocy mogą wyjaśnić i uporządkować przeszłość i teraźniejszość. Dlatego trzeba przekroczyć przepaść, odkryć przed nim co było, jak ona pragnęła, a również obawiała się jego sądu.

— Sama nic nie rozumiem! W większym

jestem chaosie, w większej żyję ciemności, niż pan — odpowiedziała.

Sztolc ujął ją za rękę.

— Czy wierzy mnie pani? — zapytał.

— Bezgranicznie, jak matce, pan o tem wie — odrzekła słabym głosem.

— Proszę mi zatem opowiedzieć, co się z panią działo od czasu kiedyśmy się rozstali. Pani wydaje się teraz tajemnicą dla mnie. Dawniej umiałem na twarzy pani odczytać każdą myśl. Zdaje się, że jest to jedyny środek pojmowania siebie wzajemnie. Czy zgadza się pani z tem?

— O, tak, jest to niezbędne... trzeba skończyć nareszcie! — rzekła ze smutkiem wobec konieczności wyjawienia przed nim wszystkiego co zaszło.

Schyliła głowę. W myśli jej plątał się wyraz: Nemezys! Nemezys! Milczała schyliwszy głowę. A Sztolcowi ogarnął duszę od tych słów jakiś lęk, a jeszcze większy od jej milczenia.

— Męczy się... Mój Boże! — myślał — co się z nią działo? Uczuł chłód, a ręce i nogi drżeć mu poczęły. Wyobrażał sobie coś strasznego. Olga milczała. Widocznem było, że walczyła ze sobą.

— Więc cóż... Olgo Siergiejewno? — nalegał Sztolc.

Olga milczała, zrobiła tylko jakiś ruch nerwowy, którego nie można było dostrzec w ciemności, lecz zdradził go tylko szelest jedwabnej sukni.

— Staram się skupić wszystkie moje siły — rzekła w końcu. — Gdybyś pan wiedział, jak to trudno — dodała, patrząc na stronę i usiłując zapanować nad sobą.

■ Pragnęła, ażeby Sztolc dowiedział się o wszystkim nie z jej ust, lecz od kogoś innego, cudem może.

Na szczęście ściemniać się poczęło coraz bardziej. Twarz jej ukryta była w cieniu. Głos tylko mógł ją zdradzić, ale słowa nie mogły jej przemknąć się przez usta, jak gdyby nie wiedziała jak zacząć.

— Boże mój! Jakże ja muszę być winną, gdy taki wstyd i ból odczuwam! — myślała, walcząc ze sobą.

A niedawno przecież z taką pewnością siebie rozporządzała losem swoim i cudzym, czuła się taką rozumną, taką silną! Teraz na nią przyszła kolej: drżała jak dziewczynka! Wstyd jej było przeszłości, a miłość własna dręczyła ją za fałszywe terazniejsze położenie... Było jej ciężko,

— Ja pomogę pani... pani kochała — ledwie wymówił Sztolc, takim bólem dotknęło go własne słowo.

Olga potwierdziła milczeniem. Znowu fala przeżenienia uderzyła na Sztolca.

— Kogo? To przecież nie musi być tajemnicą? — mówił, starając się nadać swemu głosowi cechę pewności, chociaż czuł, że usta mu drżały.

Olę ogarniał ból jeszcze większy. Chciałaby wymyślić jakieś inne wyjście, inne wymówić nazwisko. Chwilkę wahała się. Jak człowiek co w ostateczności rzuca się nagle w przepaść lub ogień, tak nagle wymówiła:

— Oblomowa!

Sztolc zdrewniał. Przez parę minut panowało milczenie.

— Oblomowa? — powtórzył ze zdziwieniem. — To nie może być — dodał potem stanowczo, znizywszy głos.

— Prawda! — odpowiedziała spokojnie.

— Oblomowa! — powtórzył Sztolc. To nie może

być! Albo pani nie rozumiała siebie i Oblomowa, albo — miłości.

Olga milczała.

— To nie mogła być miłość! To musiało być coś innego! — mówił.

— Tak, kokietowałam go, wodziłam za nos, zrobiłam nieszczęśliwym... a teraz do pana się zabieram! — rzekła niby spokojnie, ale w głosie jej drżały łzy obrażonej kobiety.

— Droga Olgo Siergiejewna! Proszę się nie gniewać, nie mówić tak — to nie jest ton pani. Pani wie, że ja nic podobnego nie myślę. Ale w mojej głowie nie mieści się, ja nie rozumiem w jaki sposób Oblomow...

— Mimo wszystko on godzien pańskiej przyjaźni. Pan niedocenia go—on godzien miłości—bronila Olga.

— Wiem, że miłość mniej wymagająca niż przyjaźń. Często bywa nawet ślepą. Kochają nie dla zasług, a — tak sobie. Ale miłość wymaga także czegoś, nieraz drobnostki, czego ani określić ani nazwać niepodobna, ale czego niema w moim dobrym ale niedźwiedzioватым Iljuszy. Dlatego dziwię się. Proszę mnie wysłuchać, inaczej nigdy nie dojdziemy do końca, nie zrozumiemy się wzajemnie. Pani się wstydzi. Niech pani przez pół godziny nie pożałuje siebie, proszę mnie opowiedzieć wszystko, a ja pani powiem co to było, a może nawet — co będzie... Ciagle mi się zdaje, że w tem jest coś innego... Ach, gdyby to była prawda! — dorzucił z ożywieniem. — Gdyby Oblomowa, a nie kogoś innego... Oblomowa! To znaczy że panią z przeszłością nic nie wiąże, że pani wolna... Proszę opowiadać, opowiadać prędzej! — spokojnym, prawie wesołym głosem zachęcał Sztolc.

— Na miłość Boga — odezwała się z zaufaniem Olga, rada, że część ciężaru spadła jej z serca — czy to ja jedna rozum tracę! Gdybyś pan wiedział, jak jestem godną litości! Niewiem czy jestem winną lub nie, czy mam się wstydić mojej przeszłości, litować się nad nim, mieć nadzieję na przyszłość, czy rozpaczać za wszystkim... Pan mówi o swoich męczarniach, a moich nie podejrzewa nawet. Proszę mnie tedy wysłuchać do końca, nie rozumem, sercem raczej. Ja lękam się pańskiego rozumu, z sercem lepiej — może ono zrozumie, że ja nie mam matki, że żyłam jak w lesie — dodała głosem zdławionym. — Nie, niech mnie pan nie oszczędza — dorzuciła pośpiesznie. — Jeśli to była miłość — to proszę wyjeżdżać. — Zatrzymała się chwilę. — Proszę wrócić wtenczas, gdy się odezwie znowu głos przyjaźni. Jeśli zaś to była tylko kokieterja, to proszę mni ukarać, uciec najdalej, zapomnieć o mnie. Więc — proszę słuchać.

Sztolc w odpowiedzi mocno uściśnął obie jej ręce. Rozpoczęła się spowiedź Olgi, długa, szczegółowa. Olga świadomie, słowo po słowie przelewała wszystko ze swojej duszy w jego. Mówiła o tem co ją tak męczyło, dlaczego rumieńce wstydu wybiegały na jej policzki od tego, co przedtem uważała za szczęście, i jak później nagle spadła w odmet smutku i wątpliwości.

Opowiedziała o przechadzkach, o parku, o nadziejach, o chwilach obudzenia się i upadku Obłomowa, o gałązce bzu, nawet o pocałunku. Przemilczała tylko o tym wieczorze w ogrodzie, gdy omdlewała prawie obok Obłomowa — może dlatego, że sama nie umiała jeszcze wytłumaczyć sobie przy-
czy^{ny} tego stanu.

Z początku słychać było tylko jej szept niespokojny. W miarę rozwijania się opowiadania głos jej nabierał jasności i swobody; od szeptu przechodził w półton, a potem dźwięczał pełną piersiową nutą. Kończyła zaś opowiadanie już tak spokojnie, jak gdyby opowiadała historję cudzej miłości.

Przed nią samą spadała zasłona, rozjaśniała się przeszłość, w którą do tej chwili lękała się spojrzeć. Wiele chwil przedstawiało się jej teraz inaczej. Śmiało spojrzalaby w oczy Sztolca, gdyby nie było ciemno.

Olga skończyła i czekała na wyrok, ale odpowiedzią była zupełna cisza.

A cóż Sztolc? Nie słychać było ani słów, ani ruchu, nawet oddechu, jak gdyby nikogo przy niej nie było.

Ta cisza znowu wywołała szereg wątpliwości w duszy Olgi. Co znaczy to milczenie? Jaki wyrok usłyszysz od najbardziej przenikliwego i łagodnego sędziego? Wszyscy mogliby ją bezlitośnie potępić, on jeden mógłby być jej obrońcą, jemu oddałaby obronę... on zrozumiałby wszystko, zważył i lepiej, niż ona sama osądził jej czyny. A tymczasem on milczał — czyżby sprawa jej była stracona?

Olę lęk ogarnął.

Otworzyły się drzwi i służąca wniosła dwie świece, które jasnością rozświeciły ich kącik.

Olga spojrzała na Sztolca pytającym, ciekawym spojrzeniem. On skrzyżował ręce na piersi i patrzył na nią rozwartymi oczyma, pełnemi łagodności, jakby się cieszył jej zaniepokojeniem.

Serce Olgi rozgrzało się. Spojrzała na niego spokojnie i ledwie nie zapłakała. Wróciła jej nagle wyrozumiałość dla samej siebie, zaufanie do niego.

Czuła się tak szczęśliwą, jak dziecko, któremu przebaczone jego błąd, które uspokojono, popieszczono.

— Wszystko? — spytał cicho.

— Wszystko.

— A list jego?

Olga wyjęła list z portfela i podała mu. Sztolc zbliżył się do światła, list przeczytał i na stole położył. Oczy jego zwróciły się znowu ku niej z takim wyrazem, jakiego już dawno nie widziała u niego.

Przed nią stał ten sam dawny, pewny siebie, trochę ironiczny, bezbrzeżnie dobry i pobłażliwy przyjaciel. W twarzy jego ani śladu jakiegoś cierpienia, ani wątpliwości. Ujął ją za obie ręce, pocałował każdą po kolei i zamyślił się nad czemś. Olga milczała i milcząc, utkwivszy wzrok, badała każdy ruch jego myśli na twarzy.

Nagle Sztolc powstał.

— Mój Boże! Gdybym był przypuszczał, że rzecz idzie o Oblomowa, czyżbym się tak męczył? — rzekł, patrząc na nią tak łagodnie, z takim zaufaniem, jak gdyby nie było za nią smutnej przeszłości.

Olę ogarnęło łagodne, wesołe, świąteczne uczucie. Uczuła ulgę na sercu. Zrozumiała, że wstyd jej było przed nim tylko jednym, ale on nie karał jej, nie uciekał od niej! Cóż ją może obchodzić teraz sąd całego świata!

Sztolc panował już nad sobą, był wesół, ale to jej nie wystarczało. Wiedziała, że jest usprawiedliwioną, ale jako podsądna chciała usłyszeć wyrok.

Sztolc ujął za kapelusz.

— Dokąd? — spytała.

— Pani wzruszona — odpowiedział — proszę wypocząć! Jutro pomówimy.

— Chce pan, ażebym całą noc nie spała? —

przerwała mu, biorąc go za rękę i sadzając na krześle. — Chce pan odejść, nie powiedziawszy mi co to... było, czem ja dziś jestem... czem ja... Proszę mieć litość nade mną... kto mnie to powie? Kto mnie ukarze, jeśli zasłużyłam, albo... kto mi przebaczy? — dorzuciła, patrząc na niego takim łagodnym, pełnym przyjaźni spojrzeniem, że Sztolc położył kapelusz i ledwie sam nie padł przed nią na kolana.

— Aniele... — proszę pozwolić powiedzieć — mój... — zaczął. — Proszę się nie męczyć nadaremnie; ani karać, ani ulaskawiać pani nie trzeba. Ja nic nawet dodać nie mogę do opowiadania pani. Jakże panią mogę męczyć wątpliwością? Chce pani wiedzieć, co to było, nazwać to po imieniu? Pani wie już oddawna... Gdzie list Oblomowa?

Wziął list ze stołu.

— Proszę słuchać... — Począł czytać: „pani „prawdziwe kocham“, nie jest prawdziwą miłością, lecz przyszłą. Jest to tylko bezwiedna potrzeba kochania, która z braku prawdziwej miłości, objawia się często u kobiet w miłości do dziecka, do drugiej kobiety, nawet często we łzach lub w objawach histerycznych. Pani omyliła się — czytał Sztolc, akcentując ten wyraz. — Przed panią nie ten, którego pani oczekuje, o kim marzyła. Proszę poczekać — on przyjdzie, a wtedy pani będzie męczyć się i wstydić swojej omyłki“.

— Widzi pani jak to jest zupełnie prawdziwe — dokończył Sztolc. — Pani zła była na siebie, wstyd pani było z powodu omyłki. Do tego nic dodać nie można. Oblomow miał słuszość, pani nie uwierzyła mu — i w tem winna pani. Wtenczas należało zerwać stosunek, ale jego zwyciężyła piękność

pani, a panią wzruszała jego gołębia dobroć — dodał z ledwie dostrzegalnym uśmiechem.

— Nie wierzyłam mu! Myślałam, że serce omylić się nie może.

— O, nie! Myli się i często ze strasznymi następstwami. Ale u pani nie doszło jeszcze do omyłki serca — dodał — była to z jednej strony gra wyobraźni, z drugiej — słabość charakteru... A pani lękała się, że już drugiego święta w życiu być nie może, że ten błady promyczek oświecił życie pani, a potem już będzie wieczna noc...

— A lzy? — mówiła. — Czyż one nie płynęły z serca, gdym płakała? Ja nie kłamałam, byłam szczerą...

— Mój Boże! Nad czem nie płaczą kobiety? Pani przecież sama mówi, że żal pani było gałązki bzu, ulubionej ławeczki. Proszę dodać do tego oszukaną miłość własną, zwichniętą rolę zbawicielki, trochę przyzwyczajenia... Czyż mało przyczyn do łez?

— Czy nasze widywania się, przechadzki — także omyłka? Proszę pamiętać, że ja... byłam u niego — dodała ze smutkiem i sama pragnęła, zdaje się, własne słowa zagłuszyć.

Olga oskarżała sama siebie dlatego tylko, ażeby tem gorliwiej mógł jej bronić Sztolc, ażeby być zupełnie uniewinnioną w jego oczach.

— Z opowiadań pani widzę, że w czasie ostatniego widzenia się z Obłomowym, nie było nawet o czem mówić. Tak zwanej przez panią „miłości“ brakło treści. To był jej kres. Dalej pójść nie mogła. Wyście jeszcze przed chwilą rzeczywistej rozłąki rozeszli się. Pani wierna była nie miłości, lecz widziadłu, które sama stworzyła — w tem cała tajemnica.

— A pocałunek? — szepnęła tak cicho, że Sztolc nie słyszał, lecz domyślał się tylko.

— O, to bardzo ważne! — zawołał z komiczną surowością — za to trzeba było pozbawić panią jednej potrawy przy obiedzie!

Spoglądał na nią z coraz większym wzruszeniem i miłością.

— Żart nie może usprawiedliwić takiej „omyłki“ — odpowiedziała twardo, obrażona jego obojętnością i lekceważącym tonem. Lżejby mi było, gdyby pan znalazł na to jakieś ostre słowo, nazwał właściwym imieniem...

— Jaby też nie żartował, gdy rzecz dotyczyła kogoś innego, nie Oblomowa — usprawiedliwiał się Sztolc. — Tam omyłka mogła się zakończyć nieszczęściem, ale ja znam dobrze Iljuszę.

— Innego — nigdy! — z uniesieniem zawołała Olga. — Ja poznałam go lepiej, niż pan.

— Tak, rzeczywiście — potwierdził Sztolc.

— Ale gdyby on... zmienił się, ożył, posłuchał mnie i... czyżbym go wtedy nie kochała? Czy i wtenczas miłość byłaby kłamstwem, omyłką? — mówiła pytająco, ażeby winę swoją oświecić ze wszystkich stron, ażeby nie pozostało na niej najmniejszej plamy żadnej wątpliwości.

— To znaczy, gdyby na jego miejscu był inny człowiek — przerwał Sztolc. — Wasz stosunek przybrałby charakter miłości, umocnił się i wtedy... Ale to byłby już drugi romans i drugi bohater, który nas nic nie obchodzi.

Olga westchnęła, jak gdyby ostatni ciężar spadł jej z serca. Oboje milczeli.

— Jakie to szczęście... wyzdrowieć — mówiła powoli, jakby rozkwitając na nowo i zwróciła ku

niemu spojrzenie takiej głębokiej wdzięczności, takiej gorącej niebywalej przyjaźni, że w tem spojrzeniu zobaczył wreszcie tę iskierkę uczucia, którą przez cały rok pragnął dojrzeć. Dreszcz radości ogarnął go.

— To ja właśnie wracam do zdrowia — zauważył — i zamyślił się. — Ach, gdybym był wiedział, że bohaterem tego romansu był Oblomow! Tyle czasu przeszło, tyle krwi się napsuło! Zaco? Dlaczego? — pytał prawie z gniewem.

Ale powoli opuszczał go gniew, wracało otrzymanie; Sztolc ocknął się z zamyślenia. Czoło wyglądało się, spojrzenie poweselało.

— Widać, że było to niezbędnem. Zato teraz jakże jestem spokojny, jak... szczęśliwy! — zawołał w upojeniu.

— Jak sen wszystko minęło, jak gdyby nic nie było — zauważyła Olga w zamyśleniu, ledwie dosłyszalnym głosem, dziwiąc się swemu nieoczekiwanemu odrodzeniu. — Pan zdjął mi z serca nietylko wstyd, żal, ale gorycz i ból... wszystko. Jak to pan uczynił? — pytała cichym głosem. — Czyż to wszystko minęło, i ta... omyłka?

— Ja myślę, że już wszystko minęło — rzekł — spojrzawszy na nią po raz pierwszy spojrzeniem namietności i nie ukrywając jej — wszystko co było...

— Acóż będzie prawdą, nie... omyłka? — pytała.

— Tu właśnie napisano — odpowiedział głosem stanowczym, biorąc do ręki list Oblomowa: „przed panią nie ten, kogo pani oczekuje, kto przyjdzie; on przyjdzie i pani obudzi się...” I pokocha go pani, dodam od siebie, tak pokocha, że miłość ta trwać będzie nie rok, ale całe życie, tylko niewiem... kogo? — dodał, oczy w nią utkwivszy.

Olga spuściła wzrok ku ziemi, zacisnęła usta, ale przez powieki przeciskały się promienie, usta ukrywały uśmiech. Spojrzała na niego i zaśmiała się tak szczerze, tak serdecznie, że aż łzy błysnęły.

— Powiedziałem pani, co z panią było, Olgo Sergiejewna, a nawet co będzie. A pani nie dała mi odpowiedzi na pytanie, nie pozwoliła nawet dokończyć...

— Cóż ja mogę powiedzieć? Czyż miałabym prawo powiedzieć panu to, na co pan zasługuje, czego... pan wart? — spytała prawie szepcąc i spojrzała na niego.

W tem spojrzeniu zdało mu się, że widział znowu isierkę nadzwyczajnej przyjaźni. Wzniósł się w nim poczucie szczęścia.

— Proszę się nie śpieszyć, ale spokojnie odpowiedzieć mi, czego wart jestem, kiedy się skończy pani serdeczna żaloba, żaloba przyzwoitości. Rok ubiegły także mnie coś nauczył. Teraz proszę tylko rozwiązać pytanie: czy mam odjechać, czy... zostać?

— Przepraszam... ale pan mnie! kokietuje — rzekła wesoło.

— O, nie! — poważnie odpowiedział Sztolc. — To już nie dawne pytanie; teraz ma ono inne znaczenie: — jeśli mam zostać, to — jakim prawem?

Olga zamyśliła się.

— Widzi pani, że ja — nie kokietuję! — zaśmiał się, zadowolony, że ją przyłapał na sprzeczności. — Po dzisiejszej rozmowie musimy być na innej stopie ze sobą. Dziś nie jesteśmy już ci sami, cośmy byli wczoraj.

— Nie wiem... — odpowiedziała jeszcze bardziej zmieszana.

— Pozwoli pani dać sobie radę?

— I owszem... proszę mówić, ja ślepo ją wypełnię — prawie z namietną pokorą powiedziała Olga.

— Niech pani wyjdzie zamaż za mnie, zanim „on“ przyjdzie.

— Jeszcze nie śmiem... — szepnęła, zakrywając oczy rękoma, wzruszona głęboko, ale szczęśliwa.

— Dlaczego pani nie śmie? — zapytał cicho, głowę jej ku sobie schylając.

— A przeszłość... — rzekła, kładąc mu głowę na piersi jak matce.

Sztolc łagodnie odchylił jej rękę od twarzy, pocałował w głowę i długo cieszył się jej zakłopotaniem, wpatrując się jak kolejno błyszcząły w jej oczach łzy i chowały się w głębi.

— Przeszłość zwiednie, jak zwiedła gałązka bzu — zakończył. — Miała pani lekcję, teraz należy ją zużytkować. Rozpoczyna się życie. Proszę przeszłość swoją oddać w moje ręce i o niczem nie myśleć. Ja ręczę za wszystko. Chodźmy do ciotki.

Późno wrócił Sztolc do siebie.

— Znalazłem swoje! — myślał, patrząc zakochanym spojrzeniem na drzewa, na niebo, na jezioro, na mgły, unoszące się nad wodą. Doczekałem się. Tyle lat pragnień miłości, cierpliwości, oszczędzania sił duszy! Tak długo czekałem — wszystko mi nagrodzono. Otóż to jest ostatnie szczęście człowieka!

Widmo szczęścia zasłoniło całą przeszłość przed jego oczyma: kancelarję ojca, jego powózkę, skórzane rękawiczki, zatłuszczone „rachunki“ — całe życie czynu. W pamięci jego odrodził się tylko, przepełniony wonią pokoik jego matki, warjacje Hertza, galerja książęca, błękitne oczy, kasztano-

wate, pudrem przysypane włosy — a nad wszystkim tem górował miękki głos śpiewu Olgi. On w duszy słyszał ten śpiew...

— Olga — moją żoną! — wyszeptał prawie, i dreszcz radości przebiegł mu ciało. Wszystko znalazłem, nic więcej szukać nie trzeba, niema potrzeby iść dalej!

Wracał do domu w zamyśleniem odrętwieniu szczęścia, nie widząc przed sobą ani drogi ani ulic.

Olga długo wiodła za nim oczyma, potem otworzyła okno i oddychała kilka minut świeżem nocnem powietrzem. Wzruszenie mijało powoli, pierś oddychała równo i spokojnie.

Utkwiła oczy w jezioro, w dal i zamyśliła się głęboko i tak cicho jak gdyby zasnęła. Chciała zrozumieć, o czem myśli, co odczuwa — i nie mogła. Myśli unosiły się tak równo jak fale, krew w żyłach obiegała spokojnie. Odczuwała stan błogiego szczęścia i nie mogła określić ani jego granic, ani treści. Myślała dlaczego dusza jej taka cicha, spokojna, dlaczego jej tak niewzruszenie dobrze, błogo, gdy tymczasem...

— Jestem jego narzeczoną... — szepnęła.

Narzeczoną! z drżeniem pełnem dumy, myśli dziewczyna, doczekawszy się chwili, oświetlającej całe jej życie i unosi się na wyżyne. Z wysokości patrzy w tę ciemną drożynę, którą szła wczoraj jeszcze samotna i niepostrzeżona.

Dlaczegoż Olga nie drżała? Ona także szła samotna, ledwie dostrzeżoną ścieżką, a oto na przecznicy spotkał ją „on“, podał jej rękę i wyprowadził nie na blask jasnych promieni, lecz jakby nad szeroko rozlaną rzekę, na wielkie pola, ku wesoło uśmiechniętym pagórkom. Wzrok jej nie przyćmił

się od blasku, nie zamarło serce, nie zapaliła się wyobraźnia.

Ona z cichą radością uspokoiła wzrok tym widokiem. Nie przebiegało drżenie jej ciała, nie zapalały się oczy dumą, tylko, gdy wzrok swój oderwała od pól i pagórków zielonych, a przeniosła na tego, który podał jej rękę, uczuła, że po twarzy jej powoli spływały łzy...

Olga wciąż siedziała, niby śpiąca, tak cichem było jej marzenie o szczęściu. Nie ruszała się, prawie nie oddychała. Pograżona w zamyśleniu, utonęła w jakiejś cichej, błękitnej, ciepłej, aromatycznej nocy, oświetlonej łagodnem światłem. Sen o szczęściu rozwinął nad nią szerokie skrzydła i płynął powoli jak obłok po niebie nad jej głową.

Nie widziała siebie w tym śnie, owiniętą w gazę i koronki na dwie godziny, a potem w codzienne szmatki na resztę życia. Nie śniła się jej uczta ślubna, ani ognie, ani weselne wiwaty, ale śniło się szczęście, takie proste, bez wszelkich ozdób, że jeszcze raz bez dumy, ale ze słodką radością szepnęła: jestem narzeczoną.

V.

Wszystko wyglądało posepnie, smutnie w mieszkaniu Oblomowa, w półtora roku po imieninach, gdy nieoczekiwanie nadjechał Sztolc. Ilja Iljicz osunął się, znużenie wyglądało z jego oczu i patrzyło stamtąd niby jakaś niemoc.

Oblomow pochodził trochę po pokoju, potem położył się i patrzył w sufit; wziął książkę z etażerki, przeczytał kilka wierszy, ziewnął i począł bębnić palcami po stole.

Zachar jeszcze bardziej się zaniedbał. Ubranie miał łatane na łokciach, wyglądał tak mizernie jak gdyby mało jadał, mało sypiał, a pracował za trzech.

Szlafrok Oblomowa zużył się doszczętnie i chociaż dziury zaszywano starannie, rozłaził się widocznie, szwy zaczęły puszczać. Kołdra na łóżku zużyta i nieraz łatana, firanki w oknach spłowiały oddawna i, chociaż wyprane, wyglądały jak stare szmaty.

Zachar rozłożył stary obrus, na krawędzi stołu przed Oblomowym, potem ostrożnie przyniósł na tacy karafkę z wódką i postawił na stole, położył chleb i wyszedł.

Drzwi od strony gospodyni otwarły się i na progu ukazała się Agafja Matwiejewna, niosąc

zręcznie skwierczącą na patelni jajecznicę. Bardzo była zmienioną, wcale nie na swoją korzyść. Nie miała już białych policzków, nie czerwieniejących i nie bledniejących nigdy, nie błyszczały rzadkie brwi, oczy wgląd wpadły.

Miała na sobie starą perkalikową sukienkę, ręce niby opalone, ale właściwie zgrubiałe od roboty, przy ogniu, przy noszeniu wody lub innej pracy.

Akuliny już nie było. Anisja ją zastąpiła: pracowała w kuchni, w ogrodzie, pilnowała drobiu, prała bieliznę, szorowała podłogi. Wszystkiemu jednak poddać nie mogła i Agafja Matwiejewna musiała jej pomagać w kuchni. Mało tłukła, przesiewała i przecierała, mało używała teraz kawy, cynamonu i migdałów. O koronkach nawet nie myślała. Teraz częściej krajała cebulę, przecierała chrzan i podobne korzenie. Z twarzy jej przeglądała ogromna troska.

Ale nie sobą martwiła się Agafja Matwiejewna, nie tem, że nie miała sposobności być w ciągłym ruchu, prowadzić szerokiego gospodarstwa, tłuc cynamon lub dodawać do sosów wanilię, lecz dlatego, że oto już drugi rok brakło tego wszystkiego dla Ilja Iljicza. Kawy dla niego nie kupowało się już na pudy w najlepszym magazynie, ale na kopiejki w sklepiku; zamiast soczystego kotletu, dawała mu na śniadanie jajecznicę, zaprawioną łykowatą, suchą wędliną, kupioną w sklepiku, a śmietankę do kawy nie przynosiła, jak dawniej, Czuchonka, lecz w tym samym sklepiku kupować trzeba było.

Cóż to za przyczyna? Otóż dlatego, że dochód z Obłomówki, regularnie przysyłany przez Sztolca szedł na pokrycie pretensji, zaciągniętej według skryptu dłużnego u gospodyni,

„Śluszna sprawa“ braciszka Agafji Matwiejewnej udała się ponad wszelkie oczekiwanie. Jak tylko Tarantjew wspomniał o skandalu, Oblomow podpisał skrypt dłużny, spłacalny do czterech lat. Z początku Oblomow zawstydził się, wreszcie załatwiono sprawę ugodowo, zapili dobrze ugodę — i Oblomow skrypt podpisał. W miesiąc potem Agafja Matwiejewna podpisała taki sam skrypt na imię „braciszka“, nie wiedząc i nie podejrzewając co podpisuje. „Braciszek“ powiedział, że to w sprawie domu i kazał podpisać: taki a taki skrypt dłużny podpisuje własnoręcznie — a potem „czyn“ i nazwisko.

Agafję Matwiejewnę martwiło tylko to, że tak dużo trzeba było pisać i radziła, ażeby ją zastąpił Wańka, który już „dobrze pisał“, gdyż ona mogła coś poplątać. Ale „braciszek“ stanowczo zażądał własnoręcznego pisma — napisała tedy wszystko krzywo, pochyło i wielkimi literami. Więcej o tem mowy nie było.

Oblomow pocieszał się tem, że przecież te pieniądze pójdą na sieroty. Na drugi dzień, gdy głowa wytrzeźwiała po piciu, ze wstydem myślał o tem wszystkim i starał się zapomnieć, unikał spotkania się z „braciszkiem“, a gdy Tarantjew o tem wspominał, groził że natychmiast opuści mieszkanie i wyjedzie na wieś.

Gdy pieniądze ze wsi nadeszły, w mieszkaniu Oblomowa zjawił się „braciszek“ i oświadczył Ilji Iljiczowi, że lżej mu będzie rozpocząć spłatę długu ratami, gdyż w ciągu trzech lat pretensja będzie pokryta, gdy tymczasem z chwilą nadejścia terminu pokrycia długu, trzeba go będzie ściągnąć sądownie, a wówczas majątek może pójść na licy-

tację, bo Oblomow gotówki nie posiada i posiadania jej nie przewiduje.

Oblomow zrozumiał w jakie wpadł kleszcze; przysyłane mu przez Sztolca pieniądze szły na spłacanie długu, a jemu pozostawało tylko bardzo mało na przeżycie.

„Braciszek“ zamyślał w ciągu dwóch lat skończyć tę „dobrowolną umowę“, ażeby coś potem nie stało na przeszkodzie i dlatego Oblomow znalazł się nagle w ciężkiem położeniu finansowem.

Z początku nie bardzo to było widoczne, dzięki temu, że Oblomow nigdy nie wiedział ile ma w kieszeni pieniędzy. Tymczasem Iwan Matwieicz ożenił się, najął osobne mieszkanie i opuścił siostrę.

Gospodarski rozmach Agafji Matwiejewny zatrzymał się nagle i jesiotry, biała cielęcina, indyki poczęto widywać w kuchni Muchojarowa i na jego stole.

Tam wieczorami oświetlano pokoje, zbierała się rodzina żony, koledzy służbowi i Tarantjew. Agafja Matwiejewna i Anisja stały z otwartymi ustami, z założonemi rękami nad pustemi garnkami i patelniami.

Agafja Matwieje na po raz pierwszy dowiedziała się, że posiada tylko dom, ogród i kurczęta, a cynamon i wanilja nie rosną w jej ogrodzie. Spostrzegła, że na targu powoli przestano jej się kłaniać, a uśmiechami poczęto obdarzać tłustą i strojnie ubraną kucharkę jej „braciszka“.

Oblomow oddał gospodyni wszystkie pieniądze, jakie mu na przeżycie pozostawił „braciszek“, a Agafja Matwiejewna po dawnemu przez kilka miesięcy męła kawę, kupowaną pudami, tłukła cynamon, piekła cielęcinę i indyki. Robiła to do

ostatniego dnia, w którym wydała ostatnie pieniądze i wtedy dopiero przyszła oświadczyć Oblomowowi, że pieniędzy już nie ma.

Oblomow trzy razy obrócił się na kanapie, usłyszawszy taką wiadomość, potem zajrzał do szufladki — lecz i tu nic nie było. Począł przypominać sobie co z niemi zrobił — i nie przypomniął. Ręką wodził po stole czy nie znajdzie czego — bodaj trochę miedziaków, potem pytał Zachara, ale ten — i we śnie nie widział. Agafja Matwiejewna poszła do „braciszka“ i naiwnie powiedziała, że w domu nie ma pieniędzy.

— A gdzież ty ze swoim wielmożą wydałaś tysiąc rubli, które mu dałem na przeżycie? — spytał. — Skąd ja wezmę dla was pieniędzy? Ty wiesz, że jestem żonaty, dwóch rodzin utrzymywać nie mogę, więc wy ze swoim „barinem“ nie bardzo sobie dogadajcie.

— Cóż ty bracie „barinem“ kłujesz mnie w oczy? Co on ci zrobił? Nikomu źle nie czyni, mieszka spokojnie. Nie ja go tu zachęcałam do mieszkania, ale ty z Michej Andreiczem.

Dał jej dziesięć rubli i powiedział że więcej nie ma. Potem naradziwszy się z kumem w „traktirze“, przyszli do przekonania, że opuścić siostrę i Oblomowa zupełnie nie można, że sprawa może się oprzeć o Sztolca, ten przyjdzie, rozejrzy się i może jeszcze wszystko przeinaczyć. Mogą nie zdolać ściągnąć całego długu, choć „sprawa słuszną“. Niemiec dobrze podkuty.

Iwan Matwieicz począł dodawać jeszcze po pięćdziesiąt rubli miesięcznie, z zamiarem ściągnięcia tych pieniędzy z dochodów Oblomowa w trzecim roku, a przytem wytłumaczył siostrze,

a nawet zaklął się, że więcej ani grosza nie da, Obliczył i poradził jaki wikt ma zaprowadzić, ażeby zmniejszyć rozchody, jakie potrawy ma gotować, wyliczył ile może otrzymać za kurczęta, za kapustę i zdecydował, że przy takim stanie rzeczy można żyć przyspiewując sobie.

Po raz pierwszy w życiu swoim Agafja Matwiejewna zamyśliła się nie o gospodarstwie, lecz o czymś innem, pierwszy raz zapłakała nie ze złości na Akulinę za stłuczone naczynie, nie z powodu wymyślania „braciszka“ za niedogotowaną rybę. Pierwszy raz przed jej oczyma stanęła smutna troska nie o siebie, lecz o Ilję Iljicza.

— Jakże tak nagle ten „barin“ — myślała — pocznie jadać zamiast szparagów — rzepę na maśle, zamiast kuropatwy — baraninę, zamiast pstrągów z Gaczyny, bursztynowego jesiotra — solonego sandacza, a może nawet studzieninę ze sklepiku.

Przestrach ją ogarnął. Nie chciała dłużej myśleć. Ubrała się pośpiesznie, wynajęła dorożkę i pojechała do krewnych męża — nie na Wielkanoc lub Boże Narodzenie, na wieczerzę familijną, lecz wczesnym rankiem, z wielką troską, ciężkiem słowem, z zapytaniem co robić i z zamiarem zaciągnięcia u nich pożyczki.

To zamożni ludzie, dadzą zaraz, gdy się dowiedzą że to dla Ilji Iljicza. Gdyby to dla niej — na kawę, herbatę, dzieciom na ubranie, na trzewiki lub na coś podobnego, onaby nie pomyślała nawet o tem, a to przecież dla Ilji Iljicza; trzeba kupić dla niego szparagów, kuropatwę na pieczone, groszek francuski, który on tak lubi.

U krewnych zdziwienie wywołała jej prośba.

Pieniędzy nie dostała. Powiedziano jej, że jeśli Ilja Iljicz ma jakieś złote lub srebrne rzeczy, lub futra — można na to zaciągnąć pożyczkę, gdyż nie brak takich dobroczyńców, którzy udzielą pożyczki do trzeciej części wartości, aż do chwili kiedy Obłomow otrzyma pieniądze ze wsi.

W innym czasie ta lekcja praktyczna nie zatrzymałaby się w głowie genialnej gospodyni i w żaden sposób nie byłaby należycie zrozumiała, ale teraz rozumem serca zrozumiała wszystko, skombinowała i — zważyła swoje perły, otrzymane niegdyś w posagu.

Ilja Iljicz, nic nie podejrzewając, pił na drugi dzień wódeczkę na bzowych listkach, zakąsił doskonałą „siomgą“, jadł na obiad ulubioną „potrochę“ i białą kuropatwę. Agafja Matwiejewna natomiast jadła z dziećmi zwykły kapuśniak i kaszę i tylko dla towarzystwa Ilji Iljicza wypila z nim razem dwie filiżanki kawy.

Wkrótce za perłami wydobyła z kufra fermoar, potem przyszła kolej na srebro, na futro.

Przysłano nareszcie pieniądze ze wsi. Obłomow oddał jej wszystko. Agafja Matwiejewna wykupiła perły, opłaciła procenty za fermoar, srebro, futro — i znowu gotowała dla niego szparagi, kuropatwy i tylko dla pokrycia rzeczywistego stanu pijała z Obłomowym kawę. Perły wróciły do kufra.

Z tygodnia na tydzień, z dnia na dzień Agafja Matwiejewna upadała na siłach, męczyła się, sprzedawała szal, wysłała na sprzedaż swoją najlepszą suknię a została tylko w perkalikowej codziennej, z nagiemi łokciami. W niedzielę tylko przykrywała szyję starą, brudną chusteczką.

Oto dlaczego schudła, dlaczego oczy zapadły się i dlaczego sama przynosiła śniadanie Ilji Iljiczowi.

Umiała nawet okazać wesołą twarz, gdy się dowiadywała, że jutro będą u niego na obiedzie Tarantjew, Aleksiejew lub Iwan Gerasimowicz. Obiad bywał smaczny i dobrze podany. Agafja Matwiejewna nie robiła wstydu gospodarzowi. Wiele wzruszeń, biegania, prośb u sklepikarzy, a potem bezsennych nocy, nawet łez kosztowały ją te obiady!

Spadła ona niespodzianie w głębię codziennych trosk życia i wtedy poznała szczęśliwe i nieszczęśliwe dni. Mimo wszystko lubiła to życie, bez względu na gorycz swoich łez i trosk. Nie zmieniłaby go na dawne ciche, zanim poznała Obłomowa, kiedy z godnością gospodarowała wśród skwierczących patelni i garnków, rządziła Akuliną, stróżem.

Nieraz z przestrachu drgnęła nawet, gdy pomyślała — o śmierci, chociaż śmierć byłaby końcem codziennych łez, codziennych trosk i bezsennych nocy.

Ilja Iljicz zjadł śniadanie, wysłuchał lekcji czytania Maszy po francusku, posiedział w pokoju Agafji Matwiejewny, przypatrywał się jak ona reperowała kurteczkę Waniczki, przewracając ją dziesięć razy na jedną lub na drugą stronę, a w tym samym czasie bezustannie zrywała się i biegła do kuchni popatrzeć jak się piecze barania pieczeń na obiad, czy nie czas już gotować „uchę“.

— Czego się pani tak ciągle troska? — mówił Obłomow. Proszę dać pokój!

— Któż się będzie troskać jeśli nie ja? — odpo-

wiedziała. — Przyszyję jeszcze dwie łateczki i pójdę zaraz gotować. „uchę“ Co to za łobuz z tego Wani! Zeszłego tygodnia połatałam mu kurtkę — znowu podarł! Czego się śmiejesz — zwróciła się do siedzącego przy stole Wani — jesteś tylko w spodniach o jednej szelce! Nie poprawię ci do rana; nie będziesz mógł biegać po ulicy. Pewnie chłopaki na tobie potargali? Biłeś się z nimi — co? Przyznaj się!

— Nie, mamó. Samo się rozerwało — odpowiedział Wania.

— Pewnie — samo! Lepiej byś siedział w domu i lekcji się uczył! nie masz biegać po ulicy. Jak tylko Ilja Iljicz powie, że po francusku źle się uczysz — ja ci zdejmę buty! Z konieczności będziesz siedział nad książką.

— Niechcę się uczyć po francusku.

— Dlaczego? — spytał Oblomow.

— W języku francuskim dużo brzydkich słów.

Agafja Matwiejewna zarumieniała się, Oblomow śmiać się począł. Już przedtem musiała być między nimi mowa o „brzydkich słowach“.

— Milcz, łobuzie! — krzyknęła. — Utrzymaj lepiej nos — nie widzisz czy co.

Wania wybiegł, ale nosa nie utarł.

— Proszę poczekać... Jak tylko otrzymam ze wsi pieniądze, dwie pary każę mu uszyć — wmieszał się do rozmowy Oblomow — szafirową kurtkę, a na przyszły rok mundurek, przecież pójdzie do gimnazjum...

— Jeszcze i w starem chodzić może, a pieniądze przydadzą się na gospodarstwo: zrobimy zapas słoniny, konfitur dla pana nasmażymy... Pójdę zobaczyć czy Anisja przyniosła śmietanę...

Agafja Matwiejewna wstała.

— A co dzisiaj na obiad? — spytał Obłomow.

— „Ucha“ rybna, pieczeń barania, pierogi...

Ilja Iljicz milczał.

W tej chwili przed dom zajechał powóz i poczęto kołatać do bramy. Słyszeć się dało rwanie psa na łańcuchu i ujadanie.

Obłomow poszedł do siebie. Myślał że przyszedł rzeźnik, albo ogrodnik, lub ktoś w interesie. Wizytom takim towarzyszyły zwykle prośby o pieniądze, odmowa gospodyni, groźby ze strony kupca, prośba o poczekanie ze strony gospodyni. Wkońcu następowało łajanie, trzaskanie drzwiami, gwałtowny stuk bramy, szalone szamotanie się i ujadanie psa. Wogóle były to rzeczy nieprzyjemne. Ale zatrzymał się powóz — cóżby to mogło znaczyć. Rzeźnicy i ogrodnicy powozami nie jeżdżą.

Nagle gospodyni z przestachem wpadła do niego.

— Goście do pana! — krzyknęła.

— Kto? Tarantjew czy Aleksiejew?

— Nie, nie, ten co jadł obiad na imieniny pana.

— Sztolc? — z trwogą odezwał się Obłomow, oglądając się dokoła gdzieby się schować. Boże! Co on powie, gdy zobaczy... Proszę powiedzieć że wyjechałem! — dodał pośpiesznie i poszedł do pokoju gospodyni.

Anisja w sam czas wyszła na spotkanie gościa. Agafja Matwiejewna zdołała jej powtórzyć rozkaz Obłomowa. Sztolc uwierzył, ale był bardzo zdziwiony jak to mogło być, ażeby Obłomowa w domu nie było.

— Proszę powiedzieć, że ja za dwie godziny wrócę i będę na obiedzie u pana — powiedział

Sztolc i poszedł przejść się do pobliskiego ogrodu publicznego.

— Przyjdzie na obiad! — z przestachem rzekła Anisja.

— Przyjdzie na obiad! — nie bez wzruszenia powtórzyła Agafja Matwiejewna Obłomowowi.

— Trzeba dziś przygotować inny obiad! — zdecydował, po krótkim milczeniu.

Agafja Matwiejewna zwróciła na niego spojrzenie pełne lęku. Miała w swojej kasie tylko pół rubla, a do pierwszego, kiedy „braciszek“ wypłacał jej pieniądze było jeszcze dziesięć dni. Kredytować nikt nie chciał.

— Nie zdążymy Ilja Iljicz — zauważyła nieśmiało. Zje co jest...

— Nie będzie jeść tego Agafjo Matwiejewna. „Uchy“ cierpieć nie może, nawet ze sterłą nie jada, baraniny także do ust nie weźmie...

— Ozór można kupić w masarni! — zawołała jakby w natchnieniu — stąd niedaleko.

— To bardzo dobrze... można... Niech pani jeszcze każe kupić jarzyny... młodej fasolki...

— Fasolka osiem grzywień funt... — kręciło się jej na języku, ale nie powiedziała nic.

— Dobrze... zrobię... — ale była zdecydowaną zastąpić fasolkę kapustą.

— Proszę kazać kupić funt sera szwajcarskiego! — mówił dalej Obłomow, nie wiedząc o stanie kasy Agafji Matwiejewny — a więcej nic. Przepraszę go... powiem, że nie spodziewałem się... Gdyby można buljon jakiś...

Gospodyni już miała odejść.

— A wino? — nagle przypomniał Obłomow.

Agafja Matwiejewna odpowiedziała na to nowem przerażeniem.

— Trzeba posłać po Lafitte — zakończył spokojnie Ilja Iljicz.

VI.

Po dwóch godzinach wrócił Sztolc.

— Co się z tobą dzieje! — zawołał — tak zmieniłeś się, osunąłeś się, blady jesteś! Czyś nie chory?

— Źle z mojem zdrowiem, Andrzeju! — odpowiadał Oblomow, obejmując kolegę. — Lewa noga drętwieje zupełnie.

— Jakże tu obrzydliwie u ciebie! — zawołał Sztolc, oglądając się dokoła. — Czemu nie porzucisz już tego szlafroka? Spojrz — on cały w łatach!

— Przyzwyczajenie, Andrzeju — żał się rozstać!

— A koidra, a firanki... — zaczął znowu — czy to także przyzwyczajenie? Szkoda rozstać się z temi szmatkami? Zmiłuj się, czy ty możesz sypiać na tem łóżku? Co się z tobą dzieje?

Sztolc pilnie wpatrzył się w Oblomowa, potem znowu spojrzenie zwrócił na pościel, na firanki.

— Nie — odpowiedział Ilja Iljicz. — Ty wiesz, ja zawsze nie bardzo dbałem o swój pokój... Siądźmy lepiej do obiadu. Hej, Zachar! Nakrywaj prędzej! Na długo przyjechałeś? Skąd?

— Zgadnij chem jestem i skąd przyjeżdżam? — rzekł Sztolc. — Do ciebie tutaj nie dochodzą wiadomości z żyjącego świata.

Oblomow z ciekawością wpatrywał się w niego i czekał co powie.

— Co się dzieje z Olgą? — spytał.

— Nie zapomniałeś! A ja myślałem, żeś zapomniał.

— Nie, Andrzeju! Czyż ją można zapomnieć? — Byłoby to wszystko jedno, co zapomnieć, że żyłem kiedyś, że przez chwilę byłem w raju... A teraz, co!

Obłomow westchnął.

— Gdzież ona?

— Na wsi, u siebie... gospodaruje.

— Z ciotką? — pytał dalej.

— I z mężem.

— Więc wyszła zamaż? — szeroko otworzywszy oczy, zawołał Obłomow.

— Przestraszyłeś się? Wspomnienie jakieś? — cicho, z uczuciem serdeczności zapytał Sztolc.

— Ach, nie! Bóg z tobą! — usprawiedliwiał się Obłomow, odzyskując równowagę. — Nie przestraszyłem się, ale się zdziwił. Niewiem dlaczego przeraziła mnie ta wiadomość. Czy też szczęśliwa? — powiedz mi na miły Bóg. Czuje, że zdjąłeś ze mnie wielki ciężar! Chociaż zapewniałeś, że mi przebaczyła, ale wiesz... nie miałem spokoju! Coś mnie ciągle męczyło... Kochany Andrzeju, jak ja wdzięczny jestem tobie!

Obłomow tak się cieszył serdecznie, tak się ruszał, że prawie podskakiwał na kanapie. Sztolc przypatrywał mu się ze wzruszeniem i przyjemnością.

— Jakiś ty dobry, Iljuszka! Serce twoje było jej godne — rzekł. Ja wszystko jej powtórzę.

— Nie, nie, nic nie mów! Ona gotowa źle wytłumaczyć sobie moją radość z powodu jej zamaż-pójścia.

— A radość czyż nie jest uczuciem szlachetnem,

jeśli pozbawiona egoizmu? Przecież cieszy ciębie tylko jej szczęście.

— Prawda, prawda! — przerwał Oblomow. — Bóg wie, co gadam... Któż jest tym szczęśliwym? — pytał.

— Kto? — powtórzył Sztolc. --- Jakiś ty niedomyślny, Iljusza.

Oblomow nagle nieruchomy wzrok zatrzymał na twarzy przyjaciela. Zdawało się, że twarz skamieniała na chwilę, rumieniec z niej uciekł.

— Ty... ty może?

— Znowu przełękłeś się! Więc cóż? — rzekł, zaśmiewając się Sztolc.

— Nie żartuj Andrzeju! Powiedz prawdę! — ze wzruszeniem pytał Oblomow.

— Jak Boga kocham nie żartuję! Drugi już rok Olga jest moją żoną!

Powoli przerażenie zniknęło z twarzy Oblomowa, a na jego miejsce osiadało spokojne zamyślenie. Nie podnosił jeszcze oczu, ale po chwili zamyślenie przemieniało się w cichą i głęboką radość, a gdy powoli zatrzymał na Sztolcu spojrzenie, w spojrzeniu tem błyszczały radość i łzy.

— Kochany Andrzeju! — zawołał Oblomow, obejmując go. — Miła Olga... Siergiejewna — dodał, wstrzymując swój zachwyt — was sam Pan Bóg błogosławił! Boże mój! Jakże jestem szczęśliwy! Powiedz jej...

— Powiem, że innego Oblomowa nie znam! — przerwał mu wzruszony Sztolc.

— Nie, powiedz... przypomnij, że spotkałem ją tylko dlatego, ażeby ją na drogę wyprowadzić, że błogosławię to spotkanie i ją błogosławię na nowe życie! Gdyby inny — rzekł przerażony, — a teraz —

dodał wesoło — ja nie wstydzę się mojej roli, nie robię sobie wyrzutów. Z duszy spadł mi ciężar... Tam jasno — i jestem szczęśliwy! Boże! Dzięki ci składam!

Znowu ledwie nie skakał na kanapie ze wzruszenia. W oczach błyszczały mu łzy radości.

— Zachar! Szampan do obiadu! — krzyknął, zapomniawszy, że nie ma ani grosza w kieszeni.

— Wszystko opowiem Oldze, wszystko! — mówił Sztolc. — Niedaremnie ona zapomnieć ciebie nie może. Nie! Ty wart byłeś jej serca — serce twoje głębokie jak studnia.

Z przedpokoju wysunęła się głowa Zachara.

— Czego chcesz? — niecierpliwie zapytał Oblomow.

— Proszę tutaj! — rzekł Zachar, kiwając głową do Oblomowa.

— Czego?

— Proszę dać pieniędzy! — szepnął Zachar. Oblomow zamilkł nagle.

— Nie trzeba — rzekł cicho przez drzwi. — Powiedz, że zapomniałeś... Ruszaj! ale nie — poczekaj! Chodź tu! — zawołał głośno. — Wiesz ty, Zachar, jaka jest nowina? Powinszuj! Andrzej Iwanycz ożenił się!

— Ach, batiuszka! Pozwolił Bóg doczekać się takiej radości! Winszuję batiuszka Andrzej Iwanycz! Niech Bóg pozwoli panu żyć długie lata i dziątek doczekać! O, Boże mój! Jakaż to radość!

Zachar kłaniał się, uśmiechał, sapał. Sztolc wyjął jakiś papierek i podał mu.

— Weź to sobie i kup surdut — powiedział — spojrzno na siebie, wyglądasz na żebraka!

— Z kim batiuszka? — pytał Zachar, chwytając rękę Sztolca.

— Z Olgą Siergiejewną, pamiętasz? — pytał Obłomow.

— Z panienką Iljińską? Boże! Jaka ładna panienska! Słusznie lajał mnie wtedy Ilja Iljicz, starego psa! Grzeszyłem, winien jestem — wszystko na Ilję Iljicza gadałem. A wtenczas ja ludziom Iljińskich rozповідаłem, a nie Nikita! I wyszła nieprawda! Ach, Boże mój! Ach Boże! — powtarzał Zachar odchodząc.

— Olga zaprasza ciebie na wieś w gościnę do siebie. Miłość twoja już ostygła, zazdrościć nie będziesz. Jedźmy!

Obłomow westchnął.

— Nie, Andrzeju! Ani miłości, ani zazdrości nie lękam się, a jednak nie pojedę do was.

— Czegoż się boisz?

— Boję się własnej zawiści. Wasze szczęście będzie dla mnie zwierciadłem, w którym będę zawsze oglądał własną gorzką dolę i zmarnowane życie. Inaczej żyć ja już nie potrafię, nie mogę.

— Daj pokój Iljusza. Mimowoli zaczniesz żyć, gdy ujrzysz, że inni żyją koło ciebie. Będiesz robić rachunki, gospodarować, czytać, słuchać muzyki. Jak się teraz jej głos wyrobił! Pamiętasz *Casta diva*?

Obłomow ręką dawał znak, ażeby nie wspominał.

— A więc jedziemy! — nalegał Sztolc. — Jest to jej wola, ona nie ustąpi. Ja się zmęcze, ale ona — nie. To taki ogień, takie życie, że nieraz i mnie się dostanie! Znowu zaszumi w duszy twojej przeszłość. Przypomnisz sobie park, bez — i rozruszasz się powoli.

— Nie, Andrzeju, nie. Nie przypominaj, nie poruszaj przeszłości, na miłość Boga! — prosił go poważnie Obłomow. — Wspomnienia, to największa poezja, jeśli żywego dotykają szczęścia — ale ból piekący, kiedy dotykają zaskorupiałej rany. Mówmy o czem innem. Otóż właśnie — nie podziękowałem ci jeszcze za kłopoty, co do moich spraw wiejskich. Mój przyjacielu! Nie mogę, nie mam sił na dziękowanie. Szukaj nagrody we własnem szczęściu, własnem sercu, w Oldze... Siergiejewnie, a ja... ja... nie mogę! Przebacz, że sam dotychczas nie zastąpiłem ciebie w kłopotach. Wkrótce wiosna będzie, ja wyjadę z pewnością do Obłomówki.

— A wiesz, co się dzieje w Obłomówce? Nie poznałbyś jej! — mówił Sztolc. Nie pisuję do ciebie dlatego, bo nie odpowiadasz na listy. Most zbudowany, budowa domu przeszłego lata wyprowadzona pod dach. Tylko już o wewnętrznem urządzeniu sam pomyśl. Gospodarstwo prowadzi nowy rządcą, człowiek pewny. Czy widziałeś rozchody w raportach?

Obłomow milczał.

— Nie czytałeś ich, prawda? — pytał Sztolc, patrząc na niego. — Gdzież one?

— Poczekaj, po obiedzie poszukam... Trzeba zapytać Zachara.

— Ach, Ilja, Ilja! Niewiadomo, śmiać się, czy płakać!

— Po obiedzie poszukamy. Dają obiad!

Sztolc zmarszczył się, siadając do stołu. Przypomniawszy sobie imieniny Obłomowa: ostrygi, ananasy, dubelty, a teraz widział pusty stół, naczynie na oliwę i na ocet bez korków, i przykryciem były papierowe zwitki; na talerzu leżały kawałki czarnego

chleba, widelce miały złamany trzonek. Oblomowowi podano „uchę“, a Sztolcowi zupe, zasypaną krupkami i gotowanego kurczaka; potem podano twardy ozór, wkońcu baraninę. Przyniesiono wino. Sztolc nalał pół szklanki, popróbował i postawił na stole. Ilja Iljicz wypił dwa kieliszki wódki na bżowych liściach jeden po drugim i łakomie począł jeść baraninę.

— Wino bardzo kiepskie! — zauważył Sztolc.

— Wybacz... nie było czasu pójść na tamtą stronę — usprawiedliwiał się Oblomow. Może chcesz wódeczki? Doskonała! Spróbuj Andrzeju!

Ilja Iljicz nalał jeszcze kieliszek i wypił.

Sztolc ze zdumieniem spojrzał na niego, ale milczał.

— Agafja Matwiejewna sama ją preparuje. Dobra kobieta! — mówił Oblomow, trochę już wódką zatumaniony. — Niewiem, doprawdy, jakbym potrafił obejść się bez niej na wsi. Takiej drugiej gospodyni trudno znaleźć!

Sztolc słuchał, brwi trochę ściągnawszy.

— Myślisz, że to wszystko przygotowała? Anisja — co? Nie — ciągnął Oblomow — Anisja kurcząt dogląda, plewi kapustę w ogrodzie, podłogę zmywa, a wszystko robi Agafja Matwiejewna.

Sztolc nie jadł ani baraniny, ani pierogów i tylko przypatrywał się jak Oblomow zmiatał wszystko z apetytem.

— Teraz już nie ujrzysz na mnie koszuli na wywrót — ciągnął dalej Oblomow — ogryzując kostkę; ona wszystko opatrzy, wszystkiego dojrzy, niema ani jednej dziurawej szkarpetki! Wszystko robi sama. A jak kawę gotuje! Ja cię poczęstuję po obiedzie.

Sztolc słuchał milcząc, z zakłopotaną twarzą.

— Teraz brat wyniósł się stąd — żeni się, więc i gospodarstwo, wiesz, już nie jest tak wielkie, jak przedtem. Dawniej, bywało, wszystko u niej paliło się w rękę. Od rana do wieczora biegła — na targ, do magazynów... Powiem ci — mówił Obłomow, ledwie obracając językiem — daj mnie jakie dwa — trzy tysiące, to ja ciebie nie baraniną będę przyjmować, całego jesiotra na stole przed tobą położę, pstragi, filety pierwszego gatunku. A Agafja Matwiejewna i bez kucharza cuda umie tworzyć — tak!

Obłomow wypił jeszcze kieliszek.

— Wypij Andrzeju! Proszę cię, wypij! Doskonała wódka — zachęcał Ilja Iljicz. Olga Siergiejewna takiej nie potrafi zrobić! — mówił niepewnym językiem. Ona zaśpiewa *Casta diva* — a wódki nie potrafi zrobić. I „piroga“ z grzybami i kurczętami nie upiecze. Takie „pirogi“ tylko tutaj i w Obłomówce piekli. I to jest dobre, że nie kucharz gotuje. Ten Bóg wie jakimi rękoma „pirog“ zawija, a Agafja Matwiejewna chodząca czystość!

Sztolc słuchał pilnie, nadstawiawszy uszu.

— A ręce miała białe — mówił dalej Obłomow, zatumaniony trochę gorzałką. — Nie grzech pocałować nawet! Teraz zgrubiały trochę, bo sama wszystko robi! Nawet koszule moje sama krochmali! — prawie ze łzami mówił Obłomow wzruszony. — Jak mi Bóg miły, sam widziałem. Dobra kobieta ta Agafja Matwiejewna! Ach, Andrzeju! Przyjeżdżajcie tu z Olgą Stepanówną, najmijcie „daczę“ w sąsiedztwie, ach wtenczas byśmy zażyli! W lasku pijalibyśmy herbatę w czasie Iljinskiego jarmarku, chadzałibyśmy do Prochowni, a za nami „wózek“ z prowiantami, z samowarem... Tam na trawie, na

rozścielonym dywanie rozłożylibyśmy się. Agafja Matwiejewna nauczyłaby Olgę gospodarować. Teraz to tylko źle, że brat jej inne ma mieszkanie, a gdyby „nam“ dano trzy — cztery tysiące, jabyśmy ci takich indyków nahlodował...

— Przecież ty otrzymujesz ode mnie pięć tysięcy! — przerwał Sztolc — coś ty z nimi robisz?

— A dług? — wyrwało się Oblomowowi.

Sztolc porwał się z miejsca.

— Dług? — powtórzył, — jaki dług?

Patrzył na Oblomowa jak groźny nauczyciel na ukrywającego coś ucznia.

Ilja Iljicz nagle zamilkł. Sztolc przysiadł się do niego na kanapę.

— Komu jesteś winien?

Oblomow wytrzeźwiał trochę i opamiętał się.

— Nikomu... skłamałem...

— Nie, ty teraz właśnie kłamiesz, ale nie gładko. Co się z tobą dzieje, Ilja? Więc to jest ta baranina, to kwaśne wino! Ty nie masz pieniędzy. Coś z nimi robisz?

— Rzeczywiście... winien jestem trochę gospodyni za produkty — rzekł.

— Za baraninę i za ozór! Ilja! Mów co się stało? Co to za historia: brat wyniósł się, gospodarstwo poszło źle. Coś w tem jest złego. Ileś winien?

— Dziesięć tysięcy gospodyni na skrypt dłużny — wyszeptał ledwie.

Sztolc zerwał się i usiadł znowu.

— Dziesięć tysięcy! Gospodyni! Za produkty!

— powtarzał przerażony.

— Tak, wiele braliśmy... żyłem szeroko... Pa-

miętasz ananasy, morele... i dług się zaciągnął. Ale co o tem mówić!

Sztolc nie odpowiedział. Myślał tylko: brat opuścił, gospodarstwo poszło źle — i rzeczywiście: wszędzie goło, ubogo, brudno. Cóż to za kobieta ta gospodyni? Oblomow ją chwali, ona pielegnuje go. Ilja Iljicz mówi o niej z zapalem.

Nagle twarz Sztolca zmieniła się: stanęła przed nim prawda. Chłód jakiś powiał od niego.

— Ilja! — pytał Oblomowa — czem jest ta kobieta dla ciebie!

Ilja Iljicz oparł się na stole i zadrzemał.

— Ta kobieta rabuje go — myślał — ciągnie z niego wszystko! Codzienna historia! A ja do tej pory nie domyślałem się.

Sztolc powstał i szybko otworzył drzwi do gospodyni. Agafja Matwiejewna ujrawszy go, z przestachu upuściła łyżeczkę, którą mieszała kawę.

— Chciałbym z panią pomówić! — rzekł grzecznie.

— Proszę do pokoju bawialnego — odpowiedziała bojaźliwie.

Zarzuciwszy chusteczkę na szyję, poszła za nim. Usiadła na rąbku kanapy i milczała. Szalu nie miała już na ramionach jak ongi i ręce chowała pod chustkę.

— Czy Ilja Iljicz dał pani skrypt dłużny? — zapytał.

— Nie — odpowiedziała z tępem zdziwieniem.
— Ilja Iljicz żadnego skryptu dłużnego mnie nie dawał.

— Jakto — żadnego?

— Ja żadnego takiego dokumentu nie widziałam! — twierdziła stanowczo.

— Skrypt dłużny! — powtórzył Sztolc.

Agafja Matwiejewna pomyślała trochę.

— Dobrze byłoby, gdyby pan pogadał z bratem. Ja żadnego skryptu nie widziałam.

— Czy ona głupia, czy oszustka? — pomyślał Sztolc.

— Ale Ilja Iljicz winien coś pani?

Spojrzała na niego tępym wzrokiem, potem po twarzy jej prześlizgnęła się myśl jakaś, coś podobnego do przestachu. Przypomniła sobie, że zastawiła perły, srebro, ubranie i zdało się jej, że Sztolc o tem mówi. Nie mogła tylko zrozumieć w jaki sposób dowiedziano się, gdyż o tej tajemnicy nie powiedziała nietylko Oblomowi, ale nawet przed Anisją nie przyznała się, przed którą z każdej kopiejki się spowiadała.

— Ileż Ilja Iljicz winien pani? dopytywał się Sztolc niecierpliwie.

— Nic nie winien, ani kopiejki!.

— Ukrywa chyba przede mną — myślał — albo wstydzi się chciwa baba — wyzyskiwaczka! Ale dojdę do końca!

— A dziesięć tysięcy? — spytał.

— Jakie dziesięć tysięcy? — powtórzyła przestraszona i zdziwiona.

— Według skryptu dłużnego. Ilja Iljicz winien pani dziesięć tysięcy rubli — tak czy nie?

— Nie, mnie nie winien — mówiła swoje Agafja Matwiejewna. W poście był winien rzeźnikowi dwanaście i pół rubla, ale to już przed trzema tygodniami zapłacono; za śmietankę mleczarce — także zapłacono. Więcej Ilja Iljicz nikomu nie był winien.

— A dokumentu pani u siebie nie ma żadnego?

Agafja Matwiejewna znowu tępo spojrzała na niego.

— Dobrzeby było, ażeby pan z bratem o tem pomówił — odpowiedziała — on mieszka poza drogą, w domu Zamykałowa, tuż zaraz... Piwnica obok domu...

— Przepraszam, ja chcę z panią o tem mówić — rzekł stanowczo. — Ilja Iljicz powiada, że dłużny dziesięć tysięcy pani, a nie bratu.

— Mnie nic nie winien... A że zastawiałam perły, srebro, futro — robiłam to dla własnej potrzeby. Dla Maszy i dla siebie kupiłam trzewiki, dla Waniuszki na koszulę nabrałam, płaciłam za jarzyny. Dla Ilji Ilicza nie wydałam ani kopiejki.

Sztolc patrzył na nią, słuchał i starał się treść słów odgadnąć. Zdaje się, że on jeden był najbliższy odgadnięcia tajemnicy Agafji Matwiejewny. Spojrzenie lekceważenia, pogardy prawie, jakim na nią z początku patrzył, powoli przybierało charakter zaciekawienia, a nawet współczucia.

W zastawieniu pereł, srebra Sztolc odgadywał smutną tajemnicę ofiary, tylko nie był pewny, czy te ofiary płynęły z prawdziwej życzliwości, czy też obliczone były na nadzieję sowitego pokrycia w przyszłości.

Nie wiedział, czy się ma smucić, czy cieszyć z tego. Okazało się ostatecznie, że Oblomow nic nie był jej winien, że dług jest jakimś figlem oszukańczym, ale odkrywała się także inna strona tej całej sprawy: co mogło oznaczać owo zastawienie pereł i srebra?

— Zatem, pani nie ma żadnej pretensji do Ilji Ilicza? — spytał.

— Proszę z bratem pomówić — odpowiedziała obojętnym głosem.

— Ale pani powiada, że Ilja Iljicz nic pani nie winien?

— Ani kopiejki! jak Boga kocham, prawda — rzekła patrząc na niego i żegnając się.

— Czy pani może stwierdzić to przy świadkach?

— Przy wszystkich, choćby na spowiedzi! A zem zastawiła perły i srebro — to na własne potrzeby.

— Bardzo pięknie! — przerwał Sztolc. — Jutro przyjadę do pani z dwoma moimi świadkami i pani nie zawaha się wobec nich powtórzyć to samo.

— Lepiej byłoby, ażeby pan z bratem o tem pomówił — rzekła. — Ja ubrana jestem nie tak... zawsze w kuchni... Nie dobrze jak obcy ludzie zobaczą mnie tak, Bóg wie co gadać będą...

— Nic to nie znaczy. Z bratem pani ja jutro się zobaczę po podpisaniu przez panią dokumentu...

— Odzwyczaiłam się zupełnie od pisania...

— Nie wiele trzeba będzie pisać... parę wierszy tylko.

— Proszę mnie od tego zwolnić... Lepiej niech Waniusza — on dobrze pisze.

— Niech pani nie odmawia — nalegał Sztolc. — Jeśli pani nie podpisze zeznania, to będzie to oznaczać, że Ilja Iljicz winien pani dziesięć tysięcy.

— Nie, nic nie winien, ani kopiejki! — rzekła stanowczo. Klnę się Bogiem!

— W takim razie powinna pani podpisać zeznanie. Zatem, dowidzenia, do jutra.

— Jutro możeby lepiej z bratem... — mówiła,

odprowadzając go. — Tu zaraz, narożny dom, przez ulicę.

— Ja tylko proszę panią do mego przybycia nic bratu nie mówić. Inaczej Ilji Iljiczowi będzie bardzo przykro.

— W takim razie nic mu nie powiem.

VII.

Nazajutrz Agafja Matwiejewna wydała Sztolcowi poświadczenie, że nie ma żadnej pieniężnej pretensji do Ilji Iljicza. Z tem poświadczeniem Sztolc nagle zjawił się przed „braciszkiem“.

Zjawienie się to jak piorun podziało na Iwana Matwieicza. Zmieszany wyjął dokument i drżącym średnim palcem prawej ręki, paznogciem, zwróconym wdół, wskazał podpis Oblomowa, poświadczony przez notariusza.

— Takie prawo... — zauważył. — Ja nie jestem w tem interesowany i tylko pilnuję spraw mojej siostry; jakie pieniądze brał Ilja Iljicz — niewiem.

— Na tem nie zakończy się nasza sprawa — rzekł Sztolc na odjezdnem.

— Sprawa słuszna... — rzekł Iwan Matwieicz, chowając ręce w rękawy — ja nie jestem w tem interesowany...

Na drugi dzień, ledwie Iwan Matwieicz wszedł do biura, zjawił się woźny od generała z rozkazem natychmiastowego stawienia się.

— Do generała! — z przestrochem powtórzyli wszyscy współtowarzysze w biurze. Dlaczego? Poco? Czy żadnej sprawy nie kazał wziąć? jaką? Prędzej! Prędzej! Zszywać fascykuly... uzupełnić protokół... Co to takiego?

Wieczorem Iwan Matwieicz przyszedł od „traktiru“ bardzo zgryziony. Tarantjew dawno już czekał na niego.

— Cóż tam kumie? — spytał wchodzącego.

— Co? — powtórzył zimnym głosem Iwan Matwieicz. — A ty jak myślisz — co?

— Wyłajali pewnie?

— Wyłajali! — przedrzeźniał Iwan Matwieicz. Wołałbym, ażeby nawet porządnie obili! Ale i ty dobry sobie jesteś! — zwrócił się z wymówką — nie powiedziałeś co to za ptaszek ten Niemiec.

— Powiedziałem ci przecież, że dobra sztuka.

— Co to — dobra sztuka! Widywałem ja takich! Dlaczego nie powiedziałeś mi, że on ma plecy za sobą! On jest w przyjaźni z jenerałem, jeden do drugiego „ty“ mówią, jak ja z tobą. Pocóż ja byłbym się zaczął z takim...

— Ale przecież to sprawa słuszna... — zauważył Tarantjew.

— Słuszna! — przedrzeźniał go znowu Muchojarow. Pójdź, powiedz tam... język ci do krtani przyschnie! Wiesz co mi jenerał powiedział?

— Co? — z ciekawością pytał Tarantjew.

— Czy to prawda, że pan z jakimś łajdakiem napoiłście „obywatela“ Obłomowa do nieprzytomności i zmusiliście go do podpisania skryptu dłużnego na imię siostry pańskiej?

— Czy tak powiedział — z łajdakiem? — dopytywał się Tarantjew.

— Tak właśnie powiedział.

— Któżby to był ten „łajdak“? — dopytywał się Tarantjew.

Kum spojrzał na niego.

— Co? Niby nie domyślasz się? — pytał złośliwie. — Może to ty.

— A mnie poco tam przyplątali?

— Podziękuj Niemcowi i swemu krajanowi. Niemiec wszystko wywachał, wypytał.

— Tybyś kumie na kogo innego wskazał, a o mnie powiedział, że nie byłem tam.

— Ta—a—ak! Cóż ty święty jesteś i nie-tykalny!

— Cożes ty odpowiedział, gdy generał pytał: „czy to prawda, że ty z jakimś lajdakiem...” Tu możnaby się było i wyłgać.

— Wyłgać się? Aha, spróbuj tylko! Oczy ma takie zielone. Wysilałem się, wysilałem się, chciałem powiedzieć: „nieprawda Eksceleńco, to obmowa, żadnego Obłomowa nie znam, wszystko Tarantjew...”, ale z języka ani słówko spaść nie mogło, tylko do nóg mu upadłem...

— Cóż oni, sprawę chcą rozpocząć czy co? — głucho zapytał Tarantjew. — Ja nie jestem w tem interesowany, tylko ty kumie...

— Ty nie jesteś w tem interesowany! Nie kumie, jeżeli na stryczek, toś ty powinien pójść pierwszy. Kto Obłomowa zachęcał do picia? Kto wstydził go, kto groził?

— Tyś mnie sam uczył — bronił się Tarantjew.

— A ty dziecko jesteś czy co, abys mówił: nic nie wiem, nic nie rozumiem.

— To nieuczciwie z twojej strony kumie... Tobie wszystko przypadło, a ja dostałem tylko trzysta rubli...

— Cóż to? Mam całą winę na siebie przyjąć? Zręczny jesteś chłop! Nie, kumie, to ja nic nie wiem — mówił Iwan Matwieicz, — mnie tylko siostra,

prosiła, jako kobieta nieznająca się na rzeczy, abym zaświadczył skrypt u notariusza — oto wszystko. Ty i Zatiortyj byliście świadkami tego wszystkiego wy i odpowiadać powinni.

— Powinieneś siostrę dobrze wziąć w ręce, jak ona śmiała występować przeciwko bratu? — mówił Tarantjew.

— Siostra głupia, nic się z nią nie dogadasz.

— Cóż ona?

— Płacze, i swoje powtarza: „nic mnie nie winien Ilja Iljicz — i tyle. Pieniędzy mu żadnych nie pożyczałam“.

— Ty masz także skrypt i na nią. Nic nie stracisz.

Muchojarow wyjął z kieszeni skrypt dłużny siostry, porwał na kawałki i podał Tarantjewowi.

— Masz, weź, podaruję go ci! chcesz? — mówił. — Co ja od niej wezmę? Dom z ogrodem czy co. Za niego i tysiąc rubli nikt nie da... cały się wali. A zresztą? Chrześcijaninem przecież jestem, nie wygonię jej na żebraczy chleb z dziećmi!

— Zatem, rozpocznie się sprawa... — zaczął Tarantjew trwożliwie. — Trzeba się wypłatać najtaniej! Ty kumie wyciągnij mnie z biedy...

— Jaka sprawa? Żadnej sprawy nie będzie! Jenerał groził wysłać z miasta, ale Niemiec wyprosił, nie chce wstydu dla Obłomowa.

— Co mówisz kumie! Teraz jakby góra z pleców spadła! Wypijmy! — zawołał uradowany Tarantjew.

— Wypić? Za czyje pieniądze? Za twoje chyba?

— A za twoje nie? Dziś pewnie jakich siedem rubli schowałeś!

— Cc—o—o? Trzeba się pożegnać z dochodami! Nie mówiłem ci co generał powiedział?

— A co? — nagle strwożony znowu zapytał Tarantjew.

— Kazał się podać do dymisji!

— Co tobie kumie! — krzyknął prawie, oczy wytrzeszczywszy na Muchojarowa przełknięty Tarantjew. — No, teraz — zakończył z furją — wylaje ziemiaka, jak się patrzy.

— Tybyś tylko łajał! — zauważył Iwan Matwieicz.

— Nie, wylaje, chcesz czy nie chcesz! A zresztą, poczekam... Oto co wymyśliłem, posłuchaj kumie!

— Cóż jeszcze? — spytał zamyślony Iwan Matwieicz.

— Można jeszcze dobrą sprawę ubić! Szkoda tylko że tam nie mieszkasz.

— A co?

— Co! — rzekł, patrząc na Iwana Matwieicza. — Śledzić pilnie Oblomowa i siostrę, jakie to oni tam „pirogi“ pieką i tego... świadków! Tu już i Niemiec nic nie pomoże. A ty teraz wolny kozak! Wytoczysz sprawę — a sprawa słuszną! Nie bój się! Niemiec nawet stchórzy — będzie szukać zgody.

— Rzeczywiście, można coś zrobić! — odpowiedział Muchojarow zamyślony. — Ty nie jesteś głupi na pomysły, tylko do roboty nie nadajesz się, i Zatiortyj także. Znajdę ja kogoś! — mówił ożywiając się. — Poczekaj! Ja im dam! Ja kucharkę swoją pošlę do kuchni siostry, ona się zaprzy-

jaźni z Anisją, dowie się o wszystkim, a potem... Wypijmy kumie!

— Wypijmy, kumie — powtórzył Tarantjew. — A potem dopiero wylaję „ziemlaka“.

Sztolc próbował zabrać Oblomowa z tej nory, ale Ilja Iljicz prosił, aby zostawił go jeszcze miesiąc, prosił tak bardzo, że Sztolc ulitował się nad nim. Ten miesiąc potrzebny mu był, ażeby pokonać swoje rachunki, odstąpić komuś mieszkanie i tak uporządkować sprawy w Petersburgu, ażeby więcej nie wracać. Trzeba było także zakupić wszystko dla wyekwipowania domu na wsi, chciał wreszcie wyszukać sobie jakąś zręczną ochmistrzynię, w rodzaju Agafji Matwiejewny. Myślał, że może uda mu się ją namówić by sprzedała dom i zamieszkała stale na wsi, na stanowisku godnem jej talentu, do kierowania wielkiem i urozmaiconem gospodarstwem.

— A propos gospodyni — spytał go Sztolc — chciałbym wiedzieć jakie ciebie stosunki z nią wiążą.

Oblomow nagle poczerwieniał.

— Co ty przez to rozumiesz? — spytał pośpiesznie.

— Sam bardzo dobrze wiesz o co chodzi — zauważył Sztolc. — Inaczej nie potrzebowałbyś czerwienić się. Słuchaj Ilja, jeśli ostrzeżenie moje przydać się naco może, to ja w imię starej naszej przyjaźni proszę cię — bądź ostrożny.

— Czegóż się mam wystrzegać, zmiłuj się! — bronił się Oblomow.

— Mówiłeś o niej z takim zapalem, iż zaczynam myśleć, że ty...

✓ - Kocham ją czy co? — chciałeś powiedzieć. —

Dajże mi pokój! — przerwał Oblomow, zaśmiawszy się wymuszonym śmiechem.

— Jeśli tu niema żadnego moralnego obowiązku — tem gorzej...

— Andrzeju! Czy znałeś mnie kiedy jako człowieka rozwiązłego?

— Dlaczegożś poczerwieniał?

— Dlatego, żeś mógł przypuścić coś złego.

Sztolc z niedowierzaniem głową pokręcił.

— Pilnuj się Ilja, nie wpadnij w łapkę! Prosta baba, życie wśród brudu, przygniatająca atmosfera tępości umysłowej... fe!

Oblomow milczał.

— No, bądź zdrow! — zakończył Sztolc. — Powiem Oldze, że latem powitamy cię jeśli nie w naszym domu, to w Oblomówce. Pamiętaj — Olga na obietnicach nie poprzestanie!

— Stanowczo, stanowczo przyjadę! — zapewniał Oblomow. — Dodaj, że jeśli ona pozwoli, całą zimę spędzę u was.

— Bardzobyś ją ucieszył.

Sztolc tego samego dnia wyjechał, a wieczorem zjawił się u Oblomowa Tarantjew. Nie wytrzymał, ażeby go nie wyłajać za kuma. Nie wziął w rachubę jednego, że Oblomow w towarzystwie Iljinskih odzwyczaił się od stosunku z tego rodzaju ludźmi, że apatja i pobłażliwość dla szorstkości Tarantjewa zmieniły się w obrzydzenie. Dało się to spostrzec już dawno, od tej chwili kiedy Oblomow zamieszkał na letnisku, ale od tego czasu Tarantjew rzadko odwiedzał Ilję Iljicza, a znajdował się zwykle w towarzystwie innych, tak, że nie mógł się popisywać swoim grubjaństwem.

— Jak się masz, ziemiaku! — rzekł Tarantjew wchodząc i nie podając ręki.

— Jak się masz! — odpowiedział Oblomow, patrząc w okno.

— Pożegnałeś już swego dobrodzieja?

— Pożegnałem — i cóż?

— Ładny dobrodziej! — zauważył Tarantjew złośliwie.

— A tobie nie podoba się?

— Tak. Jaby go powiesił! — z nienawiścią, chiypiącym głosem wymówił Tarantjew.

— Ta—a—ak?

— I ciebie z nim razem, na jednym drzewie.

— Zaco?

— Zachowuj się uczciwie! Jeśliś winien — płać, a nie wykręcaj się! Cożes ty teraz narobił?

— Słuchaj Michej Andreicz, uwolnij mnie od swoich uwag. Długo, dzięki memu lenistwu i wyrozumiałości słuchałem ciebie. Myślałem że masz bodaj kroplę sumienia. Ty z tym frantem chcieliście mnie oszukać. Który z was gorszy — nie wiem, ale obydwaj jesteście dla mnie wstrętni. Przyjaciół wypłatał mnie z tej głupiej sprawy...

— Ładny przyjaciel! Słyszałem że i narzeczoną twoją odmówił. Dobrodziej, niema co mówić. Ej, bracie, głupiec z ciebie wielki!

— Proszę cię zostaw te czułości — hamował go Oblomow.

— Nie, nie przestanę! Nie chciałeś mnie słuchać, niewdzięczny jesteś! Ja to przecież umieściłem ciebie tutaj, znalazłem ci kobietę — skarb prawdziwy. Spokój, wygodę wszelką ci ułatwiłem, wyświadczyłem ci dobrodziejstwo, a ty mordę swoją odwróciłeś ode mnie. Znalazłeś dobro-

dzieja — Niemca! W dzierżawę wziął twój majątek, poczekaj — oblupi on ciebie i jeszcze akcjami obdarzy. Puści cię z torbami w świat, wspomnisz moje słowo! Głupiec jesteś, głupiec i jeszcze w dodatku bydlę niewdzięczne!

— Tarantjew! — krzyknął groźnie Oblomow.

— Czego ty krzyczysz! To ja będę krzyczeć, aby wszyscy słyszeli, że ty dureń jesteś, bydlę! — wrzeszczał Tarantjew. Ja i Iwan Matwieicz pielęnowaliśmy cię, służyli ci jak poddani, chodzili koło ciebie na palcach, w oczy patrzyli, aby myśli twoje zgadnąć, a ty ogadałeś go przed naczalstwem, pozbawiłeś urzędu i kawałka chleba! To podle, wstrętne! Tyś powinien oddać mu teraz połowę majątku. Podpisz weksel na jego imię; nie jesteś przecie teraz pijany, lecz przy pełnym rozumie. Podpisz weksel, powiadam ci, gdyż inaczej stąd nie odejdę...

Gospodyni i Anisja zajrzały przez drzwi.

— Czego wy Michej Andrejicz tak krzyczycie? Przechodnie zatrzymują się i słuchają, co to za wrzaski.

— Będę krzyczał! — gardłował Michej Andrejicz — niech się wstydzi ten osioł! Niech cię okpiwa dalej ten oszust Niemiec, który teraz z jego kochanką się związał...

W pokoju rozległ się głośny policzek. Uderzony przez Oblomowa w twarz, Tarantjew w jednej chwili zamilkł, usiadł na krześle i ogłupionem, zdziwionem spojrzeniem patrzył dokoła.

— Co to jest? Co to? Co! — blady, przerywanym oddechem mówił Tarantjew, trzymając się za policzek. — Obraza! Zapłacisz mi za to. Zaraz podam skargę do jenerał-gubernatora... Widzieliście!

— Nic nie widziałyśmy! — odpowiedziały razem obie kobiety.

— Ha! Więc to zmowa! To gniazdo rozbójnicze! Gniazdo uszustów! Rabują, biją...

— Precz łotrze jakiś! — krzyknął Oblomow blady i drżący od gniewu. — W tej chwili, aby tu noga twoja nie powstała, bo cię zabiję jak psa!

Szukał oczyma laski.

— Rozbój! Pomocy! — wrzeszczał Tarantjew.

— Zachar! Wyrzuć za drzwi tego łotra, ażeby on oczu swoich tu więcej nie pokazywał.

— Proszę bardzo! Oto Pan Bóg, a oto drzwi! — mówił Zachar, pokazując ręką na obraz i na drzwi.

— Nie do ciebie przyszedłem, ale do kumy — krzyczał Tarantjew.

— Co wam Bóg dał Michej Andrejicz — odezwiała się Agafja Matwiejewna — mnie pan nie potrzebny. Do brata przychodziliście, nie do mnie. Wolę ja gorzką rzepę, niż was. Napił się pan tutaj, najadł i jeszcze łajesz?...

— Więc tak, kumo! Dobrze! Brat z wami się policzy. A ty zapłacisz mi za obrazę. Gdzie moja czapka? Czort z wami! Rozbójnicy! — wykrzykiwał, idąc przez dziedziniec. Zapłacicie mi za obrazę.

Pies rwał się na łańcuchu i dusił się ujadaniem.

Odtąd Oblomow i Tarantjew już się więcej nie widzieli.

VIII.

Sztolc przez kilka lat nie był w Petersburgu. Raz tylko na krótki czas zaglądnął do majątku Olgi i do Obłomówki. Ilja Iljicz otrzymał list, w którym Sztolc zachęcał go do powrotu do Rosji i do wzięcia w swoje ręce zarządu, który już uporządkował, sam zaś, razem z Olgą Siergiejewną wyjeżdżał do południowego Krymu z powodu swoich spraw w Odesie i zdrowia żony, wymagającego poprawy po odbytym połogu.

Zamieszkali w cichem ustroniu nad morzem. Życie prowadzili bardzo skromne. Wewnętrzny charakter tego życia nie był pozbawiony stylu tak samo jak architektura domu, w którym zamieszkali. Wszystko, nawet umeblowanie miało charakter myśli i indywidualnych upodobań gospodarzy. Wiele rzeczy przywieźli oni ze sobą, wiele nadesłano im z Rosji i z zagranicy.

Amator komfortu może nie bez zdziwienia spoglądałby na różnorodność mebli, starych obrazów, posągów z odłamanami rękoma i nogami, rycin, małej nieraz wartości artystycznej, ale drogich jako pamiątki, i różnych drobnostek. Tylko oczy prawdziwego znawcy zapaliłyby się nieraz na widok tego lub innego obrazu, tej lub innej poźółkłej księgi, starej porcelany, monety lub rzeźby w kamieniu,

Śród tych mebli różnego wieku, obrazów, nie mających wartości dla ludzi obcych, ale drogich dla nich wspomnieniem jakiejś szczęśliwej chwili, śród różnych drobiazgów, nad oceanem książek i nut unosił się ciepły zapach życia, coś co podniecało rozum, zadowalało poczucie estetyczne. Na wszystkim widać było albo myśl jakąś, albo promień piękna, wywołany pracą człowieka śród otaczającego go dokoła piękna natury.

Śród mebli znalazło się także wysokie biurko, stojące niegdyś w pokoju ojca Andrzeja, łosiowe rękawiczki, w kącie wisiał ceratowy płaszcz koło szafy, pełnej minerałów, muszli morskich, wypchanych ptaków obok różnych gatunków gliny, próbek towarów i t. p. Pośród tego wszystkiego na honorem miejscu, inkrustowany złotem, błyszczał fortepian Erarda.

Siatka z winogrodu, bluszczu i mirtów oplatała od dołu do góry całą willę. Z werandy widok był na morze, z drugiej strony na drogę wiodącą do miasta.

Tu przesiadywała Olga, jak na warcie, oczekując przyjazdu Andrzeja, gdy wyjeżdżał za interesami do miasta, a ujrawszy go, schodziła na dół, mijała klomby kwiatów, długą aleję topoli i rzucała się na piersi męża. Oczy jej błyszczały radością, na twarzy występowały rumieńce niecierpliwego szczęścia, chociaż był to nie pierwszy i nie drugi rok ich małżeńskiego pożycia.

∠ Sztolc na miłość i na życie małżeńskie miał swój własny pogląd, może nawet oryginalny. I tu poszedł on drogą prostą, ale przeszedł długą szkołę ciepłości, pracy, spostrzeżeń, zanim poznał tę „prostą drogę“.)

Od ojca swego nauczył się patrzeć na życie poważnie, nawet na jego najdrobniejsze szczegóły. Byłby może odziedziczył po nim i pedantyczną surowość, która towarzyszy Niemcom na każdym kroku życia, nawet w małżeństwie.

Jak napis na płycie kamiennej widocznem było dla każdego życie starego Sztolca — żadnych nie-domówień w niem nie było. Ale matka swoją pieśnią i szeptem miłosnym, potem wielki różnobarwny dwór książęcy, uniwersytet, książki, życie samo — wszystko to sprowadziło Andrzeja z drogi, wykreślonej mu przez ojca. Życie rosyjskie rysowało swoje niewidzialne wzory na duszy młodzieńca i na bezbarwnej płycie malowało jasny, szeroki obraz.

(Andrzej nie nakładał pedantycznych więzów na uczucia, dawał im prawo wolności, usiłując tylko nie stracić gruntu pod nogami, nie dawać pola do nieiszczalnych marzeń, chociaż otrząsając się z nich, dzięki swojej krwi niemieckiej, nie mógł powstrzymać się od wniosków i zawsze zdobywał jakąś praktyczną treść dla życia.

[Był on czerstwy ciałem, bo zdrowy miał rozum. Był rześki, swawolny w wieku młodzieńczym, a gdy nie swawolił, pracował pod okiem ojca. Nie miał czasu na marzenia. (Nie skoszlawiła się jego wyobraźnia, nie zepsuło się serce; czystości i dziewiczości duszy strzegła matka.

Jako młodzieniec instynktownie bronił świeżości swoich sił i wczesnie przyszedł do świadomości, że z tej świeżości wypływa jego krzepkość i wesołość, że ona wytwarza odwagę, którą zahartować się musi dusza ludzka, ażeby nie zblednąć przed życiem, bez względu na to, jakim ono będzie, ażeby nie patrzeć na nie, jak na ciężką niewolę, jak na krzyż cierpienia,

lecz jak na dług wobec społeczeństwa i walczyć z niem z godnością.

Nieraz myślał o sercu i o jego prawach. Badając świadomie i nieświadomie wpływ piękna na wyobrażnię, potem przejście wrażenia na uczucie, jego objawy, grę, zanik, rozglądając się dokoła siebie, sam biorąc udział w życiu, przyszedł powoli do przekonania, że miłość, jak dźwignia Archimedesza, może poruszyć świat, że w niej spoczywa tyle powszechnej, stałej prawdy i dobra, ile kłamstwa i swawoli, ile nadużywania z powodu jej niezrozumienia... Gdzież jest szczęście? Gdzież zło? Gdzież granica między niemi?

Przy pytaniu: gdzie kłamstwo, przesuwaly się w jego wyobraźni różnobarwne maski z przeszłości i teraźniejszości. Z uśmiechem lub czerwienięjąc i chmurząc się, spoglądał na nieskończony łańcuch bohaterów i bohaterek miłości, na Don Kichotów w stalowych rękawicach, na damy ich myśli z półwiekową wiernością w rozłące, na pasterzy o rumianych policzkach i wylupiastych oczach i na ich Chłoję, pasących baranki.

Stawały przed nim upudrowane markizy w koronkach, z rozumnie błyszczącymi oczyma i nierządzą miłością; potem rozmaici Werterowie, którzy się strzelali, wieszali, dusili z miłości; potem stare panny, wiecznie oplakujące miłość lub pokutujące po klasztorach; wąsate twarze niedawnych bohaterów z bujnym ogniem w oczach; naiwni lub świadomi Don-Juani i mądralę, podejrzliwi w miłości, a w tajemnicy rozkochani w swoich klucznicach lub pokojówkach... wszyscy, wszyscy!

Przy pytaniu: gdzie prawda? — szukał daleko i blisko, w wyobraźni i w życiu przykładów prostego,

uczciwego i głębokiego uczucia, nierozzerwalnego zbliżenia z kobietą — i nie znajdował. Gdy mu się zdawało, że znalazł, przekonywał się, że mu się zdawało tylko. Ogarniało go smutne rozczarowanie, zamyślał się i począł tracić wiarę.

— Widocznie niema miłości — myślał — w całej jej pełni. Może serca, w których czysta miłość gości, są mocno zamknięte: lękają się i ukrywają, nie chcąc walczyć z teoretykami miłości. Może mają litość dla nich i przebaczą im, że w imię szczęścia, rzucają w błoto kwiat, z braku gruntu, w którym mógłby głęboko zapuścić korzenie i rozrósć się w drzewo, któreby dało cień na całe życie.

Przypatrywał się małżeństwu, mężom i w ich stosunkach do żony widział sfinksa z jego zagadką, coś niezrozumiałego, niedopowiedzianego, a tymczasem ci mężowie niezaprzątają się zgoła zagadką miłości, idą tak prostą drogą małżeńską, tak równym krokiem, jak gdyby nie mieli przed sobą żadnych pytań do rozwiązania.

— A może oni mają słuszość? Może rzeczywiście nic więcej nie trzeba — myślał z nieufnością, widząc jak u jednych tak prędko mija miłość, jak nauka abecadła, a inni traktują ją jak formę czułości, tak samo obojętnie, jak oddają ukłon w towarzystwie — i co rychlej wracają do flirtu.

Oni niecierpliwie jak najprędzej pozbywają się miłości, tej wiosny życia, a potem całe życie krzywo patrzą na żony, jakby nie mogąc przebaczyć im tego, że je kiedyś kochali.

Niektórzy kochają długo, aż do starości, ale nigdy ich nie opuszcza uśmiech satyra...>

Większość żeni się zupełnie z takim samem uczuciem jakby przypuścmy, wchodzili w posiadanie

majątku ziemskiego — oceniają tylko materialne korzyści tego aktu: żona wnosi do domu większy porządek, jest gospodynią, matką, guwernantką dzieci, a miłość oceniają tak, jak praktyczny gospodarz ocenia położenie majątku — przyzwyczajają się do niego, a potem nigdy już na to nie zwraca uwagi.)

— Cóż to jest? Czy wrodzona niezdolność skutkiem praw przyrody — myślał — czy brak przygotowania, wychowania? (Gdzież ta sympatja, która nigdy nie traci swego czaru, nie wciąga na siebie szaty arlekina, zmieniająca się, lecz nie gasnąca? Jakież jest naturalny kwiat, jakie barwy tego szczęścia, rozlanego wszędzie, tego soku życia, wypełniającego je?)

Ale główne linje tej myśli, mimo jego woli, tkwiły w nim.

Z początku w tym obrazie marzyła mu się wogóle przyszłość kobiety, gdy zaś potem ujrzał w rozwiniętej i dojrzałej Oldze, nie tylko rozkosz rozwiniętej piękności, ale siłę także gotową do walki z życiem, usiłującą zrozumieć życie i walczyć z niem, zbudziły się w nim wszystkie zaczątki jego marzeń, i dawny, zapomniany prawie obraz miłości. W obrazie tym poznawał Olgę i zdawało mu się, że w ich wzajemnej sympatji tkwi prawda bez owej szaty arlekina, bez żadnej domieszki pierwiastku złego.

Nie bawiąc się rozplątywaniem pytania o miłość i małżeństwie, nie łącząc go z żadnym rachunkiem na pieniądze, związki towarzyskie, stanowisko, Sztolc zamyślał się jednak i nad tem, jak zdoła pogodzić swoją niezmordowaną ruchliwość, z życiem małżeńskim; jak z turysty i kupca przekształci się na familijnego człowieka? Jeśli zdoła pokonać tę swoją

bezustanną ruchliwość, czem wypełni życie domowe? Wychowanie i kształcenie dzieci, nadanie im kierunku życia, jest to wprawdzie niełatwe i nie próżne zadanie, ale do niego jeszcze daleko, lecz czem wypełni czas, aż do tej chwili?

Pytania te zajmowały go długo i często, ale życie kawalerskie nie ciążyło mu. Nie przychodziło mu na myśl, że gdy tylko mocniej uderzy jego serce, uczuwszy bliskość piękna, trzeba będzie włożyć na siebie kajdany małżeńskie. Sztolc jak gdyby lekceważył Olgę, dojrzewającą dziewczynę, ale upajał się nią jak miłym dzieckiem, z dużemi zadatkami na przyszłość. Żartując, niby mimochodem, rzucał w jej umysł bystry i chciwy wiedzy, jakąś nową śmiałą myśl, bystre spostrzeżenie jakiegoś objawu życia i budził w jej duszy, nie mając żadnych zamiarów, dobre pojmowanie zjawisk, słuszny pogląd; a potem zapominał i o Oldze i o udzielanych jej mimowolnie lekcjach życia.

Czasem, dostrzegając w niej przebliski niezwykłego rozumu, brak wszelkiej kłamliwości, stwierdzając, że nie szuka powszechnego uwielbienia, że wrażliwość jej uczuć przyływa i mija u niej prosto i swobodnie, że niema w niej nic cudzego, wszystko swoje, własne, a to co własne jest śmiałe, świeże i mocne — Sztolc zamyślał się nad tem, skąd ona to wszystko zdobyła, nie nadając żadnego znaczenia swoim przelotnym lekcjom i uwagom.

Gdyby był wówczas zwrócił pilniejszą uwagę na Olgę, byłby spostrzegł, że idzie sama jedna własną drogą, strzeżona bardzo powierzchownem okiem ciotki przed ostatecznościami i że nie ciąży na niej wpływy siedmiu nianek, babuń, ciotek wraz z tradycją rodu, rodziny, warstwy, do której należy,

przestarzałych obyczajów i sentencji. Nikt nie prowadził jej przemocą udeptaną przez innych drogą — Olga szła własną ścieżką, na której własny ślad znaczyła własnym rozumem, poglądami, uczuciem.

Matka natura niczego jej nie odmówiła; ciotka nie narzuciła jej despotycznie ani swojej woli, ani rozumu; Olga nieraz domyślała się czegoś sama, rozumiała sama, ostrożnie wpatrywała się w życie, przysłuchiwała się nieraz mowom i radom swego przyjaciela.

Sztolc nie spostrzegał tego. Oczekiwał tylko od niej czegoś w przyszłości, w dalekiej przyszłości, nigdy nie myśląc o tem, że kiedyś może być jego żoną.

Olga, dzięki zaciętej miłości własnej, nie pozwalała domyślać się niczego, i tylko po ciężkiej walce stoczonej ze sobą zagranicą, Sztolc spostrzegł do jakiej wysokości i siły, do jakiej naturalności i prostoty podniosła się ta wiele obiecująca dziewczyna. Tu powoli otwierała się przed nim wielka głębia jej duszy, którą wypadło mu napępniać i to nigdy do syta.

Z początku wypadło mu długo walczyć z żywością jej natury, przerywać gorączkę młodości, uniesieniom zaznaczać wyraźne granice, dawać równy kierunek życiu i to na czas niedługi tylko. Ledwie zamknął z zaufaniem oczy, budził się znowu niepokój, źródło życia biło mocno, niespokojna myśl podsuwała nowe pytania, wywoływała nowe uderzenia serca. Tam trzeba było uspokajać rozbudzał wyobraźnię, ówdzie powstrzymywać lub budzić miłość własną. Gdy się tylko Olga zamyślała nad jakimś zjawiskiem, Sztolc śpieszył i wręczał jej klucz do otwierania tajemnicy.

Wiara w przypadkowość, mgła halucynacyj zni-kały z życia. Jasna i swobodna perspektywa odkry-wała się przed nią. Olga, jak w przezroczystej wodzie, widziała każdy kamyczek, wyżłobienie i czyste dno.

— Szczęśliwa jestem — mówiła sama sobie — rzucając wzrokiem wdzięczności na przyszłe swoje życie i, badając przeszłość; przypominała sobie dziewiczy sen o szczęściu, który przyśnił się jej kiedyś w Szwajcarji, zamyśloną, błękitną nocą i wi-działa jak sen ten, niby cień unosi się w życiu.

— Zaco to wszystko spadło na mnie? — pytała z pokorą.

Olga zamyślała się i lękała nieraz, ażeby nic tego szczęścia nie urwała się.

Mijały lata, a oni nie przestawali jeszcze odczu-wać czaru życia. Przyszła cisza, uspokoiły się na-miętności; zrozumiano krzywizny życia, ale wy-równywano je cierpliwie i śmiało, a życie bilo w nich jeszcze silnym pulsem.]

Olga doszła już do surowego pojmowania życia; dwa życia — jej i Andrzeja — zlały się w jedno koryto. Na rozbijanie namiętności nie było w nich miejsca — panowały harmonja i cisza.

Zdawaloby się, że tylko zasnąć trzeba śród tego wysłużonego spokoju, tylko rozkoszować się nim, jak rozkoszują się inni w zaciszu życia, schodząc się trzy razy dziennie, ziewając przy zwykłej roz-mowie, a potem wpadając w tępą drzemkę; nudząc się od rana do wieczora, gdyż wszystko obmyślano, omówiono, zrobiono, niema więcej o czem mówić, niema co robić i że — „takie jest życie na świecie“.

Nazewnątrz młode małżeństwo żyło tak samo. Wstawali, choć nie przed wschodem słońca, lecz

rano, lubili długo przesiadywać przy herbacie, niekiedy milcząc leniwie, potem każdy szedł do swego pokoju i zajęcia, albo pracowali razem, jedli obiad, jeździli w pole, grali... jak wszyscy, jak marzył i Oblomow.

Nie było tylko u nich senności, przygnębienia. Dni im upływały bez nudów i bez apatii, nie było ani słów ani spojrzeń bez treści. Rozmowy nie były mdłe, przeciwnie często kończyły się gorącą dysputą.

W mieszkaniu słyhać było ich dźwięczne głosy, które często dolatywały aż do ogrodu. Niekiedy półgłosem rozmawiali ze sobą, jakby malując jedno przed drugim własne myśli i marzenia, nieuchwytne do wypowiedzenia pewne odruchy, wzrost, powstawanie ledwo dostrzegalne myśli, ledwie dosłyszalne szepty duszy.

Samo milczenie ich było zamyślonem szczęściem, o którym niegdyś marzył Oblomow, lub wewnętrzną pracą każdego nad materiałem myślowym, dostarczany przez siebie pokolei.

Często tonęli w zamyśleniu, w milczącym zachwycie nad wiecznie świeżą i nową, barwną, błyszczącą pieknością przyrody. Ich wrażliwe dusze nie mogły się oswoić z tą pieknością; siedzieli przeto w milczeniu obok siebie i jednakim wzrokiem wspólnej ekstazy wpatrywali się w twórczy blask przyrody, bez słów rozumiejąc siebie wzajemnie.

Nie witali obojętnie poranka, nie tonęli bezmyślnie w zmierzchu ciepłej, gwiazdzistej, południowej nocy. Budził ich wieczny ruch myśli, wieczne rozkołysanie się duszy i poczucie potrzeby mówienia, myślenia, odczuwania razem.

Cóż było przedmiotem gorących sporów, cichych rozmów, czytania, dalekich wycieczek?

Wszystko. Jeszcze zagranicą Sztolc odzwyczaił się czytać i pracować sam, tu zaś, będąc ciągle przy Oldze, myśleli razem. On ledwie zdołał podążać za jej szybkimi myślami i wolą.

Pytanie, co on będzie robić w życiu familijnem, już nikło, rozwiązało się samo przez się. Sztolc zdołał nawet wciągnąć Olgę w swoją codzienną pracę, bo w życiu bez zajęcia Olga dusiła się jak — z braku powietrza.

Czy to budowa jakaś we własnym majątku lub w Obłomówce, czy jakieś prace w jego akcyjnych interesach, nic nie robiło się bez jej wiedzy i współdziałania. Sztolc nie wysyłał żadnego listu, nie odczytawszy go wprzód Oldze, żadna myśl, a tembardziej jej wykonanie nie obywało się bez jej współdziałania; Olga wiedziała o wszystkim, wszystko ją interesowało, co interesowało jego.

Z początku Sztolc wszystko załatwiał w jej obecności, bo niepodobna było ukrywać się przed nią; czy pisał list, czy rozmawiał z pełnomocnikiem, albo jakimś przedsiębiorcą, zawsze tylko w jej obecności. Potem weszło to w przyzwyczajenie, w końcu stało się dla niego koniecznością.

Jej uwaga, rada, pochwała lub nagana stały się dla niego probierzem pewnego rodzaju. Sztolc widział, że Olga rozumuje tak samo jak on, kombinuje i rozmyśla nie gorzej od niego. Zachara obrażały takie przymioty jego żony i wielu się obrażało, również, ale Sztolc czuł się szczęśliwym.

Wspólne czytanie i nauka, były to bezustannem podsycaniem myśli, ciągłym rozwojem umysłowym. Olga zazdrośną była o każdą książkę,

której jej nie pokazał, o każdy artykuł w miesięczniku; gniewała się nie na żarty i obrażała, gdy mąż uważał za niepotrzebne powiedzieć jej o czymś, pokazać coś, co wydawało mu się zbyt poważnem, nudnem, niezrozumiałem dla niej — Olga nazywała to pedantyzmem, zacofaniem, mianując go „starą niemiecką peruką“. Z tego powodu dochodziło między nimi do długich i drażniących sporów.

Olga gniewała się, mąż się śmiał, wtedy gniewała się jeszcze bardziej i dopiero wtenczas uspokajała się, gdy przestawał żartować, gdy podzielił się z nią swoją myślą lub wiadomością, kiedy zaczęli czytać wspólnie; kończyło się tem, że wszystko co potrzebował wiedzieć i przeczytać i dla niej stało się potrzebą.

Sztolc nie narzucal jej uczonej techniki, ażeby potem z głupiem samochwalstwem chelpić się „uczoną żoną“. Gdyby jej wyrwało się słówko jedno, lub napomknienie jakieś pretensjonalne, on poczerwieniałby więcej, niż gdyby odpowiedziała tępym wzrokiem niewiadomości z powodu nieznajomości bardzo zwykłej rzeczy, lub w jakiejś sprawie, niedostępnej jeszcze w dziedzinie wychowania kobiet. Pragnął on tylko, a ona tembardziej, ażeby nic dla niej nie było niedostępnego z dziedziny jego wiedzy i zdolności pojmowania.

Nie wypisywał przed nią szeregów liczb i tablic, ale opowiadał o wszystkim; wiele czytali, nie omijając pedantycznie jakiejs teorji ekonomicznej, społecznych lub filozoficznych zagadnień; opowiadał jej z uniesieniem i namiętne, jak gdyby malował przed nią wielki obraz wiedzy. W pamięci Olgi zacierały się szczegóły, ale nigdy w jej ciekawym umyśle nie ginęły główne linje rysunku,

nie bladły barwy, nie przygasał ogień, z jakimi on oświeślał otwierany przed nią świat.

Sztolc zadrżał nieraz z dumy i szczęścia, gdy spostrzegł jak iskra tego ognia świeciła w oczach Olgi, jak echo udzielonej jej myśli dźwięczało w mowie, jak myśl wchodziła w jej świadomość i rozum, przekształcała się w jej umyśle i wyglądała z jej słów, nie sucha i surowa, ale w blasku niewieściej gracji. Osobliwie zaś, gdy jakaś twórcza kropelka z tego o czym mówiono, co czytano, wyrysowano, spadała jak perła na śnieg, na dno jej życia.

Jak człowiek rozumny i jak artysta tworzył on ośnowę dla jej rozumnego życia i nigdy w ciągu swego życia, ani w ciągu lat szkolnych, ani później, gdy się wywijał z kleszczy życiowych i wzmacniał się, nie był tak głęboko pochłonięty jak teraz, stykając się ciągle z niemilknącą, wulkaniczną pracą ducha swojej żony.

— Jestem szczęśliwy! — myślał nieraz Sztolc i marzył po swojemu, zabiegając naprzód, kiedy miną miodowe lata małżeństwa.

W dalszej perspektywie przedstawiał mu się uśmiechnięty inny obraz Olgi, nie egoistki, nie namiętnie kochającej żony, nie matki-niańki, więdnącej w bezbarwnym, nikomu niepotrzebnym życiu, ale coś innego, wysokiego, niebywałego...

Marzyła mu się matka, twórczyni i uczestniczka moralnego i publicznego życia całego szczęśliwego pokolenia.

Sztolc zamyślał się z trwogą nad tem czy jej nie zabraknie woli i siły... i gorączkowo dopomagał jej zwyciężać życie, wyrabiać w sobie zapas męstwa do walki z tem życiem — teraz mianowicie dopóki oboje są młodzi i silni, dopóki życie oszczędza

ich, lub uderzenia jego nie wydają się zbyt mocne; dopóki smutki pochłania miłość.

Zdarzały się i smutne dni, ale nie na długo. Niepowodzenia w interesach, strata jakiejś większej sumy pieniężnej — wszystko to ledwie ich dotykało. Pociągało to za sobą trochę kłopotów, wyjazdów — i na tem się kończyło.

Śmierć ciotki wywołała gorzkie, szczere łzy Olgi i jak cień spadła na jej duszę na całe pół roku.

Największą obawę i wieczną troskę budziły choroby dzieci, ale gdy niebezpieczeństwo mijało, wracało szczęście.

Najbardziej niepokoił Sztolca stan zdrowia Olgi; po każdym połogu długo nie mogła przyjść do siebie, a on nie przestawał niepokoić się. Większych nieszczęść w ich życiu nie było.

— Jakżem szczęśliwa! — myślała Olga cicho, ciesząc się własnem życiem, a w chwili takiej świadomości ogarniało ją nagle zamyślenie — szczególnie od pewnego czasu, po trzech, czterech latach małżeńskiego pożycia.

Dziwne to stworzenie — człowiek. Im szczęście Olgi było pełniejsze, tem ona stawiała się bardziej zamyśloną, a nawet... lękała się czegoś. Poczęła badać siebie i spostrzegła że niepokoi ją — sama cisza życia, zatrzymanie się jego na chwilach szczęścia. Olga przemocą strząsała z siebie to niepokojące zamyślenie i pragnęła jak gdyby przyspieszyć życie; gorączkowo szukała wirów, ruchu, trosk, jeździła z mężem do miasta, próbowała bywać w towarzystwie — ale nie długo to trwało.

Ruchliwość życia dotykała ją tylko zlekka. Olga wracała śpiesznie do swego kącika, ażeby tu zrzucić z duszy jakieś ciężkie wrażenie, obce jej

dotychczas i pogrążała się znowu w drobne kłopoty codziennego życia, całemi godzinami przesiadywała w dziecinnyim pokoju, stawiała się tylko matką-niańką lub z Andrzejem pogrążała się w czytaniu, w rozprawach o rzeczach „poważnych i nudnych“. Czytywali poetów, myśleli o podróży do Włoch.

Olga lękała się wpaść w stan podobny do Obłomowczyzny, w apatię obłomowską. Chociaż starała się usilnie zrzucić z duszy te chwile perjodycznego skamienienia, tego snu duszy, mimowoli wkraadał się do niej z początku sen o szczęściu, otaczała ją błękitna noc i krępowała niby drzemką, potem znowu wracał stan oniemienia, niby wypoczynek życia, a potem... znowu lęk jakiś, znowu omdlenie, znowu jakaś tęsknota głucha, nasuwały się jakieś smutne, mgliste pytania w niespokojnej głowie.

Czuźnie przysłuchiwała się tym szmerom, badała siebie, ale na stan taki nie znajdowała odpowiedzi, nie mogła doszukać się czego pragnie, czego szuka jej dusza, a jednak o coś prosi, czegoś szuka, nieraz — strach się przyznać do tego — tęskni, jak gdyby szczęścia do życia było za mało, jak gdyby szczęście męczyło ją, jak gdyby potrzebowała nowych wrażeń, patrzyła kędyś naprzód, wyprzedzała życie.

— Cóż to jest? — pytała przerażona. Czyż rzeczywiście potrzeba jeszcze czegoś, można żądać jeszcze czegoś? Dokąd iść dalej? Niewiadomo! Dalej — niema już drogi... Czyż rzeczywiście już niema? Czyż życie obiegło już krąg swój? Czyż rzeczywiście tu już jest wszystko... wszystko... — mówiła dusza i — niedopowiadała czegoś. Olga oglądała się dokoła z trwogą, czy ktoś nie domyślił się, nie podsłuchał tych szeptów jej duszy... Pod-

nosiła oczy i wzrokiem pytała morza, nieba, lasu — nigdzie odpowiedzi nie było — tam przestrzeń bezbrzeżna, głąb, ciemność...

Przyroda mówiła zawsze to samo. Widziała w niej zawsze to samo: nieprzerwany, jednostajny bieg życia bez początku i bez końca.

Olga wiedziała do kogo się zwrócić po rozwiązanie tych wątpliwości, wiedziała że znajdzie tam odpowiedź, ale jaką? Może to tylko skarga bezpłodnego rozumu, a może jeszcze gorzej — pragnienie nie stworzonego do sympatji, nie kobiecego serca. Boże! Ona, jego ideał — bez serca, z umysłem, którego niczem zadowolnić nie można! Czemże się ona stanie? Jakże upadnie w jego przekonaniu, jeśli się odkryją przed nim te noce, nieznane dotychczas, ale odgadnięte przez niego jej cierpienia!

Chowała się przed mężem albo wymyślała jakąś chorobę, kiedy oczy jej zatracaly swoją aksamitną miękkość, patrzyły przed siebie sucho i gorąco, gdy twarz pokrywała się ciężkiem obłokiem, a ona, pomimo największych wysiłków nie mogła zmusić siebie do uśmiechu, mówić, a tylko obojętnie słuchała najciekawszych wiadomości politycznego świata, najciekawszych wyjaśnień nowych postępów w nauce, nowych dróg twórczości w sztuce.

Mimo to nie pragnęła nigdy płakać, nie było nieoczekiwanych wstrząśnień, jak wówczas kiedy grały nerwy, budziły się i wypowiadały się jej siły dziewicze. Nie, to co innego!

— Więc cóż to jest? — pytała prawie z rozpaczą, gdy nagle stawiała się zamyśloną, obojętną na wszyst-

ko w piękny pogodny wieczór, nad kołyską dziecka lub nawet wśród rozmowy i pieszczot męża.

Nagle jak gdyby skostniała i zamilkła, potem ogarniała ją sztuczna ruchliwość, ażeby w ten sposób ukryć swój stan wewnętrzny; składała wszystko na migrenę i kładła się do łóżka.

Ale niełatwo było Oldze ukrywać ten nastrój przed czujnym okiem męża. Wiedziała o tem i wewnętrznie, z niepokojem przygotowała się do rozmowy, której spodziewała się, jak niegdyś, gdy się miała wypowiadać przed nim ze swojej przeszłości. Rozmowa taka przysła.

Raz wieczorem przechadzali się oboje w topolowej alei. Olga prawie wisiała na ramieniu męża, pogrążona w głębokiem milczeniu. Męczył ją ten stan w jakim była. Na każdy temat, rozpoczęty przez męża, odpowiadała krótko.

— Niańka powiada że Oldzia kaszlała w nocy. Możeby jutro posłać po doktora? — spytał.

— Nie trzeba. Dałam jej gorących ziółek, przez jutro przytrzymam w pokoju, a potem zobaczymy — odpowiedziała bezdźwięcznym głosem.

Doszli do końca alei.

— Dlaczego nie odpisałaś na list twojej przyjaciółki Soniczki? Czekałem na list. O małym się na pocztę nie spóźnił.

— Ach, tak pragnęłabym jak najprędzej zapomnieć o niej! — odpowiedziała i zamilkła.

— Kłaniałem się od ciebie Biczurynowi — zaczął znowu Andrzej. — Przecież on zakochany w tobie. Może się choć ukłonem pocieszy trochę, bo pszenica z pewnością na czas nie przyjdzie.

Olga uśmiechnęła się sucho.

— Mówiłeś już — odpowiedziała obojętnie.

— Widzę że chcesz spać — zauważył.

Serce Olgi drgnęło, i nie po raz pierwszy, gdy tylko rozmowa schodziła na tor interesów.

— O, nie! — ze sztuczną żywością odpowiedziała Olga.

— Niezdrowa jesteś? — dopytywał się znowu.

— Nie. Zdaje ci się.

— Więc nudzisz się!

Olga obiema rękoma mocno ścisnęła mu ramię.

— Nie, nie! — odpowiedziała, ale w akcencie brzmiała pewna nieszczerłość, która świadczyła że rzeczywiście się nudzi.

Sztolc wyprowadził ją z alei i zwrócił twarzą do światła księżycowego.

— Spójrz na mnie! — i sam począł pilnie patrzeć jej w oczy.

— Moznaby pomyśleć, że jesteś nieszczęśliwą, taki masz dzisiaj dziwny wyraz twarzy. Co ci jest, Olgo?

Ujął ją wpół i znowu wprowadził w aleję.

— Wiesz co... jeść mi się chce — powiedziała usiłując się zaśmiać.

— Nie kłam! Nie kłam! Ja tego nie lubię! — zauważył niby zagniewany.

— Nieszczęśliwa! — z wymówką powtórzyła Olga, zatrzymując się w alei. — Tak, nieszczęśliwa chyba... dlatego żem zanadto szczęśliwa — odpowiedziała z akcentem takiej słodczy, że Sztolc pocałował ją.

To ją ośmieliło. Przypuszczenie, jakkolwiek wypowiedziane w żartobliwej formie, że jest może nieszczęśliwą, wywołało w niej szczerłość.

— Nie nudzę się i nie mogę się nudzić, ty sam wiesz o tem, i wiem że nie wierzysz temu; nie je-

stem wcale chora, ale bywa mi czasem... smutno... Oto masz całą prawdę nieznośny człowieku, przed którym ukryć się nie można! Tak, smutno mi, nie wiem dlaczego.

Oparła głowę na jego ramieniu.

— Więc to jest... ale dlaczego? — spytał, nachylając się ku niej.

— 'Niewiem.

— A jednak musi być jakaś przyczyna, jeśli nie we mnie, to dokoła ciebie lub w tobie samej. Czasem taka tęsknota nie jest niczem innym jak tylko zarodkiem... choroby. Czy jesteś zupełnie zdrowa?

— Tak, może... to coś w tym rodzaju — odpowiedziała poważnie — chociaż ja nic nie czuję. Widzisz przecie jak ja jem, przechadzam się, śpię, pracuję. Nagle coś mnie ogarnia, jakiś niepokój. Życie przedstawia mi się takim, jak gdyby jeszcze czegoś brakło... Ale dajmy spokój temu, nie słuchaj, to głupstwa...

— Mów, mów! — zachęcał gorąco Andrzej. — Więc braknie w życiu czegoś, coś więcej?

— Czasem czegoś się lękam... ażeby to nie zmieniło się, nie skończyło... Sama nie wiem co. Albo męczy mnie myśl o tem co jeszcze będzie?... Cóż to szczęście... całe życie... — mówiła coraz ciszej, jakby się wstydziła własnych słów — wszystkie te radości, smutki... natura — szeptała dalej — wszystko to unosi mnie gdzieś... Staję się niezadowoloną z niczego... Mój Boże! Ja wstydzę się mówić nawet o tych głupstwach... jest to rozmarzanie się po prostu... Nie zwracaj na to uwagi, nie patrz na mnie — mówiła proszącym głosem, przytulając się pieszczotliwie do niego. — Taki na-

strój mija prędko, a potem znowu mi tak jasno, wesoło, dobrze jak teraz!

Olga przytulała się do niego pieszczotliwie, niby lękała się i wstydziła się tego co powiedziała.

Długo jeszcze wypytywał ją Sztolc, a Olga, jak chory lekarzowi, opowiadała objawy swojej tęsknoty, głuche wątpliwości, które ją męczyły, niepokój duszy, a wkońcu jak znikły te miraże — opowiadała wszystko co tylko mogła zauważyć i przypomnieć sobie.

Sztolc w milczeniu szedł aleją, z pochyloną na piersi głową, pogrążony w myślach, zatrwożony i niezapokojony niewyraźnemi, niejasnemi wyznaniemi żony.

Olga patrzyła mu w oczy, ale nic odgadnąć nie mogła. Gdy po raz trzeci doszli do końca alei, nie pozwoliła mu wrócić, lecz wywiodła na jasność księżycową i pytająco patrzyła w oczy.

— Cóż ty? — pytała go drażniąco — śmiesz się ze mnie — co? Bardzo to nie mądra rzecz taka nie wytłumaczona tęsknota — prawda?

Sztolc milczał.

— Cóż, nie odpowiadasz? — pytała niecierpliwie.

— Ty milczałaś długo, chociaż wiedziałaś dobrze, że ja oddawna widzę, co się z tobą dzieje, pozwól teraz mnie pomilczeć i pomyśleć. Zadałaś mi pytanie nie byle jakie.

— Tak, ty teraz zaczniesz myśleć, A ja będę się martwić tem, co ty sobie wymyślisz. Niepotrzebnie powiedziałam ci wszystko — dodała. — Mów cokolwiek...

— Cóż mam ci powiedzieć? — w zamyśleniu odpowiedział Andrzej. — Może to są objawy rozstroju

nerwowego, wtenczas niech doktor, a nie ja decyduje... Jeśli zaś to, co innego... — rozpoczął i zamilkł.

— Cóż może być innego? — nalegała. — Mów. Andrzej szedł zamyślony.

— Mówże! — wołała, trzęsąc jego ręką.

— Może to działanie nadmiaru wyobraźni... ty masz temperament bardzo żywy, a może tyś już doszła do tej dojrzałości... — kończył cicho.

— Proszę cię, mów głośno Andrzej! Cierpieć nie mogę, kiedy ty mruczysz sobie pod nosem — skarżyła się. — Nagadałam mu głupstw, a on zwiesił głowę i coś szepce pod nosem! Mnie straszno z tobą w tej ciemności!

— Ja nie wiem co odpowiedzieć. „Tęsknota ogarnia, jakieś wątpliwości mnie dręczą“ — co z tego można zrozumieć? Pomówimy o tem później... Mnie się zdaje, że będziesz musiała znowu rozpocząć kąpiele morskie!

— Powiedziałeś cicho: „jeżeli... może być... dojrzała...“ — co to znaczy?

— Ja myślałem... — zaczął Andrzej powoli z zastanowieniem wypowiadając swoją myśl, jak gdyby nie był pewny, jak gdyby się wstydził tego co mówi — widzisz, są takie chwile... ja chcę powiedzieć, jeśli to nie jest oznaką rozstroju psychicznego, jeśliś zupełnie zdrowa, to może dojrzałaś tak, że już rozwój życia zatrzyma się, że już zagadnień niema, treść życia wyjaśniona...

— Chcesz powiedzieć, zdaje się, że się już postarzała? — przerwała żywo. Ani się ważyła coś podobnego myśleć! — Pogroziła mu palcem. — Jestem jeszcze młoda i silna — dodała, prostując się.

Andrzej zaśmiał się.

— Nie lękaj się! Zdaje się, że ty nie masz zamiaru postarzeć się nigdy! Nie, to co innego... W starości siły opuszczają człowieka, przestaje walczyć z życiem. Nie, twoje tęsknoty, niepokoje — jeśli jest tak, jak mi się wydaje — są raczej oznaką siły... Szamotania się żywego, podrażnionego umysłu, przerywając się przez granice codziennego życia, na wiele pytań nie znajdują odpowiedzi i wtenczas przychodzi tęsknota... Chwilowe niezadowolenie z życia... Może i z tobą dzieje się to samo... Jeśli mój domysł słuszny — to nie są to rzeczy małej wagi... Jest to tęsknota duszy, dopytującej się życia o jego tajemnice.

Olga westchnęła — może z radości, że jej obawy skończone, że się nie poniża w oczach męża, lecz przeciwnie...

— Ale przecież, ja jestem szczęśliwa, umysł mój nie próżny, nie marzę. Życie moje pełne urozmaiceń — czegoż mi więcej trzeba? Poco te nierozwiązalne pytania? To choroba, ucisk duszy!

— Tak, może ucisk dla umysłu słabego, nieprzygotowanego do odporu. Takie tęsknoty, takie wątpliwości już nie jednego sprowadziły z właściwej drogi, niekiedy stają przed nami niby widziadła bezkształtne, niby zamęt rozumu...

— Szczęście przelewa się przez wierzch, tak chciałoby się żyć całą pełnią duszy, a tu nagle domiesza się kropla gorzkości.

— Jest to zapłata za Prometeuszowy ogień! Nie dość tego, że trzeba cierpieć, ale jeszcze kochać to cierpienie, mieć szacunek dla tych wątpliwości i pytań. Jest to przepelniona czara szczęścia, rozkosz życia. Zjawiają się one dopiero na szczytach szczęścia, kiedy już niema pospolitych pragnień.

One się rodzą nie wśród powszedniego życia, tam niema na nie miejsca, gdzie panują troska i nędza. Tłum ludzki idzie naprzód, nie znając tych mgieł wątpliwości, ani tęsknot nierozwiązanych zagadnień... Ale kto się z nimi zetknął w czasie właściwym, dla tego one nie są młotem, druzgocącym życie, lecz miłymi gośćmi.

— Ale trudno z nimi dać sobie radę; one przynoszą ze sobą tęsknotę i apatię... prawie do wszystkiego... — dodała Olga niepewnym akcentem.

— Nie na długo... potem odświeżają życie. One doprowadzają do przepaści, która nie da żadnej odpowiedzi, a potem z większą miłością wraca się do życia. One zmuszają człowieka do walki ze sobą już wypróbowawszy siły, jakby dlatego, ażeby nie pozwolić im usnąć.

— Czy warto męczyć się mglistymi widziadłami? — skarżyła się Olga. — Wszędzie jasno, a tu nagle pada na życie złowrogi cień! Czyż w rzeczy samej niema na to rady?

— Jakto — niema? Jest — oparcie o życie. A gdy go braknie, to i bez tych wszystkich wątpliwości ciężko żyć.

— Cóż robić? Uchylić się przed tem i rozmyślać tylko?

— Nie. Uzbroić się w moc i cierpliwie, wytrwale iść swoją drogą. My z tobą nie jesteśmy Tytanami — mówił dalej Andrzej, obejmując ją — nie pójdziemy śladem Manfreda i Fausta na zuchwałą walkę z buntowniczymi pytaniami życia, nie przyjmujemy wyzwania, schylimy głowy i z pokorą przeżyjemy ciężkie chwile, a potem znowu uśmiechnie się życie, szczęście i...

— A jeśli te wątpliwości nigdy nas nie opuszczą,

tęsknota będzie męczyć coraz więcej i więcej? — pytała.

— Cóż? Pogodzimy się z nią, jak z nową koniecznością życia. Ale tego niema u nas i nie może być! Te twoje tęsknoty — to powszechna niedola ludzkości. Na ciebie bryznęła jedna kropla tylko. Wszystko to straszne, gdy człowiek odrywa się od życia... kiedy braknie punktu oparcia. A u nas? Daj Boże, ażeby tęsknoty twoje i niepokoje były tem czem myślę, że są, a nie początkiem jakiejś choroby. to byłoby gorzej. Byłoby to nieszczęście przed którem padłbym bez obrony, bez siły... A te mgły, te tęsknoty, te jakieś wątpliwości i nie rozwiązane pytania, czyż mogą nas pozbawić naszego szczęścia, naszej...

Andrzej nie dokończył. Olga jak szalona rzuciła mu się w objęcia i jak bachantka w bezwładnem zapomnieniu zamarła na chwilę, objawszy jego szyję rękami.

— Uważaj, ażeby złośliwy los nie podsłuchiwał twoich skarg — zakończył Andrzej zabobonną uwagą, wywołaną miłosnem przewidywaniem — i nie uważał tego za niewdzięczność. On nie lubi, gdy dary jego nie są ocenione należycie. Do tej chwili ty dopiero zapoznawałaś się z życiem, a trzeba będzie doświadczać jeszcze jego ciosów. Chroń swoje siły na tę chwilę, kiedy się życie rozigra, gdy przyjdą gorycze i troski — a one przyjdą z pewnością — wówczas... nie do pytań i wątpliwości... Oszczędzaj siły! — przemówił cicho, w odpowiedzi na jej namiętne uniesienie.

W słowach jego czuć było jakiś smutek, jak gdyby oglądał już zdaleka — gorycz i troski życia.

Olga milczała, jakby chwilowo była dotkniętą

smutnym akcentem jego mowy. Ufała mu bez granic i wierzyła w słusność jego uwag. Zaznała się zamyśleniem męża, skupiła się, weszła w głąb siebie.

Oparwszy się o jego ramię, machinalnie, powoli przechadzała się w alei, pogrążona w uporczywym milczeniu. Lękliwie wraz z mężem patrzyła w przyszłość życia, w tę chwilę, kiedy, według słów jego nastanie czas próby, kiedy przyjdą gorycz i troski.

Rozwijał się przed nią inny sen, niż w błękitna noc; otwierały się przed nią podwoje, wiodące do innego życia, nie w krainę jasną, światłą, śród ciszy, śród pełnej obfitości wszystkiego, sam na sam — z nim...

Nie, ona widziała cały łańcuch strat, niedostatku, skropionego łzami, nieuniknionych ofiar, życie w niedzy, konieczne wyrzeczenie się wszelkich, zrodzonych z próżniactwa zachcianek, skargi i jęki z powodu nieznanых im dzisiaj uczuć. Śniły się jej choroby, bankructwo interesów, strata męża...

Olga drżała na tę myśl, omdlewała prawie, ale pełna odważnej ciekawości wpatrywała się w ten nowy dla niej obraz życia, oglądała go z pizerażeniem i mierzyła własne siły... Jedynie tylko miłość nie zdradziła jej i w tym śnie. Stała ona na straży nowego życia, ale już ta miłość była inną!

Nie miała już w sobie gorącego oddechu, jasnych promieni błękitnych nocy. Przez pryzmat lat ubiegłych wszystko wydawało się jej zabawą dziecinną wobec tej głębokiej miłości, jaka tkwiła w głębokiem i groźnem życiu przyszłości. Tam nie słychać pocałunków i śmiechów, niema rozmów w drżącym zamyśleniu, w cieniowym gaju, śród kwiatów na

uroczystości przyrody i życia... Wszystko zbladło i zwiedło...

Nie więdnąca i nie ginąca nigdy miłość malowała się na ich twarzach, jak potężna siła życia w chwilach wspólnych zmartwień, błyszczała we wzroku powoli i milcząco zwróconym ku sobie, widoczna była w nieskończonych wzajemnych troskach w ciężkich chwilach życia, w powstrzymywanych łzach, w zduszonych łkaniach.

W mglisty smutek i nierozwiązane pytania, które trapiły Olę, wciskały się inne marzenia, chociaż dalekie, ale jasno określone i groźne.

Pod wpływem mocnych, uspokajających słów męża, któremu bezgranicznie ufała, uspokajała się Olga, pozbywała się i zagadkowych, nie wszystkim znanych tęsknot i wiecznych groźnych marzeń o przyszłości, śmiało idąc naprzód.

Gdy ginęły mgły marzeń, następował jasny poranek, pełen trosk matki i gospodyni. Tam nęciły ją kwiaty i pola, tu — gabinet męża. Ale nie z zadowoleniem, pozbawionem wszelkiej troski, używała ona życia, ale z utajoną pełną energji myślą, sposobila się do nowej przyszłości — oczekiwała jej.

Podnosiła się wyżej i wyżej. Andrzej spostrzegł, że dawny jego ideał kobiety i żony nieziszczalny, ale czuł się szczęśliwym, że w Oldze znalazł bodaj odblask tego ideału. Nawet tego nie oczekiwał.

Ale i jemu wypadało długo jeszcze, prawie przez życie całe, troszczyć się o to, ażeby na jednakiej wysokości podtrzymywać godność mężczyzny w oczach ambitnej i dumnej Olgi — nie z powodu płytkiej zazdrości, lecz dlatego, ażeby nie zachmużyło się kryształowe życie — a staćby się to

mogło, gdyby wiara jej w niego w najmniejszej mierze się zachwiała.

Wielu kobietom niepotrzebne to wszystko. Skoro już wyszły zamaż, wkrótce pokornie przyswajają sobie złe i dobre przymioty męża, godzą się bezwarunkowo z tą sytuacją i tą sferą, jaką mąż dla nich przygotował lub również pokornie poddają się pierwszej pokusie, nieraz przypadkowej, uznając walkę z nią za niemożliwą lub niepotrzebną. Znajdują łatwo usprawiedliwienie w tem, że los już tak chciał, że uniosła je namiętność, że kobieta jest bezbronna i t. p.

Nawet gdy mąż góruje ponad tłumem rozumem, tą siłą bardzo go wywyższającą w pojęciu kobiety, dumne są z takich przymiotów męża, jak dumne są z posiadania pięknego naszyjnika, ale to tylko w takim razie, gdy rozumny mężczyzna zamyka oczy na wszelkie niewłaściwe zachowanie się żony. Ale gdy tylko ośmieli się poznać tę komedję ich przebiegłego, głupiego, a nieraz występnego życia, rozum ten zaczyna im być wstrętny i staje się ciężarem.

Olga nie знаła tej logiki ślepego posłuszeństwa losowi i nie znała kobiecych namiętnostek i unieień. Uznawszy raz w wybranym mężczyźnie godność i prawo posiadania siebie, ufała mu i kochała dlatego, a gdyby przestała ufać, przestałaby i kochać. Tak się stało z Oblomowym.

Ale wówczas kroki jej były jeszcze niepewne, wola chwiejna; wtedy zaczynała dopiero wglądać i wmyślać się w życie; doprowadzała do samopoznania elementy swego rozumu, zbierała materiały dla życia. Dzieło tworzenia jeszcze się nie rozpoczynało, droga życia nie była jeszcze wytknięta.

Teraz bezgranicznie zaufała Andrzejowi z tą świadomością, że w nim odtworzył się jej ideał mężczyzny. Im bardziej, im z większą świadomością ufała mu, tem trudniej mu było utrzymywać się na jednakiej wysokości, być bohaterem nie tylko jej rozumu i serca, ale i wyobraźni. A ufała mu tak mocno, że między nim a sobą nie uznawała innego pośrednika, oprócz Boga.

(Nie zniosłaby też nigdy najmniejszego znizienia przyznanych mu przez siebie przymiotów. Wszelka fałszywa nuta w jego charakterze i rozumie wywołałaby w niej wstrząsający dysonans.) Zrujnowany gmach szczęścia i ją pogrzebałby w ruinach, a gdyby jej siły ocalały, wówczas szukałaby...

Nie. Takie kobiety nie mylą się dwa razy. Gdyby ich zaufanie, ich wiara mogły być zachwiane, odrodzenie się byłoby już niemożliwe.

Sztolc był bezbrzeżnie szczęśliwy i zadowolony ze swego życia pracowitego i ruchliwego, które przedstawiało mu się jak wiecznie kwitnąca wiosna, to też ją pielegnował i ochraniał. Z głębin duszy wydobywał się przestrach wtedy tylko, gdy pomyślał sobie, że Olga była o włos jeden tylko oddalona od przepaści, że odgadnięta przez niego droga, wśród której dwa życia zlewały się w jedno, mogła w innym wypaść kierunku, że nieświadomość życia mogła się przyczynić do przerażającego błędu, że Oblomow...

Sztolc drgnął na tę myśl. Jakto! Czyż Olga mogłaby żyć tem życiem, jakie dla niej przygotował Oblomow, Ona — pełzająca z dnia na dzień „barynia“ wiejska, niańka własnych dzieci, gospodyni — i tylko!

Wszystkie wątpliwości życia, wszystkie jego zagadnienia, cała treść życia zużywałaby się na troski

gospodarskie, na oczekiwanie świąt, gości, zjazdów rodzinnych, na urodziny, chrzciny, na apatię, na sen męża.

Małżeństwo byłoby tylko formą, a nie treścią, środkiem, a nie celem; byłoby tylko szerokimi, zawsze temi samemi ramami dla przyjęć gości, wizyt, wieczorów, pustej gadaniny.

Jakżeby się na Oldze odbiło takie życie? Walczyłaby z początku, szukając i odgadując tajemnicę życia, potem nastąpiłby płacz, męczarnie, wreszcie przyzwyczaiłaby się, nabrałaby tuszy, jadła, spała, tępiała...

Nie. Byłoby inaczej: ona płakałaby, męczyłaby się, usychała i kończyłaby życie w objęciach kochającego, dobrego i pozbawionego siły woli męża. Biedna Olga!

A jeśliby ogień nie przetlał, życie nie zamarło rychło; jeśliby siły wytrzymały natężenie i zapragnęły swobody; jeśliby ona poruszyła skrzydłami, jak mocna i bystra orlica, przytrzymana tylko przez chwilę słabemi rękami, i odleciała na tę skałę wysoką, gdzie ujrzałaby orła, który jest jeszcze bystrzejszy i silniejszy od niej? Biedny Ilja!

— Biedny Ilja! — powiedział raz głośno Andrzej, przypomniawszy sobie przeszłość.

Olga na dźwięk tego imienia opuściła nagle ręce na kolana wraz z robótką, którą trzymała, odrzuciła głowę wtył i zamyśliła się głęboko. Wykrzyknik męża obudził wspomnienie.

— Co się z nim dzieje? — spytała. — Czyż w samej rzeczy nic dowiedzieć się nie można?

Andrzej wzruszył ramionami.

— Zdawałoby się — rzekł — że żyjemy w czasach, gdy nie było poczt, gdy ludzie, rozjechawszy

się w dwie przeciwne strony, byli już prawie straceni dla siebie, i czasem rzeczywiście ginęli bez wieści.

— Napisałbyś do kogo ze swoich przyjaciół, wiedzielibyśmy przynajmniej...

— Nic nie dowiedzielibyśmy się niczego oprócz tego, co już wiemy: żyje, zdrow, mieszka w tem samem miejscu. Tyle wiem i bez przyjaciół. A co się z nim dzieje, jak on żyje, czy umarł moralnie, czy też tleje w nim jeszcze iskra życia — tego nikt obcy się nie dowie.

— Ach, nie mów tak Andrzej! Strasznie to i boleśnie słuchać. Pragnęłabym coś wiedzieć i lękam się.

Olga bliską była płaczu.

— Na wiosnę będziemy w Petersburgu. Dowiemy się sami o wszystkim.

— Nie dość dowiedzieć się, trzeba zrobić wszystko...

— Czyż ja nic nie robiłem? Czyż nie dość go namawiałem, kłopotalem się jego interesami, uregulowałem je, a on ani słówkiem nie odezwał się! Gdy się z nim widzę — gotów na wszystko, a ledwie odjadę — wszystko przepadło. Znowu zaśnie! Tak się z nim trzeba szarpać, jak z pijakiem.

— Nie trzeba go opuszczać — niecierpliwie zauważyła Olga. — Z nim trzeba postępować stanowczo: wziąć ze sobą do powozu i odwieść. Teraz zamieszkamy w własnym majątku... będzie mieszkać w pobliżu nas... Weźmiemy go ze sobą!

— Napytaliśmy sobie z nim nowy kłopot — rzekł Andrzej, chodząc po pokoju. — A końca nie widać!

— Cięży ci ten kłopot? — pytała Olga. — A to

nowina! Po raz pierwszy słyszę twoje niezadowolenie z tego kłopotu.

— Nie narzekam — odpowiedział Andrzej — rozważam tylko.

— Lecz skąd się nagle wzięło to rozmyślanie? Przyznałeś się sam przed sobą, że to ciebie nudzi, niepokoi — tak?

Olga spojrzała na niego badawczo. Sztolc potrząsł przecząco głową.

— Nie, nie nudzi mię to, ale jest bezużyteczne.

— Nie mów tak, nie mów! — przerwała mu Olga. — Ja znowu, jak zeszłego tygodnia, będę o tem myśleć i martwić się. Jeśli w tobie wygasła przyjaźń dla niego, to z miłości dla człowieka nie powinienes przestać troszczyć się o niego. Jeśli ty nie zechcesz zrobić, ja sama pójdę i nie wrócę bez niego. Jego poruszają moje prośby. Czuję, że zapłakałabym gorzko, gdybym go zobaczyła w poniewierce umarłego dla życia! Może łyzy...

— Wskrzeszą go — myślisz? — przerwał Andrzej.

— Nie, nie wskrzeszą do czynu, ale może zmuszą go oglądać się dokoła siebie i życie swoje zmienić na jakieś lepsze. Niech nie zostanie w błocie, ale z równymi sobie, z nami. Wtenczas... gdy się tylko zjawiła, Oblomow w jednej chwili ocknął się i zawstydził...

— Czy też nie kochasz ty go jak dawniej? — spytał Andrzej żartując.

— Nie — poważnie, w zamyśleniu, jakby w przeszłość patrzyła, mówiła Olga. — Kocham go nie jak dawniej, ale jest coś co w nim kocham, czemu pozostanę wierną i nie zmienię się, jak inni...

— Któż to są ci inni? Powiedz jadowna żmijo,

kaśaj mnie — czy to ja? Mylisz się. Jeśli mam ci prawdę powiedzieć, to przecież ja nauczyłem cię kochać go i o mało nie doprowadziłem was do szczęścia. Gdyby nie ja, przeszłabyś koło niego, nie-spostrzegłszy go nawet. Przecież to ja, nie kto inny odkryłem przed tobą, że rozumu posiada on nie mniej od innych, ale rozum ten zagrzebany, przygluszony rozmaitem rupieciami, unieruchomiony próżniactwem. Chcesz, to ci powiem dlaczego jest on drogim dla ciebie dotychczas, dlaczego go kochasz?

Olga skinęła głową na znak zgody.

— Za to, co cenniejszem jest ponad wszelki rozum: uczciwe, wierne serce. Jest to jego przyrodzone złoto, on je zachował nienaruszone przez całe życie. Oblomow padał potracony, ochładzał się, zasnął wkońcu znękany, rozczarowany, utracił siłę życia, ale nie utracił uczciwości i szczerości. Ani jedna fałszywa nuta nie wybiegła z jego serca, nie przylepiło się do niego błoto. Nie olśniło go żadne najozdobniejsze kłamstwo, żadna siła nie pchnęła go na błędną drogę. Niech się kołysze koło niego cały ocean śmiecia ludzkiego, złości, niech cały świat otruje się jakąś trucizną i pójdzie inną drogą — Oblomow nie ugnie się przed bożkiem kłamstwa, dusza jego pozostanie zawsze czystą, jasną, uczciwą... Jest to kryształowa, przezroczysta dusza. Takich ludzi mało, rzadko się ich spotyka. To perły w tłumie. Serca jego nie można podkupić niczem; wszędzie i zawsze można na niem polegać. Oto dlaczego pozostałaś mu wierną i dlaczego troska o niego nigdy dla mnie nie będzie ciężarem. Znałem nie mało ludzi, obdarzonych wysokimi przymiotami, ale nigdy nie spotkałem serca czystszego, prostszego, jaśniejszego; wielu ludzi kochałem,

ale nikogo tak stale i mocno jak Oblomowa. Kto go raz poznał, nie może przestać go kochać. Czy tak? Odgadłem?

Olga milczała, schyliwszy głowę nad robotą. Andrzej zamyślił się.

— Czy jeszcze nie wszystko? Cóż jeszcze? Ach! — niby zbudzony dodał potem: „gołębią czułość“...

Olga zaśmiała się. Zręcznie odrzuciła szycie, podbiegła do Andrzeja, obiema rękoma objęła go za szyję, spojrzała na niego swemi promiennemi oczyma i zamyśliła się, skłoniwszy głowę na ramię męża. Przypomniła sobie łagodną, zamyśloną twarz Oblomowa, jego spojrzenie pełne słodyczy, jego pokorę, potem jego bolesny, wstydlivy uśmiech, jakim przy pożegnaniu odpowiedział na jej wyrzuty... Tak jej to było boleśnie, tak go żał...

— Ty go nie opuścisz, nie porzucisz? — pytała, nie zdejmując rąk z szyi męża.

— Nigdy! Chyba jakaś przepaść niespodzianie otworzy się przed nami lub stanie ściana.

Olga pocałowała męża.

— Gdy będziemy w Petersburgu, weźmiesz mnie do niego?

Andrzej niezdecydowanie milczał.

— Tak? Tak? — nalegała żona, czekając odpowiedzi.

— Słuchaj Olgo — rzekł, starając się szyję swoją wyzwolić z jej objęć — przedtem trzeba...

— Nie, powiedz: tak, inaczej nie puszczę cię.

— Niech będzie tak — odpowiedział — ale tylko na pierwszą wizytę. Ja wiem co będzie z tobą, jeśli on...

— Nie mów więcej! Nie mów! — przerwała

Olga. — Tak, weźmiesz mnie. Wspólnemi siłami zrobimy wszystko. Ty sam jeden nie potrafisz, nie zechcesz!

— Dobrze. Ale uprzedzam, że to ciebie zenerwuje — zauważył niezadowolony, że Olga wy-
musiła na nim zgodę.

— Więc pamiętaj — zakończyła, siadając na swoje miejsce — że opuścisz go dopiero wtedy gdy między wami otworzy się przepaść lub ściana powstanie. Nie zapomnę tych słów.

IX.

Spokój i cisza unosiły się nad Wyborgską stroną, nad niebrukowanymi ulicami, nad drewnianymi chodnikami, nad sadami z nędznie rosnącymi drzewami, nad rowami, porośniętymi pokrzywą, gdzie jakaś koza z urwanym sznurem na szyi pilnie szczypała trawę lub drzemała leniwie. Czasem pod płótem dało się słyszeć stukanie wysokich korków jakiegoś eleganckiego urzędnicy, idącego chodnikiem, poruszyła się perkalikowa firaneczka w oknie i ukazała się twarz jakaś. Niekiedy z za płotu wyjrzała nagle jakaś świeża twarzyczka dziewczyny i schowała się w tej chwili, potem ukazała się druga twarzyczka i też znikła, znowu wychyliła się pierwsza, za nią druga; słyhać było przeraźliwy krzyk lub śmiechy dziewcząt na huśtawce.

I w domu Pszenicznowej panowała cisza. Gdy kto wszedł na podwórze — idylla prawdziwa: kury i koguty poczynwały uciekać i chować się po kątach. Pies rwał się na łańcuchu i ujadał do utraty głosu. Akulina przestawała doić krowę, stróż podwórzowy rąbać drzewo i oboje z ciekawością spoglądali na przybysza.

— Do kogo? — pytała.

Usłyszawszy nazwisko Ilji Iljicza, lub gospodyni domu, milcząco wskazywał któredy iść trzeba

i znowu poczynął rąbać drzewo, a gość, czystą, wysypaną piaskiem dłożyną podążał do ganku. Na wschodkach rozesłany był czyściutki prosty dywanik; gość poruszał pięknie oczyszczoną rączkę od dzwonka, a drzwi otwierała Anisja, któreś z dzieci, czasem sama gospodyni, niekiedy Zachar, ale zawsze ostatni.

Wszystko w domu Pszenicynowej oddychało dostatkiem i pełnią gospodarskiego życia, jaka nawet i przedtem nie bywała, gdy Agafja Matwiejewna mieszkała wspólnie z „braciszkiem“.

W kuchni, w komórkach, w bufecie na półkach pełno było naczyń, piętrzyły się wielkie i małe, okragłe i owalne półmiski, sosjerki, filiżanki, stosy talerzy, garnków żelaznych, miedzianych i glinianych.

W szafach pełno było własnego srebra, które wykupione, nigdy już nie odwiedzało domów zastawniczych, jakoteż srebra Oblomowa.

Widać było rzędy całe ogromnych czajników, pękatych i maluczkich; kilka rzędów fajansowych filiżanek, prostych i malowanych, złożonych, z napisami, z gorejącymi sercami, z Chińczykami. Wielkie, szklane słoje z kawą, cynamonem, wanilią, kryształowe spodki, naczynia do masła, octu.

Potem całe półki zavalone były paczkami, buteleczkami, pudełeczkami i różnemi domowemi lekarstwami, ziołami, plastrami, spirytusami, z kamforą, proszkami, korzeniami. Tu było także mydło, środki do czyszczenia koronek, wywabiania plam — wszystko co tylko można znaleźć w pierwszym lepszym domu na prowincji u każdej dobrej gospodyni.

Gdy Agafja Matwiejewna otworzyła nagle drzwi

szafy, wypełnionej temi wszystkimi drobiazgami, to ledwie nie omdlewała od różnych narkotycznych zapachów, tak że, mimowolnie głowę na bok odchylała.

W spiżarni wisały, przymocowane do sufitu szynki, aby je myszy nie psuły, leżały sery, głowy cukru, ryba, worki suszonych grzybów, kupione u Czuchonców orzechy.

Na podłodze stały rzędami faszeczki masła, wielkie naczynie ze śmietaną, koszyki pełne jajek. Czego tu nie było! Trzebaby drugiego Homera, aby wyliczył szczegółowo wszystko co tu było zgromadzone w różnych kątach, na wszystkich półkach tej małej arki domowego życia.

Kuchnia — było to prawdziwe palladjum działalności wielkiej gospodyni i jej dostojnej pomocnicy Anisji. Wszystko było w tym domu i pod ręką, na swoim miejscu, w porządku i czystości — możnaby powiedzieć — gdyby nie jeden kąt w domu, do którego nie przedostał się promień światła, ani powiew świeżego powietrza, nie zaglądało oko gospodyni, ani zręczne do wszystkiego ręce Anisji. Było to gniazdo Zachara.

W pokoiku jego nie było okna. Ciągła ciemność przyczyniała się do tego, że mieszkanie człowieka stawało się wstrętną norą. Gdy Zachar ujrzał tam kiedy gospodynię, która przyszła z zamiarem oczyszczenia lub ulepszenia czegoś, zaraz stanowczo twierdził, że to nie babska rzecz zajmować się tem, gdzie i jak powinny leżeć szczotki, czernidło i buty, że nikomu nic do tego, dlaczego ubranie leży na kupie na podłodze, a pościel jego w kącie, za piecem, w kurzu, że to on zajmuje się ubraniem „barina“, że on, a nie one sypiają na tej

pościeli. A co do miotły, desek, kawałków cegły, dna od beczki i dwóch polan drzewa, które leżały u niego w pokoju — on bez nich obejść się nie może, ale dlaczego — nie wyjaśnił. Oświadczył wyraźnie, że ani kurz ani pajęczyna wcale mu nie przeszkadzają w niczem. Tłumaczył, że on nie wścibia nosa do kuchni, nie życzy sobie przeto ażeby się zajmowano jego obowiązkami.

Anisję, którą raz zastał w swoim pokoju, powitał taką pogardą, tak poważnie zagroził łokciem, w pierś skierowanym, że lękała się zaglądać do niego. Gdy sprawa opierała się czasem o wyższą instancję, do rozstrzygnięcia Ilji Iljicza, „barin“ szedł, ażeby popatrzeć i wydać najsurowszą dyspozycję, ledwie wsunął głowę do pokoju Zachara i popatrzył przez sekundę na wszystko co tam było, splotował zwykle i nie rzekł ani słowa.

— Cóż? Wygrałyście? — mówił Zachar do Agafji Matwiejewny i do Anisji, które przyszły z Ilja Iljiczem w nadziei, że jego interwencja przyda się na coś. Potem uśmiechnął się po swojemu, szeroko tak, że brwi i bokobrody jego rozsunęły się na strony.

W innych pokojach było jasno, czysto, świeżo. Stare wypłowiałe firanki znikły, a okna i drzwi bawialnego pokoju i gabinetu ozdobiono szafirowymi i zielonemi draperjami i muślinowemi firaneczkami z różowemi festonami — roboty Agafji Matwiejewny.

Poduszki były białe jak śnieg i piętrzyły się ledwie nie do sufitu, kołdry były jedwabne.

Całemi tygodniami pokój gospodyni był zawalony kilkoma stolikami do kart, zbliżonemi

jeden do drugiego, na których rozesłane były kołdry i szlafrok Ilji Iljicza.

Agafja Matwiejewna własnoręcznie przykrawała, podkładała watą i podszywała je, przyłgnawszy do roboty swojemi mocnemi piersiami, dotykając je prawie oczyma i ustami, gdy trzeba było odgryźć nitkę. Pracowała z upodobaniem, z niezmordowaną pilnością, szukając skromnej nagrody w myśli, że szlafrok i kołdry będą odziewać, ogrzewać i sprawiać przyjemność wspaniałemu Ilji Iljiczowi.

Obłomow całemi dniami leżał na kanapie i przypatrywał się jak obnażone łokcie Agafji Matwiejewny poruszały się wtył i naprzód, śladami igły i nitki. Drzemiał niekiedy wsłuchując się w skrzypienie poruszanej nitki lub w chrzęst odcinania jej zębami — jak niegdyś w Obłomówce.

— Dosyć już roboty! Zmęczy się pani! — mówił.

— Pan Bóg pracę lubi — odpowiadała, nie podnosząc oczu i rąk od roboty.

Kawę podawała mu tak samo starannie, czysto i smacznie jak z początku, kiedy przed kilkoma laty zamieszkał u niej. Zupa z podróbkami, makaron z parmezanem, kulebiaka, barszcz z boćwiny, kurczęta — wszystko to zmieniało się regularną kolejką i przyjemnie wpływało na ożywienie jednostajnych dni maleńkiego domku.

W oknach od rana do wieczora świecił jasny promień słońca, przez pół dnia z jednej, przez drugą połowę z drugiej strony bez żadnej przeszkody, dzięki ogrodowi z obu stron.

Kanarki ćwierkały wesoło, a przynoszone od czasu do czasu hiacynty z hrabskiego ogrodu,

napelniały male pokoje mocnym zapachem, który przyjemnie łączył się z dymem hawańskiego cygara, wanilji lub cynamonu tłuczonego w sąsiednim pokoju przez gospodynię.

Ilja Iljicz pędził życie jak gdyby oprawne w złote ramy, w którem jak w dioramie przesuwaly się tylko dnie, noce i pory roku. Innych zmian, osobliwie ważniejszych wypadków, które wstrząsałyby życiem całej kolonji, mącąc jej spokój, nie było.

Od chwili kiedy Sztolc uwolnił Obłomówkę od szachrajskich długów „braciszka“ i odkąd się ten, wraz z Tarantjewem, usunął zupełnie, wraz z nimi znikło wszystko co było wrogiego w życiu Ilji Iljicza. Otoczyły go teraz proste kochające serca, które wspólnie pracowały nad tem, ażeby podeprzeć jego życie, aby go nie widział i nie odczuwał.

Agafja Matwiejewna była u szczytu swego istnienia, żyła i czuła że żyje całą pełnią, jak nigdy przedtem, ale jak i przedtem wypowiedzieć tego nie umiała, a nawet do głowy nigdy jej to nie przychodziło. Modliła się tylko o to, ażeby Pan Bóg przedłużył życie Ilji Iljicza, ażeby go wybawił, od „wszelkiego smutku, gniewu i zmartwień“, a siebie, dzieci swoje i dom cały polecała Bogu. Na twarzy jej malowało się zawsze jednakie zupełne szczęście zaspokojone, bez pragnień, a zatem wyjątkowe jakieś, w każdym innym wypadku niemożliwe.

Twarz jej wypełniła się. Piersi i ramiona jaśniały tem samem zadowoleniem i pełnią, oczy świeciły dobrocią i troską gospodarską. Wróciła jej dawna godność i spokój, z jakimi władała dawniej całym domem wśród pełnych pokory Akuliny, Anisji i stróża podwórzowego. Jak dawniej, nie chodziła, ale zdawała się pływać od szafy do kuchni, z kuchni do

spizarni i pośpiesznie wydawała rozkazy, z zupełną świadomością tego co robi.

Anisja stała się jeszcze żywsza niż dawniej, bo roboty przybyło: ciągle biegła, niepokoiła się, ruszała, pracowała — zawsze według rozkazu gospodyni. Oczy jej pojaśniały jeszcze bardziej, a nos, ten jej wymowny nos, zawsze poprzedzał całą jej osobą i różowił się od trosk, myśli i zamiarów. Zdawał się mówić, chociaż język milczał.

Obie były ubrane według godności swego stanu i obowiązku. U Agafji Matwiejewny przybyła nowa szafa, pełna jedwabnych sukien, mantylek, płaszczów; czepeczki zamawiała dla siebie na tamtej stronie, zdaje się, na Litiejnej; trzewiki nie u Apraksina, lecz w Gościennym dworze, a kape-lusze — proszę sobie wyobrazić! — kupowała na Morskiej. I Anisja, gdy skończyła swoje zajęcia, osobliwie w niedzielę, ubierała się w wełnianą sukienkę.

Tylko Akulina chodziła po dawnemu z fartuszkiem, zatkniętym za pas, a stróż, nawet w czasie letnich upałów nie mógł się rozstać z kozuchem.

O Zacharze cóż mówić? Szary swój frak prze-robził sobie na kurtkę; nie można było określić jakiej barwy były spodnie, z czego zrobiony krawat. On jak dawniej czyścił buty, potem spał, wysiadywał pod bramą, tępym wzrokiem przyglądając się rzadko mijającym go przechodniom, albo przesiadywał w najbliższym sklepiku. Robił to samo i tak samo jak robił zawsze, jak robił w Obłomówce, a potem na Grochowej.

A Obłomow? Obłomow był najlepszem odbiciem i wyrazem spokoju, zadowolenia i otaczającej go ciszy. Wpatrując się i wmyślając w swoje

życie i przyzwyczajając się do niego coraz bardziej, zdecydował, że nienia potrzeby iść dalej, szukać czegoś nowego, że ideał jego życia urzeczywistnił się, chociaż bez poezji, bez tych promieni, którymi niegdyś wyobraźnia malowała mu szerokie, pańskie życie, we wsi rodzinnej, wśród włościan i dworu pańskiego.

Na swoje życie terazniejsze patrzył jak na dalszy ciąg obłomowskiego, tylko przy innym kolorycie miejscowości, a poniekąd i czasu. I tu, jak w Obłomówce, udawało mu się łatwo wykręcać się od zwyczajnych trosk życia, zdobyć i zapewnić sobie niezmacony spokój.

Wewnętrznie triumfował, że udało mu się uciec od dokuczliwych i męczących wymagań i trosk, odsunąć się od tej sfery, gdzie świecą błyskawice wielkich radości i uderzają nieoczekiwane pioruny wielkich zmartwień; gdzie mamią fałszywe nadzieje i wspaniałe złudzenia szczęścia; gdzie dręczy i niszczy człowieka jego własna myśl, własna namiętność; gdzie poniża się lub triumfuje rozum; gdzie walczy wśród nieustającej bitwy człowiek, a z pola bitwy odchodzi zmęczony, niezadowolony i nienasycony.

Obłomow nie odczuwał rozkoszy, zdobywanych walką. W ciszy duszy rzekł się ich oddawna, a cieszył się spokojem w zapomnianym przez świat kąciku, gdzie nie było tego, coby nazwać można ruchem, walką, życiem.

Jeśli czasem rozigrała się wyobraźnia, otoczyły go zapomniane wspomnienia, niespełnione marzenia, jeśli sumienie odezwało się wymówką za przeżyte tak, a nie inaczej życie — wówczas Ilja Iljicz sypiał niespokojnie, budził się, wyskakiwał z łóżka, czasem płakał zimnemi, beznadziejnemi

łzami z żalu za gasnącym ideałem życia, jak płacząc po drogim bardzo zmarłym, z uczuciem gorzkiej świadomości, że za mało robiono dla niego za życia.

Potem spoglądał na swoje otoczenie, wchodził w codzienny tryb życia i uspokajał się, patrząc w zamysleniu jak cicho i spokojnie tonie w pożarze wieczorne słońce. Wkońcu przychodził do przekonania, że życie jego, tak jak się ono ułożyło prosto i cicho, było wyrazem idealno-spokojnej strony ludzkiego bytu.

Innym — myślał on — przypadło w udziale wypowiadać jego burzliwe akcenty, poruszać twórcze i niszczące siły. Każdy człowiek dźwigać musi swoje przeznaczenie.

Oto taki pogląd filozoficzny na życie wyrobił się u oblomowskiego Platona i kołysał go do snu wśród spraw i surowych wymagań długu i obowiązku społecznego. Urodził się i był wychowany nie jak gladiator dla popisu na arenie, lecz jako spokojny obserwator walki. Jego bojaźliwa i leniwa dusza nie zdolną była do dźwigania ani burzy szczęścia, ani ciosów życia; w nim znalazła urzeczywistnienie tylko jedna strona życia; — dobijać się czegoś innego, mieniać na co innego, to, co już zdobył — nie chciał.

Z upływem lat, wewnętrzne walki i żale bywały coraz radsze, a Ilja Iljicz cicho i powoli układał się do prostego i szerokiego grobu życia, który sam własnymi rękoma sobie przysposobił, jak pustelnicy, którzy, odwróciwszy się od życia, sami sobie grób kopią.

Przestał już myśleć o reorganizacji gospodarstwa i o wyjeździe do majątku. Rządca, wyznaczony

przez Sztolca, przysyłał mu regularnie bardzo poważne dochody na każde Boże Narodzenie, chłopci przywozili mu z Obłomówki zboże i żywność. W domu zakwitły dostatek i wesołość.

Ilja Iljicz trzymał nawet parę koni, ale z powodu właściwej mu ostrożności takie, które z pod ganku ruszały dopiero pod batem. Przy pierwszym uderzeniu jeden koń poruszał się i odchyłał na stronę, po drugim — drugi, potem dopiero, wyciągnawszy szyję i grzbiety ruszały z miejsca, kiwając głowami. Odwoziły one Wańkę do szkoły, na tamtą stronę Newy, a gospodyni posługiwała się niemi przy robieniu sprawunków.

W Zapusty i na Wielki tydzień cała rodzina i sam Ilja Iljicz jeździli na zabawy ludowe, na przejażdżkę, do „bałaganów“; czasem kupowano łożę i całym domem bywano w teatrze.

Latem wyjeżdżano za miasto, w piątek przed Eljaszem do Prochowni — i tak życie przeplatało się zwykłemi zdarzeniami, nie przynosząc przykrych zmian. Można było powiedzieć, że ciężar życia nigdy nie dosięgał tego maleńkiego spokojnego kącika. Ale, na nieszczęście, piorun wstrząsając podwalinami gór i olbrzymiemi przetworami atmosfery, nie mija także mysiej nory, i chociaż słabo i głucho rozlega się w niej również.

Ilja Iljicz jadał z apetytem i dużo, jak w Obłomówce; pracował leniwie i mało — jak w Obłomówce. Bez względu na zwiększającą się liczbę lat pijał wino, wódeczkę na liściach bzuwanych, a do brze i długo sypiał po obiedzie.

Nagle wszystko się zmieniło.

Pewnego razu, po odpoczynku i drzemce poobiedniej, chciał wstać z kanapy — i nie mógł,

chciał coś powiedzieć — język nie usłuchał go. Przełknięty, kiwając tylko ręką, wzywał pomocy.

Gdyby mieszkał tylko z Zacharem, mógłby być od rana do wieczora kiwać ręką i umrzeć, o czym dowiedzianoby się dopiero na drugi dzień, ale oko gospodyni czuwało nad nim, jak oko opatrznosci. Nie potrzebny był jej rozum, ona domyślnością serca czuła, że coś się stało Ilji Iljiczowi.

Jak tylko ta zagadka rozwiązała się przed nią, Anisja już pędziła po doktora, a gospodyni obłożyła głowę chorego lodem i wyjęła z szafki wszystkie spirytusy naraz — wszystko robiła co praktyka lub usłyszane wiadomości wskazywały jej by zastosować. Nawet Zachar zdołał w tym czasie wciągnąć jeden but i tak dreptał razem z doktorem, gospodynią i Anisją koło swego „barina“.

Ilję Iljicza doprowadzono do przytomności, puszczono krew, a potem oświadczono, że to był udar krwi i że należy inne prowadzić życie.

Zabroniono mu pić wino, piwo, wódkę, także kawę, chyba tylko wyjątkowo; nie wolno było używać tłuszczów, mięs, korzeni, a natomiast polecono codzienny ruch, i sen umiarkowany lecz tylko w nocy.

Bez trosk i starań Agafji Matwiejewny nicby z tego nie było, ale ona zdołała wprowadzić nowy system w ten sposób, że zmieniła cały tryb domowego życia, a czasem przebiegłością lub rozmową zdołała odwrócić od Ilji Ijicza nęcające pokusy do wina, do tłustych potraw, drzemki poobiedniej i tłustej „kulebiaki“.

Ledwie Obłomow zadrzemał, nagle w sąsiednim pokoju padało z hałasem krzesło, niby samo przez się, lub z brzękiem tłukło się jakieś stare niepo-

trzebne naczynie, albo dzieci zaczynały krzyczeć — choć gdzie chcesz, uciekaj, a spać nie można! Gdy to nie pomagało, odzywał się jej łagodny głos — wołała go i pytała o coś.

Ścieżka z ogrodu została przedłużoną do sadu, i Ilja Iljicz codziennie przechadzał się dwie godziny. Agafja Matwiejewna chodziła z nim razem, a gdy jej coś przeszkadzało, posyłała Maszę lub Wańkę; towarzyszył mu też stary znajomy, zawsze pokorny i na wszystko zgodny Aleksiejew.

Przechadzał się Ilja Iljicz powoli drożyną, opierając się o ramię Wani. Wania był już prawie młodzieńcem — w mundurze gimnazjalnym, ledwie powstrzymać mógł swoje śmiałe, pośpieszne kroki, przystosowując się do kroków Ilji Iljicza. Oblomow utykał trochę na jedną nogę — ślad pozostały po ataku apoplektycznym.

— Wracajmy Waniuszka do pokoju — rzekł. Już się ku drzwiom skierowali, gdy naprzeciwko nich stanęła Agafja Matwiejewna.

— Pocóż wracacie tak wcześnie?

Zastąpiła im drogę.

— Jako—wcześnie? Przeszliśmy się już ze dwadzieścia razy tam i z powrotem, a przecież od parkanu pięćdziesiąt sążni — to znaczy zrobiliśmy dwie wiorsty.

— Ile razy przeszliście? — spytała.

Waniuszka zawahał się.

— Nie kłam! Mów prawdę! — groziła mu. — Zaraz zobaczę. Pamiętaj, w niedzielę nie puszczę cię w odwiedziny, jeśli powiesz nieprawdę.

— Ależ tak, przeszliśmy... ze dwanaście razy.

— Ach, ty, lobuzie jakiś! — oburzył się Oblo-

now. — Przecież bawiłeś się gałązką akacji, a ja — liczyłem.

— Nie, jeszcze proszę pochodzić trochę... „ucha“ jeszcze nie gotowa.

I zamknęła im drzwi przed nosem.

Oblomow, chcąc niechcąc, zrobił jeszcze ośm obrotów i dopiero potem wrócił do pokoju.

Na wielkim okrągłym stole dymiła się „ucha“. Oblomow usiadł na swoim miejscu na kanapie, obok niego na krześle z prawej strony Agafja Matwiejewna, na lewo na małym dziecinnej krzeselku z zasuwą siedział jakiś chłopczyk, mniej więcej trzyletni. Przy nim Masza już trzynastoletnia dziewczynka, następnie Wania, a wieczorem tego dnia przyszedł także Aleksiejew, który usiadł naprzeciwko Oblomowa.

— Jeszcze okońka położę na talerzyk — zwróciła się Agafja Matwiejewna do Oblomowa — tłusty się trafił.

— Dobrzeby było do niego kawałek „piroga“ — dodał Oblomow.

— Zapomniałam, doprawdy zapomniałam — a jeszcze wczoraj myślałam o tem. Zupełnie pamięć straciłam — usprawiedliwiała się Agafja Matwiejewna. — I dla pana, Iwanie Aleksiejewie, zapomniałam o kapuście do kotletów. Niech pan wybaczy.

Wykręcała się umyślnie.

— Nic to nie znaczy! Ja wszystko mogę jeść! — mówił Aleksiejew.

— Szkoda, że się dla niego nie zrobiło wędzonki z groszkiem, albo befszytk — on to lubi — zauważył Oblomow.

— Sama chodziłam, patrzyłam. Nie było Ilja

Iljicz dobrego kawałka! Ale natomiast kazałam wam zrobić kisiel na syropie wiśniowym, wiem, że pan to lubi — zwróciła się do Aleksiejewa.

Kisiel był nieszkodliwy dla Ilji Iljicza i dlatego powinien go być lubić i jeść na wszystko zgadzający się Aleksiejew.

Po obiedzie żadna siła nie mogła zmusić Obłomowa do zaniechania zwykłej drzemki. Kładł się w tym samym pokoju na kanapie na plecy, ale tylko leżał godzinę. Ażeby mu przeszkodzić w spaniu, gospodyni tuż obok niego robiła kawę, na dywanie bawiły się dzieci, a Ilja Iljicz mimo-woli musiał w tem brać udział.

— Daj pokój Andrjuszce — on zaraz płacze — mówił do Waniczki, który drażnił dziecko.

— Maszeńka! Uważaj, Andrjuszka uderzy się o krzesło — zwrócił uwagę Obłomow, gdy dziecko weszło pod krzesło.

Masza rzucała się, ażeby z pod krzesła wydobyć, jak mówiła, „braciszka“.

Na chwilę wszystko zamilkło, gospodyni wyszła do kuchni zobaczyć, czy kawa już gotowa. Dzieci uspokoiły się. W pokoju rozległo się chrapanie, z początku ciche, potem przygłuszone, wreszcie głośniejsze, a kiedy Agafja Matwiejewna weszła z dygniącą się maszynką kawy, uderzyło ją to chrapanie, mocne jak w izbie furmańskiej.

Agafja Matwiejewna z ubolewaniem skinęła głowę w kierunku Aleksiejewa.

— Budziłem, ale nie słucha — tłumaczył się.

Szybko postawiła imbryk z kawą na stole, porwała z podłogi Andrjuskę i cichutko posadziła go na kanapie obok Ilji Iljicza. Chłopiec począł pełzać, doszedł do głowy i uchwycił za nos Obłomowa.

— Ha? Co? Kto to? — niespokojnie odezwał się Ilja Iljicz.

— Zadrzemaliście Ilja Iljicz — łagodnie odezwała się gospodyni — a Andrjuszka wlaź i rozbudził was.

— Kiedyż ja drzemałem! — bronił się Ilja Iljicz, biorąc dziecko w ramiona. Słyszałem przecież dobrze jak on laź po mnie. Wszystko słyszałem. Ach, ty swawolniku, za nos chwytasz! Ja ci dam! Poczekaj! Poczekaj! — mówił, pieszcząc dziecko.

Potem postawił je na podłogę i głośno westchnął.

— Proszę coś opowiedzieć, Iwanie Aleksiejew — rzekł.

— Wszystko omówiliśmy już Ilja Iljicz. Niema nic więcej do opowiadania.

— Jak to nic? Pan przecież bywa między ludźmi — niema nowin żadnych? Coś czyta pan przecież?

— Tak, czasem czytam, lecz czasem inni czytają, rozmawiają — a ja słucham. Wczoraj na przykład, u Aleksieja Spirydonycza syn, student, głośno czytał...

— Cóż on czytał?

— Czytał o Anglikach, że komuś broń i proch posłali. Aleksiej Spirydonycz mówił, że będzie wojna.

— A komuż broń posłano?

— Do Hiszpanji czy do Indji — nie pamiętam, tylko wiem, że poseł był bardzo niezadowolony.

— Jaki poseł? — spytał Oblomow.

— To już zupełnie zapomniałem! — rzekł Aleksiejew, podnosząc nos do sufitu i starając się przypomnieć.

— Ale z kimże ma być wojna?

— Z paszą tureckim, zdaje się.

— No, a więcej co nowego w polityce? — spytał znowu, pomilczawszy trochę, Ilja Iljicz.

— Piszą, że kula ziemską ochładza się i zamrażnie kiedyś.

— Ta-a-ak? Czyż to polityka?

Aleksiejew zmieszał się.

— Dymitr Aleksiejicz z początku mówił o polityce — usprawiedliwiał się Aleksiejew — a potem czytał wszystko po porządku, ale nie powiedział gdzie się polityka skończyła. Ja przecież wiem, że to już potem była literatura.

— A cóż czytał o literaturze?

— Czytał, że najlepszymi pisarzami są Dmitrijew, Karamzin, Batuszkow i Żukowskij.

— A Puszkina?

— O Puszkynie nic tam nie było. Ja także pomyślałem, dlaczego o nim nic nie ma! Przecież to genjusz... — rzekł Aleksiejew, akcentując pierwszą literę jak „ch“.

Potem nastąpiło milczenie. Gospodyni przyniosła robotę i poczęła wywijać igłą wprost i wstecz, od czasu do czasu, rzucając spojrzenie na Ilję Iljicza, na Aleksiejewa i nasłuchując czujnem uchem, czy nie ma gdzie w domu nieporządku, szmeru; czy nie wymyślają sobie wzajemnie w kuchni Zachar i Anisja, czy Akulina zmywa naczynie, czy nie skrzypnęła bramka na dziedzińcu, to znaczy, czy stróż nie wyszedł do pobliskiego szyneczku.

Obłomow milczał, pogrążony w zamyśleniu. Nie był to ani sen ani czuwanie. Pozwolił on myślom swoim błąkać się swobodnie, nie skupiając ich na żadnym punkcie, nasłuchiwał spokojnie równomiernego bicia swego serca, i z rzadka mrugał oczyma,

jak człowiek, który na żadnym przedmiocie nie zatrzymuje wzroku. Był to nieokreślony, zagadkowy stan, rodzaj halucynacji.

Rzadko i krótko miewa człowiek chwile takiego zamyślenia się, kiedy mu się zdaje, że po raz drugi przeżywa chwile już kiedyś przeżyte. Czy we śnie widział to, co mu się przesuwalo przed oczyma, czy przeżył to rzeczywiście, ale zapomniał; zdaje mu się, że te same osoby, co i niegdyś siedzą obok niego, że te same słowa już raz były powiedziane. Ale wyobraźnia bezsilna jest i nie może się przenieść w dawno minione czasy, pamięć nie może wskrzesić przeszłości, tylko zmusza do zamyślenia się.

To samo było i z Oblomowym. Otaczała go cisza, którą już niegdyś gdzieś przeżywał, poruszało się znane mu dobrze wahadło zegarowe, słyszał szelest odgryzionej nitki, powtarzały się znajome wyrazy i szept.

— Nie mogę trafić nitką do uszka igły! Nawleczyć no Masza, ty masz wzrok bystrzejszy.

Ilja Iljicz machinalnie, niby w zapomnieniu, wpatrzył się w twarz gospodyni i w głębi jego wspomnień powstał znajomy, widziany już kiedyś obraz, słyszany już kiedyś głos...

I stanął przed nim wielki ciemny pokój gościnny, w rodzicielskim domu. Dokoła stołu siedzą matka, goście, szyją w milczeniu, ojciec chodzi po pokoju i milczy. Przeszłość i teraźniejszość zlały się w jeden obraz.

Marzyło mu się, że doszedł do tej ziemi obiecannej, mlekiem i miodem płynącej, gdzie spożywają niezapracowany chleb, chodzą ubrani w złoto i srebro.

Słyszał, jak opowiadają sobie sny wyśnione

w nocy, brzęk talerzy, stuk noży, przyciska się do niani i wsłuchuje się w jej drżący starczy głos.

— Militrisa Kirbitjewna — mówi, wskazując gospodynię.

Zdaje mu się, że widzi ten sam obłoczek, pływający po niebie, co i niegdyś widział, ten sam wietrzyk w okno wieje i igra jego włosami. Obłomowski indyk chodzi po dziedzińcu i bełkoce pod oknem.

Pies zaszczeakał — pewnie gość przyjechał. Rzeczywiście, gość pewnie, słysząc kroki coraz bliżej i bliżej, otwierają się drzwi...

— Andrzej! — wymówił Obłomow.

W samej rzeczy, przed nim stał Andrzej, nie dawny chłopczyk, ale już dorosły mężczyzna.

Obłomow ocknął się. Przed nim nie zjawisko halucynacji, ale rzeczywiście Sztolc.

Gospodyni szybko pochwyciła dziecko, wzięła robotę, odprowadziła dzieci, Aleksiejew znikł także. Sztolc i Obłomow zostali sami, milcząc i nieruchomie patrząc na siebie. Sztolc przeszył go wzrokiem.

— To ty Andrzeju? — spytał Obłomow, ledwie dosłyszalnym głosem ze wzruszenia, jak pyta po dłuższej rozłące kochanek kochankę.

— Ja — usłyszał cichą odpowiedź. Cóż się z tobą dzieje? Żyjesz, zdrow jesteś?

Obłomow objął go, mocno przyciskając do piersi.

— Ach! — wymówił ledwie, zamknawszy w tym wykrzykniku całą moc swojej długo ukrywanej tęsknoty i radości. Od chwili rozłąki nigdy może nie odczuwał tego tak szczerze.

Usiedli i znowu pilnie wpatrywali się w siebie.

— Zdrow jesteś? — spytał Andrzej.

— Teraz zdrow, chwała Bogu.

— A byłeś chory?

— Tak, Andrzej, miałem uderzenie mózgu.

— Czy to możliwe? Mój Boże! — zawołał z łękiem Sztolc. Ale następstw nie było?

— Tak, tylko lewą nogą nie władałam dobrze.

— Ach, Ilja, Ilja, co się z tobą dzieje! Przecież ty osunąłeś się zupełnie. Cożeś robił przez ten cały czas? Piąty rok już mija, jakeśmy się widzieli.

Oblomow westchnął.

— Dlaczegoż nie pojechał do Oblomówki? Dlaczego nie pisał?

— Cóż mam ci opowiadać Andrzej. Ty znasz mnie, nie pytaj o więcej — odpowiedział ze smutkiem Oblomow.

— Zawsze w tym samym miejscu, w tym samym mieszkaniu? — pytał Sztolc, rozglądając się po pokoju.

— Tak, zawsze tutaj. Teraz już nie zmienię mieszkania.

— Jakto? Stanowczo nie?

— Tak Andrzeju... stanowczo.

Sztolc spojrzał na niego pilnie i zamyślił się. Począł chodzić po pokoju.

— A cóż z Olgą Siergiejewną? Czy zdrowa? Czy pamięta...

Oblomow nie dokończył.

— Zdrowa i pamięta ciebie, jakbyście się wczoraj rozstali. Zaraz powiem ci, gdzie ona.

— A dzieci?

— I dzieci zdrowe... Ale powiedz Ilja, czy ty żartujesz, że zostaniesz w tym mieszkaniu? Ja przyjechałem właśnie po ciebie, ażeby cię zabrać ze sobą na wieś...

— Nie, nie! — znizywszy głos i spoglądając na drzwi mówił Oblomow, wzburzony widocznie. — Nie,

proszę cię nie rozpoczynaj nawet tej sprawy, nie mów nic...

— Dlaczego? Co się z tobą stało — zaczął Sztolc. — Ty znasz mnie. Ja oddawna powziąłem ten zamiar i nie odstąpię od niego. Dotychczas byłem zajęty moimi sprawami, teraz jestem wolny. Tyś powinien żyć z nami, w pobliżu nas. Tak zdecydowaliśmy z Olgą i tak się stanie. Dzięki Bogu, że zastałem cię w takim stanie zdrowia, a nie gorszym. Nie spodziewałem się... A zatem jedziemy! Zdecydowany jestem siłą wyrwać cię z tego miejsca! Trzeba żyć inaczej? Ty wiesz jak...

Obłomow słuchał z niecierpliwością.

— Nie mów tak głośno, proszę cię, ciszej! — prosił. — Tam...

— Co tam?

— Posłyszają... Gospodyni pomyśli, że ja w samej rzeczy chcę odjechać...

— Cóż w tem złego? Niech słyszy!

— Ach, jak to można! — przerwał mu Obłomow. — Słuchaj Andrzeju — przemówił nagle z niezwykłą stanowczością. — Nie rób daremnych usiłowań, ja tu zostanę.

Sztolc ze zdziwieniem spojrzał na przyjaciela. Obłomow spokojnie i stanowczo patrzył na niego.

— Ty, Ilja, jesteś już stracony! — rzekł. — Ten dom, ta kobieta... całe twoje życie tutaj... To nie może tak zostać — jedźmy! jedźmy!

Pochwycił go za rękaw i do drzwi ciągnął.

— Dlaczego chcesz mnie zabrać? Dokąd? — bronił się Obłomow.

— Z tej jamy, z tego błota na świat, na jasność, gdzie jest zdrowe normalne życie! — naciskał Sztolc prawie rozkazującym tonem. — Opaniętaj się! Czyż

do takiego życia się sposobieś, ażeby spać tylko jak kret w norze? Przypomnij sobie wszystko...

— Nie wspominaj, nie mąć przeszłości, nie wrócisz jej! — mówił Oblomow, z twarzą ożywioną, z zupełną samowiedzą rozsądku i woli. — Co ty zamýślasz robić ze mną? Z tym światem, do którego chcesz mnie wrócić, ja rozstałem się na zawsze. Nie zdołasz zbliżyć i złączyć dwie rozerwane na zawsze części. Ja przyrosłem do tej jamy, jeśli zechcesz oderwać — to śmierć moja!

— Oglądnij się dokoła siebie, gdzie ty żyjesz i z kim?

— Wiem, czuję to... Ach, Andrzeju! Wszystko ja odczuwam, wszystko rozumiem, oddawna już mi wstyd żyć na świecie! Nie mogę pojąć twoją drogą, choćbym nawet chciał. Może przy ostatniem naszym widzeniu się byłoby to jeszcze możliwe, ale teraz...

Oblomow spuścił wzrok ku ziemi i długą chwilę milczał.

— Teraz... późno. Idź swoją drogą i nie myśl o mnie. Ja jestem godzien twojej przyjaźni, widzi to Bóg, ale nie godzien jestem tych kłopotów, jakie wkładasz na siebie.

— Słuchaj Ilja, ty coś mówisz, a czegoś niedopowiadasz. Mimo wszystko ja cię stąd zabiorę, bo podejrzywam... Słuchaj — rzekł mu — wciagnij coś na siebie i jedź do mnie, spędzisz wieczór u mnie. Mam ci wiele — wiele opowiedzieć. Ty nie wiesz, co się teraz u nas zakotłowało, nie słyszałeś?

Oblomow patrzył na niego pytająco.

— Nie widzujesz się z ludźmi... zapomniałem o tem. Chodźmy, ja ci wszystko opowiem... Czy

wiesz kto przed bramą czeka na nas w powozie... Zawołam...

— Olga! — z przestraczem krzyknął Oblomow. Zmienił się na twarzy. — Na miłość Boga, nie wprowadzaj jej tutaj!

Prawie wypychał Sztolca z pokoju, ale Sztolc nie ruszał się.

— Nie mogę pojąć do niej bez ciebie, dałem słowo. Słyszysz, Ilja? Nie dziś, to jutro muszę cię wyrwać. Ty tylko odłożysz, ale nie odpędzisz mnie. Jutro czy pojutrze, ale zobaczymy się!

Oblomow milczał, schyliwszy głowę i nie mając odwagi spojrzeć na Sztolca.

— Kiedyż zatem? Olga mnie zapyta.

— Ach, Andrzej! — rzekł Oblomow łagodnym proszącym głosem, obejmując go i głowę kładąc mu na ramieniu. — Zostaw mnie zupełnie! Zapomnij!

— Jakto? Na zawsze? — spytał zdziwiony Sztolc, wysuwając się z jego objęć i w twarz mu patrząc.

— Tak — prawie szeptem odpowiedział Oblomow. Sztolc na krok odstąpił od niego.

— Tyżeś to Ilja! — zawołał z wymówką. — Odsuwasz mnie od siebie — dla kogo? Dla tej kobiety... Boże mój! — krzyknął prawie boleśnie — to dziecko, które tu widziałem... Ilja, Ilja! Uciekaj stąd! Chodźmy, chodźmy co prędzej! Jakżeś ty upadł nisko! Czemże jest ta kobieta dla ciebie?

— Żoną! — spokojnie odrzekł Oblomow. Sztolc skamieniał.

— A to dziecko — syn mój. Nazwałem go Andrzejem, na pamiątkę o tobie! — dokończył Oblomow i odetchnął spokojnie, złożywszy z siebie ciężar prawdy.

Sztolc zmienił się na twarzy i zdziwionemi, prawie bezmyślnemi oczyma wodził dokoła. Przed nim nagle otworzyła się przepaść, powstała skała kamienna. Nagle jak gdyby nie widział Oblomowa, jak gdyby on znikł z jego oczu, wpadł do przepaści. Sztolc odczuwał tylko taką piekącą boleść, jaką odczuwa człowiek, który pędzi wzruszony powitać przyjaciela po długiej rozłące i dowiaduje się, że już go niema oddawna — umarł.

— Umarł! — wymówił prawie bezwiednie. — Cóż powiem Oldze?

Oblomow usłyszał tylko ostatnie słowo, coś chciał powiedzieć — i nie mógł. Wyciągnął do Andrzeja obie ręce i uścisnęli się mocno, milcząco, jak się obejmują ludzie przed bitwą, przed śmiercią. W objęciu tem utonęły ich słowa, łzy, uczucia...

— Nie zapomnij o moim Andrzeju! — były ostatnie słowa Oblomowa, wypowiedziane gasnącym głosem.

Sztolc w milczeniu, powoli opuścił mieszkanie Oblomowa, w zamyśleniu przeszedł przez dziedziniec i wszedł do powozu. Oblomow siadł na kanapie, oparł się łokciami o stół i rękoma twarz zakrył.

— Nie, nie opuszczę twego Andrzeja! — myślał Sztolc ze smutkiem, przechodząc przez dziedziniec. Zginąłeś ty Ilja na wieki! Pocóż ci mówiłbym, że twoja Oblomówka już nie w głuchej pustyni, że na nią przyszła kolej, że i nad nią zaświeciło słońce. Poco ci wiedzieć, że po czterech latach będzie ona stacją kolei żelaznej, że chłopci twoi będą przy niej pracować, że zboże twoje wagonami będą dowozić do przystani... A potem — szkoły, oświata, a potem... potem... Nie! przestraszysz się tą zorzą nowego szczęścia, mgłą zajdą nieprzyzwyczajone

oczy. Poprowadzę twego Andrzeja drogą, którą ty iść nie mogłeś... Z nim będziemy w czyn wprowadzać nasze młodzieńcze marzenia. Żegnaj mi stara Oblomówko! — rzekł spojrzawszy po raz ostatni w okna maleńkiego domku. Przeżyłaś już swój wiek!

— I cóż? — spytała Olga z mocnem biciem serca.

— Nic! — odpowiedział sucho Andrzej.

— Zdrow?

— Tak — niechętnie rzekł Andrzej.

— Cóż to tak prędko wróciłeś? Dlaczego mnie nie zawołałeś? Dlaczegoś go tu nie przyprowadził? Pozwól, ja tam pójde.

— Nie można.

— Cóż się tam dzieje? — spytała z przerażeniem Olga. — Czy otworzyła się „przepaść”? Powiedz narzeczcie!

Sztolc milczał.

— Więc cóż tam zastałeś?

— Oblomowszczyznę! — ponuro odpowiedział Andrzej, a na dalsze zapytania Olgi nie odpowiadał aż do przyjazdu do domu.

X.

Pięć lat minęło znowu. Wiele się zmieniło i na Wyborgskiej stronie. Ulicę, prowadzącą do domu Pszenicynowej zabudowano willami. Pośród nich wznosił się długi, z kamienia gmach rządowy, który przeszkadzał promieniom słonecznym uderzać wesoło w okna spokojnego niegdyś przytułku lenistwa.

Domek postarzał się także, wyglądał zaniedbany, brudny, jak nieogolony i nie umyty człowiek. Farba deszcz splókał, rynny deszczowe w niektórych miejscach nadłamane, to też na dziedzińcu stały kałuże błota, przez które, jak dawniej, przerzucono wąską deskę. Gdy się kto w bramce pokazał, stary kundys nie skakał już rzeżko na łańcuchu, ale poszczekiwał ochryplym i leniwym głosem, nie wyłaząc z budki.

Wewnątrz domu także zmiany nie lada! Tam gospodaruje inna kobieta, bawią się inne dzieci. Od czasu do czasu zjawia się z czerwoną twarzą przepita postać Tarantjewa, lecz nie przychodzi już dobrotliwy, zawsze zgadzający się na wszystko Aleksiejew. Nie widać ani Zachara, ani Anisji; inna otyła kucharka rej wodzi w kuchni, a niechętnie i gburowato spełnia życzenia Agafji Matwiejewny. Tylko ta sama Akulina, w fartuchu, za pas założonym, myje koryta i wiadra, ten sam senny zawsze stróż, w tym samym kożuchu dożywa swego wieku

w ciemnej izdebce. Koło parkanu miga tylko jak dawniej wczesnym rankiem i w porę obiadową figura „braciszka“ z portfelem pod pachą, w gumowych kaloszach zimą i latem.

Cóż się stało z Oblomowym? Gdzie on? Na najbliższym cmentarzu, pod skromnym pomnikiem spoczywa ciało jego w zaciszu wśród krzewów. Krzaki bzu, posadzone przyjacielską ręką, schylają się nad mogiłą i pachną piołuny. Zdawałoby się, że sam Anioł ciszy ochrania jego spokój.

Chociaż miłujące serce żony pilnie strzegło każdej jego chwili, ale wieczny spokój, wieczna cisza, leniwie pełzające dni, powoli powstrzymywały maszynę życia. Ilja Iljicz zakończył życie prawie bez bólów, bez męczarni, jak gdyby zatrzymał się zegar, który zapomniano nakręcić.

Nikt nie widział jego ostatnich chwil przedżgonnych, nie słyszał jego ostatniego jęku. Apoplektyczny udar powtórzył się raz jeszcze po roku i znowu minął szczęśliwie, tylko Ilja Iljicz pobladł, osłabł, mało jadł, rzadko począł wychodzić do sadu, stawał się coraz bardziej milczący i zamyślony. Niekiedy płakał nawet. Miał przeczucie bliskiej śmierci i lękał się jej.

Kilka razy robiło mu się niedobrze, lecz to mijało. Pewnego ranka Agafja Matwiejewna, jak zawsze, przyniosła mu kawę i zastała go tak samo śpiącego łagodnym snem śmierci, jak sypiał codziennie, tylko głowa zesunęła się trochę z poduszki, a ręka nerwowo była przycięnięta do serca, gdzie widocznie skupiła się i zatrzymała się krew.

Agafja Matwiejewna już od trzech lat jest wdową. W tym czasie wszystko wróciło do dawnego porządku. Brat zajmował się dostawami, ale zrujnował

się; zdołał jednak przebiegłością i poklonami wrócić na dawne stanowisko sekretarza w kancelarji „gdzie zapisują muzyków“ i po dawnemu chadzał piechotą, przynosząc do domu cztetwertaki, półruble i griwienniki i napełniając nimi dobrze schowany kuferek.

Pierwszą rolę w domu grała małżonka „braciszka“, Irina Pantielejewna. Uważała, że ma prawo wstawać późno, pić kawę trzy razy dziennie, przebierać się kilka razy na dzień w coraz inną suknię, a w gospodarstwie pilnować tylko jednego — ażeby spódnice były najsztyniej nakrochmalone. Więcej nie wtrącała się do niczego, a Agafja Matwiejewna była po dawnemu żywym wahadłem zegarowem w domu; ona pilnowała kuchni, cały dom poiła kawą i herbatą, obszywała wszystkich, doglądała bielizny, dzieci, Akuliny i stróża.

Dlaczegoż tak? Była przecież panią Oblomowową, właścicielką wsi, mogła mieszkać osobno, niezależnie, niepotrzebując nikogo i nie czując braków? Cóż mogło zmusić ją wziąć na swoje barki ciężar cudzego gospodarstwa, kłopotać się o cudze dzieci, o wszystkie drobiazgi życia, które kobieta bierze na swoje barki, jako obowiązek miłości, jako święty dług małżeński lub potrzebując codziennego kawałka chleba. Gdzież Zachar, Anisja — sługi jej według wszelkiego prawa? Gdzie mały Andrjusza, syn Oblomowa? Gdzie dzieci pierwszego jej męża?

Dzieci już same w świat poszły. Waniusza skończył szkoły i przyjął jakiś obowiązek, Maszeńka wyszła za mąż za rządcę jakiegoś rządowego gmachu, a Andrjuszę wzięli na wychowanie Sztolc z żoną, uważając go jako członka własnej rodziny. Agafja

Matwiejewna nigdy nie stawiała na równi i nie łączyła losu Andrjuszy z losem dzieci pierwszego małżeństwa, chociaż w sercu swoim, może nieświadomie, dawała wszystkim równe miejsce. Ale wychowanie, sposób życia, oddzieliły przepaścią przyszłe życie Andrjuszy od życia Waniuszki i Maszeńki.

— Czem one są? Takimi samymi zamurzańcami jak i ja. Porodzili się w ciężkim życiu, a tamten — mówiła prawie z szacunkiem o Andrjuszy, z pewnego rodzaju obawą i ostrożnością go pieszcząc — panicz, „barczonok!“ On taki białutki, jak nalany; rączki i nóżki malutkie, włoski jak jedwab. Jak ojciec wykapywany.

Dlatego też bez opozycji, prawie z radością zgodziła się na propozycję Sztolca wzięcia dziecka na wychowanie, uważając, że tam najwłaściwsze dla niego miejsce, a nie tu w domu, wśród brudnych dzieci „braciszka“.

Pół roku po śmierci Oblomowa mieszkała z Anisją i Zacharem razem, niepokieszona w smutku swoim. Wydeptała ścieżkę do grobu męża i wypłakała oczy, nic prawie nie jadła, nie piła, odżywiała się tylko herbatą, po nocach często nie sypiała. Zmarniała zupełnie. Nigdy nie uskarżała się przed nikim i tem więcej odsuwała się od wszystkich od chwili utraty męża, im bardziej zagłębiała się w sobie, w swoim smutku; unikała wszystkich, nawet Anisji. Nikt nie wiedział, ile cierpiała jej dusza.

Sklepiarz na targu, u którego dawniej kupowała wszystko dla domu, mówił do kucharki:

— Wasza gospodyni ciągle płacze po mężu!

— Tęskni po mężu! — mówił starosta cerkiewny, pokazując na nią w cerkiewce cmentarnej, dokąd przychodziła co niedzieli modlić się i płakać,

— Jeszcze się martwi! — mówiono w domu „braciszka“.

Raz nagle zjawiła się u niej cała rodzina „braciszka“ z dziećmi, nawet z Tarantjewym niby dla wyrażenia współczucia. Popłynęły fałszywe pocieszenia, rady „nie gubić siebie, zachować zdrowie dla dzieci“, — wszystko co już mówiono jej przed piętnastu laty po śmierci pierwszego męża. To, co wówczas wywołało pożądany skutek, teraz obudziło w niej wstręt i obrzydzenie.

Lżej jej było słuchać, gdy poczęli mówić o czem innem i oświadczyli, że teraz mogą znowu mieszkać wspólnie, że lżej będzie jej wśród swoich znosić tęsknotę i im dobrze, gdyż tak jak ona nikt nie potrafi utrzymać gospodarstwa w porządku.

Agafja Matwiejewna prosiła o trochę czasu, aby się nad tem zastanowić, potem jeszcze przez dwa miesiące martwiła się, wkońcu zgodziła się na wspólne mieszkanie. W tym czasie Sztolc zabrał Andrjuszę do siebie, a ona została sama jedna.

I oto — w ciemnej sukni, w czarnej wełnianej chustce na szyi, chodzi jak cień z pokoju do kuchni, po dawnemu otwiera i zamyka szafy, szyje, prasuje, ale cicho bez dawnej energii, mówi niby od niechcienia, głosem cichym, a patrzy dokoła nie dawnym wzrokiem, przebiegającym z przedmiotu na przedmiot, lecz z wyrazem skupionym, z jakąś ukrytą tajemną myślą. Myśl ta osiadła niewidzialnie na jej twarzy w tej chwili kiedy ona świadomie, długo wpatrywała się w martwe rysy męża — i od tego czasu nie opuszczała jej już nigdy.

Agafja Matwiejewna była w ciągłym ruchu: rękami robiła wszystko co należało, ale myśl jej udziału w tem nie brała. Nad zwłokami męża, ze

stratą jego, zrozumiała zdaje się treść życia, zastanowiła się nad nią i to zamyślenie padło jak cień na jej twarz. Wyplakawszy swój ból, skupiła myśl nad świadomością swojej straty — wszystko inne umarło dla niej, z wyjątkiem małego Andruszy. Gdy go oglądała, budziły się w niej oznaki życia, rysy twarzy ożywiały się, w oczach błyszczała radość; potem następowały gorzkie lzy wspomnień.

Na wszystko, co ją otaczało, patrzyła obojętnie; czy brat rozgniewał się o niepotrzebne wydanie rubla lub przepłacenie jakiegoś drobiazgu, za przepaloną pieczeń, nieświeżą rybę, czy bratowa nachmurzyła się o nie dość nakrochmaloną spódnicę, o nie dość mocną lub chłodną herbatę, czy szorstko jej odpowiedziała kucharka — Agafja Matwiejewna jak gdyby nic nie spostrzegała, jakby nie o niej była mowa, nie słyszała nawet klujących szeptów: barynia wiejska!

Na wszystko odpowiada godnością swego smutku i pełnem pokory milczeniem.

W święto zaś, na Wielkanoc, wśród wesółych wieczorów zapustnych, kiedy wszyscy cieszyli się, śpiewali, jedli i pili w domu, ona, wśród powszechnego wesela nagle zalewała się łzami i chowała się do swego kącika.

Zrozumiała, że minęło już i zaciemniło się jej życie, że Bóg w jej życie włożył duszę i wyjął ją, że błysnęło w niej słońce — i zgasło na zawsze... Na zawsze — prawda, ale też na zawsze życie jej ożywiło się myślą; teraz wiedziała dlaczego żyła i że żyła nie bez celu.

Kochała całą pełnią i wiele; kochała Oblomowa jako kochanka, jako męża i jako barina, tylko wypowiedzieć tego, jak i dawniej, nikomu nie mogła. Ale i opowiadanie byłoby zbyt uczucie; nikt w jej

otoczeniu nie zrozumiałby tego. Gdzieby ona mogła znaleźć wyrazy na wypowiedzenie tego? W słowniku „braciszka“, Tarantjewa, bratowej nie było takich wyrazów, bo brakło im pojęć odpowiednich. Tylko Ilja Iljicz byłby ją zrozumiał, ale ona nigdy przed nim nie zwierzała się ze swoich myśli i uczuć, bo i sama znaczenia ich nie rozumiała i nie potrafiłaby wypowiedzieć.

Im więcej lat upływało, tem lepiej i coraz jaśniej, rozumiała Agafja Matwiejewna swoją przeszłość, wiadomość tę ukrywała głęboko, stawiała się coraz bardziej milczącą i skupioną. Na całe jej życie padły jasne promienie, ciche jakieś światło siedmiu lat, przeżytych jak jedna chwila. Niczego więcej już nie mogła żądać i nigdzie ukryć się nie mogła.

Tylko gdy na zimę przyjeżdżał ze wsi Sztolc, ona biegła do niego, cicho wpatrywała się w Andruszę, czule i lekliwie pieszcła go, potem pagnęła coś powiedzieć, podziękować mu, zwyciężyć się ze wszystkiego co osiadło i skupiło w jej sercu na zawsze — on byłby ją zrozumiał, ale wypowiedzieć się nie umiała. Tylko zwracała się do Olgi, przyłgnęła ustami do jej rąk i załewała się potokiem takich gorących łez, że ta mimowoli płakała z nią razem, a Andrzej wzruszony wychodził pośpiesznie do swego pokoju.

Wszystkich ich łączyła wspólna sympatja, wspólna pamięć o czystej jak kryształ duszy Obłomowa. Sztolc i Olga prosili ażeby z nimi razem jechała na wieś, mieszkała razem z Andruszą, ale powtarzała zawsze to samo:

— Gdziem się urodziła, przeżyła całe życie, tam i umrzeć trzeba.

Nadaremnie Andrzej Iwanycz przedkładał jej

rachunki z zarządu majątkiem, nadsyłał należycie jej dochody — wszystko zwracała mu i prosiła by przechował to dla Andrjuszy.

— To jego a nie moje — powtarzała uparcie — jemu to będzie potrzebne, on — barin, a ja i bez tego życia mego dokolatam.

XI.

Pewnego razu koło południa drewnianym chodnikiem na Wyborgskiej stronie szło dwóch panów, a za nimi powoli jechał powóz. Jednym z nich był Sztolc, a drugi — przyjaciel jego, literat, o pełnej twarzy z apatycznym wyrazem i zamyślonym, niby sennym wzrokiem. Szli w kierunku cerkwi. — Msza skończyła się i ludność wylała się falą na ulicę. Przed nimi stała gromada żebraków. Kolekcja ta była dość wielka i różnorodna.

— Chciałbym wiedzieć skąd się biorą na świecie żebracy? — pytał literat, patrząc na nich.

— Jakto — skąd? Wypelzają z rozmaitych szczelin i kątów.

— Nie o to pytam — przerwał literat — chciałbym wiedzieć jak można zostać żebrakiem, jak można spaść na ten szczebel? Czy to się odbywa nagle, nieoczekiwanie, czy powoli — z konieczności czy też udawania?

— Poco ci to? Czy nie masz zamiaru czasem napisać *Mystères de Petersbourg*?

— Może... — poziewając leniwie odpowiedział literat.

— Masz dobrą sposobność — spytaj pierwszego lepszego. Za rubla opowie ci całe swoje życie, a ty opisz i sprzedaj dobrze. Oto masz... stary ja-

kiś... normalny typ prawdziwego żebraka. Hej, stary! Chodźno tutaj!

Żebak odwrócił się na to wołanie, zdjął czapkę i zbliżył się do nich.

— Miłosierni panowie! — zachrypiał — dajcie co łaska biednemu żebrakowi kalece... ranionemu... żołnierzowi... w trzydziestu bitwach byłem...

— Zachar! — wykrzyknął ze zdziwieniem Sztolc. — To ty jesteś?

Zachar zamilkł nagle, potem, zrobiwszy ręką daszek nad oczyma od słońca, pilnie począł wpatrywać się w Sztolca.

— Przepraszam Waszą Ekszelencję... ośleplem zupełnie... nie poznaję...

— Zapomniałeś Sztolca, przyjaciela twego „barina“ — rzekł z wymówką Andrzej Iwanycz.

— Ach! Ach! Batuszka, Andrzej Iwanycz! Boże mój! Ośleplem zupełnie. Batuszka, ojciec rodzony!

Zachar kręcił się, usiłował złapać rękę Sztolca, a nie mogąc trafić, pocałował poły jego surduta.

— Pozwolił mnie Bóg dożyć takiej radości, mnie psu nędznemu — jęczał, niby płacząc, niby śmiejąc się.

Cała twarz jego jakby była wypalona krwawą pieczęcią od czoła aż do podbródka. Nos miał barwę ciemno-szafirową. Głowa była zupełnie lysa. Bokobrody wielkie jak niegdyś, były splecione i zmięte jak wojłok. Wyglądały tak, jak gdyby ktoś z każdej strony twarzy przyłożył kulę śnieżną. Miał na sobie stary wypłowiały szynel, któremu brakło jednej poły, jako obuwie, stare wydeptane kalosze na bosą nogę wdziane. W ręku trzymał starą wytartą baranią czapkę.

— Ach Boże miłosierny! Takąś mi dziś na święto wielką łaskę zesłał...

— Cóż się z tobą stało? Dlaczego jesteś w takim stanie! — pytał Sztolc surowo.

— Ach, batuszka Andrzej Iwanycz, cóż robić! — rzekł Zachar, ciężko westchnąwszy. — Z czegoż żyć? Dawniej gdy Anisja żyła, nie włóczyłem się, był kawałek chleba, a gdy ona umarła na cholere — daj jej Boże królestwo niebieskie — „braciszek“ baryni, nie chciał mnie trzymać, nazywając darmo-jadem. Michej Andreicz Tarantjew prześladował mnie, ile razy przeszedł koło mnie, zawsze ztyłu kopnął nogą. Żyć już nie można było. Proszę mi wierzyć, że kawałka chleba przelknąć nie mogłem. Gdyby nie „barynia“ — daj jej Boże zdrowie! — dodał Zachar żegnając się, dawno zdechłbym na mrozie. Ona mi jakietakie łachy na zimę dawała, chleba ile chciałem i kącik ciepły na piecu. Wszystko miałem z jej łaski. Ale przeze mnie i ją poczęli prześladować — musiałem iść gdzie oczy poniosą! Oto już drugi rok nędzę moją znoszę...

— Czemuż nie poszedłeś do jakiego obowiązku?

— Czyż to tak łatwo dziś Andrzej Iwanycz znaleźć obowiązek? Próbowałem dwa razy — nie trafiłem do gustu. Wszystko teraz nie tak jak dawniej — gorzej. Na lokajską służbę żądają teraz piśmiennych, a u wielkich panów niema już tego ażeby w przedpokojach pełno było służby. Wszędzie jeden lokaj, rzadko kiedy dwaj. Buty sami sobie zdejmują — maszynkę taką wymyślili — dodał żałośnie Zachar. — Wstyd tylko, ginie dawne „barinstwo“!

Zachar westchnął.

— Przyjąłem był obowiązek u jednego Niemca,

kupca — w przedpokoju miałem siedzieć. Z początku wszystko było dobrze, ale potem posłał mnie na służbę do bufetu — czy to moja rzecz? Noga mi się powinęła, wszystko naczynie razem z tacą zważyło się na ziemię. No — i napędzili! Innym razem podobałem się jakiejś starej grafini — poważny ma wygląd — powiada i byłem u niej szwajcarem. Obowiązek dobry, służba po staremu: siedź sobie poważnie na krześle, załóż nogę na nogę, i kiwaj. Jak kto przyjdzie — to nie można puszczać od razu, z początku wypytać, a potem dopiero puścić, albo w kark — i wytrącić. Jak się dobry gość trafi, to buławą — tak!

Zachar pokazał jak trzeba uderzyć.

— Służba honorowa, niema co mówić. Ale barynia była bardzo niezgodliwa — Bóg z nią. Raz zajrzała do mojej komórki i zobaczyła pluskwę, rozkrzyczała się, rozwrzeszczała się, tak jak gdybym to ja pluskwę wymyślił! Czyż może być gospodarstwo bez pluskiew? Innym razem przechodziła koło mnie, zdało się jej, że wódkę czuć ode mnie... Taka była! — I wymówiła służbę.

— Rzeczywiście pachnie — zanadto! — zauważył Sztolc.

— Ze smutku, batiuszka Andrzej Iwanycz, jak Boga kocham ze smutku — zachrypiał Zachar, skrzywiwszy się. Próbowiałem być furmanem, doróżkarzem — nająłem się, ale nogi odmówiły, sił już mało, stary jestem! Koń trafił mi się złośliwy, raz pod karete upadłem, ledwie wyszedłem cało, innym razem na starą babę najechałem, do policji wzięli...

— No, dosyć tego! Przestań się włóczyć i pić,

chodź do mnie, dam ci kącik, na wieś pojedziemy... słyszysz?

— Słyszę batiuszka Andrzeju Iwanycz, ale... Zachar westchnął.

— Nie chce mi się stąd ruszyć... od grobów. Tu nasz dobrodziej Ilja Iljicz — rzekł żałośnie — dzisiaj modliłem się za niego, daj mu Boże Królestwo niebieskie! Zabrał nam Bóg takiego barina! Żył na pożytek ludziom, żyćby mu sto lat... — dogadywał, marszcząc się i płacząc Zachar. — I dzisiaj na grobie jego byłem. Ile razy w te strony zajdę, zawsze tam idę, siadę i siedzę, a łzy tak i płyną... Tak czasem zamyszę się, cisza wszędzie i zdaje mi się że woła: Zachar! Zachar! Czasem to tak, jakby mrówki po skórze biegały... Nie będzie już drugiego takiego barina! A was Andrzej Iwanycz jak kochał! Boże! Przypomnij sobie jego dobrą duszę w królestwie swoim!

— Przyjdź popatrzeć na Andruszę. Każe ci nakarmić, odziać, a potem — jak zechcesz! — rzekł Sztolc i wsunął mu coś do ręki.

— Przyjdę, przyjdę! Jak można nie przyjść, nie popatrzeć na Andrzeja Iljicza. Podrósł już pewnie! Boże! Takiej radości doczekałem się! Przyjdę batiuszka, daj wam Boże zdrowie na długie lata... — chrypiał Zachar w ślad za odjeżdżającym powozem.

— Słyszałeś historję tego żebraka? — pytał Sztolc przyjaciela.

— A cóż to za Ilja Iljicz, o którym on mówił? odrzekł literat.

— Oblomow... już ci wspomniałem o nim.

— Pamiętam... To twój kolega i przyjaciel. Cóż się z nim stało?

— Zginął, zmarniał Bóg wie zaco.

Sztolc westchnął i zamyślił się.

— A nie był zgoła głupszy od innych. Dusza czysta i jasna jak kryształ. Szlachetna, miękka natura — i przepadł!

— Jakto? Z jakiego powodu?

— Powodem, powodem... Oblomowszczyzna! — odpowiedział Sztolc.

— Oblomowszczyzna? — z niedowierzaniem powtórzył literat. Cóż to takiego?

— Opowiem ci zaraz... pozwól zebrać myślenie przypomnieć... A ty spisz to wszystko... może kiedyś się przyda!

Sztolc opowiedział to, co tu napisano.

KONIEC





